

28.

A 128



u
Znak 1137
3250

STEFAN ŻEROMSKI
DLA MŁODZIEŻY

STEFAN ŻEROMSKI DLA MŁODZIEŻY

WYBÓR Z PISM

KSIAŻKA PIERWSZA



Wyd. II
Znak 1107
Nr inw. 3350

WARSZAWA MCMXXII KRAKÓW
WYDAWNICTWO J. MORTKOWICZA
NAKLAD T-WA WYDAWNICZEGO W WARSZAWIE

Przedruki nieuprawnione przez autora wzbronione.
Wszelkie prawa autorskie co do tłumaczeń i przeróbek
zastrzeżone

Prawa autorskie co do przedruków, tłumaczeń i t.d. w Rosji
zarezerwowane na zasadzie ustawy z d. 3 kwietnia 1911 r.

Copyright by Stefan Żeromski, nineteen hundred
twenty one.



Młodości!

Wszystkiego dziedzicu!

O, pokolenie przyszłą wiosnę
niosące!

Promień słoneczny po nocy, zza
krawędzi mroku znowu wytryśnie.

Ciepły wiatr z południa powie-
je w trawy młode, we włosy i na
lica dzieci wiejskich, po topielis-
kach dróg śpieszących do dalekich,
biednych, rzadka rozstawionych
szkólek i ochron.

Rozkwitnie znowu wiśnia po sa-
dach, w opłotkach brudnych wsi...

Zakuj się w żelazną zbroję woli,
o młoda duszo!



NA PODLASIU



„Przed wiekami nauczyli się wierzyć w Pocieszyciela stokroć smutniejszego niż oni, w dobrotliwego władcę, który nawet najbiedniejszych miluje. Z obrazem Jego zrosła się mowa, obyczaj i cały zakres obrzędów. To też ta wiara ma korzenie długie, jak jałowiec i panowie tyrani napocą się jeszcze, zanim ją wydrą.“

MOGIŁA.

Na wschodzie gromadziły się chmury ciężkie, granatowe, powleczone ponurym, rdzawym blaskiem gasnącej zorzy. Błyskawice latały po nich bez ustanku, a głuchy grzmot huczał, niby pod ziemią. Burza szła stronami, omijając spragnione deszczu „szczyrki“ podlaskie. Kiedyniekiedy mała chmureczka odbiła się od stada, przeciągnęła szybko nad moją głową, rzuciła kilka dużych kropel, które spadły w sypek piasek pustkowia, ciężko, jak ołowiane śruciny, — i pożeglowała na łeb na szyję ku dalekim błyskawicom.

Nastała noc ciemna, choć oko wykol. Zefiry,

akwilony i zwyczajne wietrzyki ucichły, błyskawice migwały coraz słabiej... Brnąłem po piasku z determinacją, zgadzając się na to, że napiję się wody aż dopiero w Wieprzowodach, jeżeli notabene trafię do jakiego miasta i jeżeli przedewszystkiem dziki zwierz nie pożre mnie na tej puszczy.

Usiadłem na kamieniu przydrożnym, aby odpocząć i zapalić papierosa. Wtedy dosłyszałem dalekie—dalekie szczekanie psów w kierunku ukośnym do mojej drogi. Natychmiast ruszyłem w tę stronę i po upływie dobrej godziny zbliżyłem się do długiego łańcucha chałup. Skierowałem me kroki ku pierwszemu budynkowi i trafiłem na tylną wrótnię stodoły. Pić mi się chciało tak dalece, że nie zwracałem uwagi na niebezpieczeństwo, grożące moim łydkom ze strony zębatej i szczekającej nocej straży tej wioski.

Przelazłszy przez płot, z wielkim impetem wpadłem w gnojówkę, z nieporównaną zręcznością wyskoczyłem na brzeg i zbliżyłem się ostrożnie do okna chaty, w której świeciło się jeszcze. Spora gromadka bab, parobków, dojrzałych chłopów, wyrostków i dzieci stała lub siedziała w rozmaitych miejscach izby, na ławie pod piecem i na skrzynkach. Jakies szerokie barki i kosmaty łeb zasłaniały połowę okienka. W kącie stancyi, na brzegu ogromnego *wyrka*, siedział stary chłop w koszuli i, nisko schylając głowę nad kagankiem naftowym, głośno czytał. Wymawiał słowo po słowie

akcentem z podlaska śpiewnym, tonem uroczystym i żalością przejętym.

— We wsi Dołhobrody, w parafii położonej na granicy powiatów bialskiego i włodawskiego pod dyrekcją naczelnika Gubaniewa trzy rotty dopuściły się tyranii. Włościanie na rozkaz dostawienia 60 wołów, przyprowadzili 69. Zapytani, dlaczego dają więcej, odpowiedzieli, że wszystko co mają oddadzą, lecz wiary łamać nie chcą...

— Ou — ou — ou... — wzdychali słuchacze.

„Wówczas we wsi liczącej przeszło półtora sta osad, naczelnik zebrał mężczyzn na pole i otoczonych wojskiem, kazał wobec innych rozciągnąć obnażonych po kilkunastu na ziemi i, dodawszy do każdego po dwu kozaków, ćwiczył dotąd, póki nie wymógł podpisu na przyjęcie Galicyanina *). Niektórym dostało się więcej, niż po 200 nabajek. Takie egzekucye praktykowały się w kilku miejscowościach. W Choroszczyźnie...

Słuchałem uważnie tej historii, oparty o ścianę. Nie jestem chłopomanem, nie rozczulają mnie prze poczone magiery, ani zabłocone buty... Ale pomyśleć tylko... Jakaś czcigodna ręka przelała na papier to żalosne opowiadanie, ten gorzki ból, tę pohańbioną myśl garsteczki ludzi, którzy w niesłychanym ucisku, wśród pokusy, w stadzie nędzników i głupców ufają aż do śmierci, że przysię-

*) Popa apostaty z Galicyi.

dze, jakieś cnocie czy prawdzie należy wiary do-
chować. Tę myśl składał przy blasku płomyka
gazu wyzyskiwany zecer, przenosił ją jako zabro-
niony towar jakiś szlachetny mistyk, jakiś nie-
znany a na śmierć gotowy wyznawca swojej
idei. I przyszła na miejsce przeznaczenia, tam,
gdzie chciało marzenie prawych i „*in tenebris lux
lucet*“...

Właśnie, (wciąż stojąc pod okienkiem), przy-
chodziłem do tak melancholijnych refleksyj, gdy
nagle stała się rzecz, krótko mówiąc, straszna i nie-
słychana. Jak piorun z nieba zleciały na mój kark,
ramiona, żebra, biodra, plecy i kołnierz, niewi-
dzialne barbarzyńskie kułaki, schwyciły mnie w ró-
żnych miejscach, jak obcegi, wywinęły mną w po-
wietrzu, niby szczotką do czyszczenia butów i w cią-
gu nadzwyczaj krótkiego przeciągu czasu wniosły
mnie do izby. Cały ten proces wybuchnął i odbył
się tak szybko, że zaledwie zdążyłem zamknąć
oczy i pomyśleć:

— Aha—nadeszła chwila! Trzeba będzie, zdaje
się, trzasnąć kopytami i wyzionąć ducha w ofierze
„za szybkie, pomyślne i zupełne zrusyfikowanie
tego kraju“...

Otworzywszy oczy, ochłonałem cokolwiek. Ota-
czała mnie wprawdzie grupa parobków z groźnymi
minami i pięściami, wymownie ułożowanymi na
moim karku, ale nie miała zamiaru odbierać mi
życia bez sądu i natychmiast. Po prostu te chamy

stały i patrzyły na mnie, — no i ja również stałem
i patrzyłem na nich.

Koniec końców rzekłem pierwszy:

— Dobry wieczór, chłopcy! Cóżście mnie
wnieśli do izby tak ostrożnie, jak koszyk z jajami?

— My takie jaja, co pod *oknami* łożą i pod-
patrują, nieraz tłuczemy *teeż!* — zaśpiewał jeden
z gromadki, mrugając ku mnie lewym okiem bez
cienia uczuć przyjaznych.

— Przez szyby to tylko złodziej może zaglą-
dać, a ze złodziejem to jest krótka sprawa, — rzekł
drugi, patrząc obojętnie na koniec mojego nosa.

— Jeszcze *betwan* po polsku będzie mówił —
widziałeś... — mruknął ktoś z kąta.

Tymczasem ten, co mnie najsilniej, o ile so-
bie mogę przypomnieć, trzymał w objęciach, nie-
znacznie przysunął się do łóża starca i rzekł do
niego półgłosem:

— Piechotny... *jakier...*

Stary chłop wyjął skądś grubą księgę, po-
dobną do mszału, rozłożył ją nabożnie i począł
czytać:

— „Boże, wszystkich wiernych Pasterzu i Rząd-
co, wejrzyj dobrotliwie na wszystkie stany pań-
stwa ruskiego“, (to *russkiego* wymówił z ogromnym
naciskiem), „i królestwa polskiego i łaski im swo-
jej miłościwie udzielaj, aby wszyscy we wszyst-
kiem ku dobru powszechnemu zmierzali i z drogi
prawdy Twojej nie zbaczali...“

Zauważyłem, że czyta zupełnie inaczej. Poprzednio z nielegalną broszurą było mu daleko poręczniejsze, wysławiał się doskonale po polsku, najtrudniejsze wyrazy wypowiadał płynnie i czysto. Później wodząc palcem po tej książce do nabożeństwa, udawał głupiego, sylabizował mozolnie, bąkał, stękał, umyślnie przekręcał zwyczajne słowa.

— My sobie tu czytamy takie modlitwy, panie żołnierzu, — rzekł do mnie z dobrodusznym uśmiechem.

— A widzę...

— Skądęście też, panie żołnierzu?

— Jestem z Wieprzowodów. Chodziłem po dworach z zapytaniem, czy gdzie nie wezmą żołdatów do żniwa.

— Z Wieprzowodów? — powtórzył pytająco starowina.

— Ehe. Jestem Polakiem. Z musu odsluguję wojskowość. Szedłem drogą tamtędy do lasu, usłyszałem szczekanie psów i zboczyłem tu do was, bo mi bardzo się pić chciało. Dajcież mi z łaski swojej półkwarcie wody, napiję się i pójdę dalej, a wy czytajcie sobie z Bogiem tamtą książeczkę. Nie macie się czego obawiać, ja was nie zdradzę.

— Jakąże to niby książeczkę? — zapytał stary lis, przybierając minę jeszcze głupszą.

— Tamtę o Gubaniewie i Kutaninie...

— Tak jakoś gadacie, panie żołnierzu, że nic nie mogę zrozumieć. Czegóż wy od nas chce-

cie? Słyszycie przecie chłopcy, że ciągiem plecie: czytajcie książeczkę...

— A cóż nie mamy słyszeć? Słyszemy! — odpowiedzieli chórem.

Usiadłem na ławce pod oknem i zamilkłem.

Okropną rzecz rozsiali pośród nas ci Moskale: między jednym a drugim człowiekiem nastawiony jest, dzięki nim, pugnał zdrady, nieufności i podłej trwogi, w oczach siedzi trucizna podejrzenia, a cała nasza mowa stała się wyrazem jednego uczucia: obludy. Czemu mogłem udowodnić tym ludziom, że nie jestem szpiegiem? Czy jest na ziemi i w niebie taka świętość, którejby ci wrogowie w ich oczach nie zdeptali nogami, albo nie uczynili przedmiotem handlu? A czyż mogłem odejść stamtąd, przerwawszy im czytanie świętej historii i zostawiając po sobie wspomnienie wroga? Chwyliła mnie za gardło taka zażarta mściwość, jakiej nigdy jeszcze nie doświadczyłem w życiu. Zacząłem rozpowiadać o wszystkim, com wiedział, a więc: o unii, o prześladowaniach, krzywoprosiństwach, wylanej krwi, o tem, jak być powinno...

Kiedy zacząłem mówić o tem, jak być powinno, oni wspomnieli... o Polsce.

Co to jest Polska? Grupa etniczna, republika demokratyczna, rozwój przemysłu?... Tak, tak... Stał człowiek na przyzwoitem stanowisku klasowym, a teraz zacznie brać w rachubę wyobrażenia i mgliste przeczucie bezklasowych chłopów...

No! — ale słyszałem przecież na własne uszy wyrazy tych marzeń, tych tęsknych przeczuć i — do cholery! — lży mnie duszą...

Musiałem gadać przekonywająco, skoro mi tacy ostrożni ludzie zaufali. Nie od razu się to jednak stało. Stary najdłużej trzymał się nieufnie. Wpatrywał się we mnie wzrokiem beczelnie badawczym, coś żuł, mruczał pod nosem, ciągle wspominał o pańszczyźnie i o darowaniu, wówczas nawet, kiedy młodszy już mnie przyjaźnie rozpytywali. Nareszcie zmógł i on.

— Tak to, tak... — zamruczał. — Nie co innego se myślał i ten... Kościuszek. Znacie go?

Zasłaniając sobie usta jedną ręką, drugą wskazał na obrazek, wiszący nad łóżkiem w ciemnym kącie między świętymi bohomazami.

Z każdej zmarszczki pergaminowej twarzy dziada śmiał się ciągle figiel, a w oczach świecił jasny, przenikliwy rozum.

— My se ta sukmaniarze jesteśmy, a przecie swoją rzecz wiemy. Jużci jakby on był za dziesiątą granicę *toto* wygnał, toby teraz batami ludzi nie rznąły.

Zacząłem się żegnać z tymi ludźmi i poprosiłem, aby mi dali kogoś, coby mi wskazał drogę do Wieprzowodów. Starzec zaczął wołać na wnuczka, drzemiącego na skrzynce przy łóżku:

— Pietruś! słyszysz, Pietruś!

— Hy? — mruknął chłopak, przecierając oczy

— Pietruś, *chodzi* tu.

Dwunastoletni pędrak zbliżył się do dziadka, który wskazywał na mnie palcem i mówił:

— Pietrek — widzisz go? — Sōłdat...

— Yhy...

— Moskał.

— Ale, Moskał! Po polsku gada.

— Po polsku gada, podlec, a po moskiewsku myśli.

— Ij — stulcie gębę!

— Stary wykrzywił się zabawnie i chichotał.

— Pietruś, — twój ojciec w jakim wojsku służył?

— Niby nie wiecie? — W moskiewskim.

— A twój stryjek?

— No! w moskiewskim.

— A dziadek, niby mój ojciec?

— Dziadek! To się pradziadek nazywa. Pradziadek w polskim.

— A ty w polskim będziesz służył?

— W polskim.

— Chi, chi, chi... A i będziesz *zgał* Moskałów!

— Będę!

— Jezusieńku! Za co?

— A bo to ony tatusia nie zeprały *kijamy*?

— Chi, chi, chi...

— Nie boicie się uczyć malca takich rzeczy? — zapytałem. — Wygada się przed złym człowiekiem i będę wam na kark sprowadzi.

— Jaby się ta i bał, ale kiedy mi się już i nie chce strachem se głowy zaprzętać na starość. Jużciż ostrożność — pierwsza rzecz, ale ta i mój wnuczek nie kukulka. Wie on dobrze, co do kogo gadać — nie bójcie się.

Niedawno tu dostałem był *powiastkę*, żeby się natychmiast stawiać do naczelnika żandarmów. Słabowałem wtedy, po drogach topiele stały, bo to jakoś w wielkim tygodniu się trafiło. Nie poszedłem. Masz, myślę sobie, psubracie, interes, to pójdz do mnie. Ja ta już stary, gnaty *me* bolą, osobiwie pod *wiesnę*.

A no i przyszło ich chyba z piętnastu. Bobrowali po skrzyniach, pod *dachamy*, dyle odrywali, jeden to aż do pieca chlebowego łeb wściubiał, gębę sobie zamorusał, a u mnie narączę książek leżało w drewnutni, między statkami. Tylko mi dymisyę zabrały, com ją miał po ojcu. Pod Madalińskim był *sierżantem*... Miałby był oto Pietrek pamiątkę po mnie.

— Cóż to były za książki, że trzeba je było aż do drewnutni chować? — zagadnałem.

— Takie se ta książki, różne... To o tem, to o owem. Drukarz się widać zdrzemnął, zapomniał, że trza stawiać „*dozwoleno cenzuroju*”, — no i przyszło je pochować. Będę to robił ambaras panu naczelnikowi? A skąd, a jak, a od kogo, a po co? „Jego białobrodzie” i tak ma z nami dosyć utrapienia — chi, chi...

— Możebyście radzi przeczytać teraz coś nowego?

— A ja ta zawsze rad. Leżę w izbie, dzieci mi się porozlążają do roboty, to sobie i czytam, a wieczorem zejda się do mnie ze wsi ciekawscy, to im znowu baję, co wiem.

— To ja tu, uważacie...

Poszeptaliśmy ze sobą kawałek czasu. Dziwny chłop, taki chłop — no — no! Ścisnąłem mu na pożegnanie rękę, jak najbliższemu przyjacielowi.

Szybko ich wszystkich pożegnałem i wybiegłem z tej chałupy. Wnuczek Pietrek dreptał obok mnie, aż na koniec wsi. Wskazał mi wąską drożynę na prawo i pędem wrócił do domu.

.....

WYPRAWA NA SAN

Krzyś Cedro był to daleki kuzyn Rafała, jedyny syn bardzo zamożnego szlachcica z nad Wisłoki. Obadwaj z Rafałem mieszkali na stancyi u profesora Zawadzkiego w dworku, stojącym pośród ogrodów, niedaleko od ruin kościoła świętego Piotra. Cedro był szczupły, mizerny i nie bardzo silny. Uczył się doskonale, aczkolwiek nie zawsze z równą wytrwałością. Uwielbiał Rafała za jego siłę, męstwo i bardzo często odrabiał za niego różne prace szkolne.

Ustalił się był niepisany zwyczaj, że gdy wieczór zapadał, obydwaj pensyonarze wychodzili na przechadzkę do ogrodu, zbiegającego ku Wiśle po zboczu góry. Tam o zmierzchu gonili się, cisnęli pigułami w siebie nawzajem, ile się dało, w przechodzących Izraelitów, a nawet ze smutkiem wyznać to trzeba, w przechodzących katolików. Szczególną nienawiść w nich, studentach austriackiego gimnazjum, budzili wychowawcy tak zwanego *szttyftu*, czyli szkoły żołnierskiej, która mieściła się w tymże gmachu po-jezuickim. Skoro tylko za murem ogrodu ukazał się malec ze *szttyftu*,

dostawał niezliczoną liczbę piguł, wymoczonych *ad hoc* w wodzie i zamrożonych umiejętnie.

Tego dnia, znalazłszy się w sadzie profesorskim obadwaj zbiegli szybko wąwozem aż na samo dno doliny wiślanej. Szerzył się już mrok zimny i prędko, spływając z chmur. Sam był jak chmura.

Rafał obejrzał miejsce i przyległości. Nigdzie nie było żywej duszy. Dał znać Krzysiovi. Przesadzili parkan ogrodu. Stali o kilkadziesiąt kroków od brzegu rzeki. Z burych fal szło zimno i przejmujące seplenienie kry, która się w nich gęsto kołysała. Młodzieńcy chyłkiem szli w kierunku Złotej i widnego z dala Samborca. Co tchu przekroczyli Jagiellońską drogę i, brnąc w błocie, stanęli nad wodą. Zmierzch już nadciągnął i olbrzymimi fałdami osiadał ziemię.

W dole rzeki był zator lodowy.

Ktoś o nim wspomniał przy obiedzie, jak o rzeczy okropnej. Szli tedy obejrzeć własnymi oczyma, czy tak jest, jak mówiono.

Rafał znalazł łódź, którą był widział przybijającą do brzegu. Jeszcze raz rzucił okiem...

Sandomierz piętrzył się wyniosłe. Błyskały już światła na przedmieściu, zwanem Rybitwy, i w górze.

Odwiązał łódź, wyszukał w wikłach wiosła i skoczył pierwszy. Krzys poszedł za nim i siadł w tyle.

Była to łódź płaska i płytka, zalana wodą.

Nie zdążyli pochwycić wiosła, kiedy już prąd wodny porwał ją i wyniósł na rzekę. Rozparli się nogami, zanurzyli wiosła i, co tchu w piersiach a mocy w barkach, poczęli wygarniać z głębin kłęby wodne. Dziób czołna twardo, z oporem, jakby orał w piachu, zwrócił się w stronę Trześni.

— Raz, dwa! — zakomenderował twórca wyprawy głosem nieswoim, surowym, z głębi piersi.

Złomy lodu płynęły szybko a ciężko jakoby potrzaskane ściany ciosowych kościołów. Z łodzi wydawało się, że w okrąg sunie zniszczony jakiś ład, niepodobna ziemia, zorana skibami, ruda, zczerniała od martwych piachów, od śladów rozpętanych, czarnych, nawałnic zimy. Były momenty, że płynęła wprost na łódź tafła olbrzymia, jak strop wielkiej sali, ostrymi krajami swymi godziła zdraźniecko w burty stateczku. Wówczas Rafał wznosił wiosło i zadawał jej śmiertelne pchnięcie z czoła. Groźna pływająca szyba posłusznie usuwała się na bok. Inne, słabsze, od jednego trącenia rozrzucały się w drobne ułamki, jak truchło bezwładne. W ostatnim blasku dnia widzieli w pęknięciach czarno zielone pasy narosłych warstw. Słyszeli dokoła siebie cichy syk lodu. Wybuchaly z żółtych głębin banie i skręty wirów, niby olbrzymie źródłiska, kipiące z rozwartego dna. Kiedyś łódź drżała od niespodziewanych uderzeń i trzeszczała złowrogo. Co chwila wiosła wyrzucały z pianistego beltu tafle kry lodowej i ze

ślizkim szczękiem miotały je w górę. Zdarzało się, że jakaś gruba tafla, jak skała, mknęła na wartkich falach, środkowego nurtu. Wtedy szkuta, podważona wiosłami, odskakiwała w bok i szła w ukośnym kierunku.

Światło zapalone w jakimś oknie na górze miejskiej, ścigało ich, łamiąc się i chwiejąc na wichrowatej fali ostrą iglicą. W tej szczelinie świetlistej ujrzeli pierwszy raz dziką otchłań, z głuchym furkotem, zapamiętałe ciekąca.

Mrok głęboki owiał dusze, ale nie wygnał z nich radości. Czuli rozkosz fizyczną niesłychanego pędu w miękkiej kolebce przepaści. Chwytała ją wiosłami za gardziel i wykręcała jej stawy...

— Raz dwa! — krzyczał Rafał ze wściekłością w głosie i namiętnem ukontentowaniem.

Wiosła wyginały się, jak od wiatru pręty wiłkowe, ale łódź, potężnie gniotąc wklęsłe wiry i banie wodne, szła naukos w świerzy wodnej. Migotliwa igła na falach znikła, i noc śmiertelna otoczyła czołob. Ramiona słabły. Pot lał się z czoła, krew biła w skronie.

Drewniany statek leciał. Nie mogii już zawrócić jego dzioba, ani dokąd wola kierować. Z nagła zatoczył szalenie prędko krag, garnąc ogonem świszczącą falę — i zwolnił biegu.

Był gdzieś przed nimi głuchy, przeraźliwy szum. Wszystek ryczał wody grzmiał tam ponuro

niby zlatujący wodospad z jakichś niezmiernych stawideł.

— Rafał, gdzie my jesteśmy? — cicho spytał Krzysztof.

— Ty czasem masz pyszne pomysły co do pytań! Skądże ja mogę wiedzieć, gdzie my jesteśmy?

— Co to tak huczy?

— Woda.

— Patrzaj, a to co?...

Drwłące słowo odpowiedzi trwoga wgniotła Rafałowi do gardła. Twarzy, piersi, rąk jego dotknęło coś, jakby ciemne, wilgotne szpony olbrzymiej łapy. Obydwaj młodzieńcy zachnęli się w tył i ku obronie dźwignęli z wody wiosła. Krypka wolno poszła naprzód. Wtedy poznali, że są w koronie strzelistego drzewa, które, widać, woda wydarła z ziemi i zwałała. Na wystających gałęziach i cienkich, bezlistnych prętach wisiały szmaty i torby zgniłej trawy i siana, które oblepiło zniecka ich twarze i okręcało szyje.

Odepchnęli się wiosłami i łódź wolno, jak komiega ze zbożem, poszła tam, dokąd ją skierowali, z lekka tylko przez gościniec wodny unoszona w jakimś różnym od poprzedniego kierunku. Było tam pełno kry płynącej ospale, strzyży drobnej, kilku warstwami spiętrzzonej. Rafał stanął w łodzi, rozstawił nogi, wsparł je na burtach i zaczął łódź huścić. Krzys rozumiał, że pragnie ją uchronić od

oblepienia przez krę, ale truchlał na myśl o tem, gdzie się znajdują.

Płynęli tak długo.

Huk trzaskających wód, które się dokądś waliły z przerażającym łoskotem, zbliżał się ku nim. Szedł na nich z nocy.

Z nagła uczuli obadwaj, że ich znówu główny wart porywa. Woda darła się w lewo, z szelestem prac kry. Ciekli chwilę wśród lodu, który się szybko dokoła skupiał. Dopiero całym wysiłkiem rąk zdołali go odtrącić wiosłami raz, drugi, trzeci. Łódź znówu cofnęła się na cichsze mielizny, zavalone przez strzyż. Wtedy instynktownie poznawszy główny strumień Wisły, szeregiem gwałtownych wirów pod kędzierzawymi falami lecący, pomykali się co sił w przeciwną stronę. Wiosła ich miesiły krę, rozgarniały ją, z łoskotem tłukły się w niej, aż wreszcie tył łodzi twardo uderzył w coś nieruchomego.

— Czy to brzeg? — zapytał Krzysztof.

Rafał zmacał to miejsce wiosłem i znalazł, że to jest jednolity lód, zachowany przy brzegu. Mieli przed sobą otchłań głównego toru, dokoła stłuczoną krę.

Ręce ich ustały, byli przemokli do suchej nitki. Zziębli. Rozwarte szeroko oczy wlepiali w tę noc bez gruntu, ale nie dostrzedz nie mogli.

— Stań w łodzi, — rozkazał Rafał — a ja wyjdę na ten lód i zobaczę, czy brzeg daleko. Tu

właśnie musi być zator. Bylibyśmy w takim razie u celu.

Krzyś z posłuszeństwem wykonał rozkaz. Uczuł, jak łódź gibnęła się, gdy Rafał z niej wyszedł, usłyszał szklisty szelest jego pierwszego kroku i pewny siebie glos:

— Chodź, lód twardy. Wyciągniemy barkę na brzeg. Ja już nie mogę robić wiosłami.

Krzyś stanął na lodzie.

Naokół słyhać było chrzęst strzyży, chlustanie i szelest odbitych fal. Deszcz pluskał bezustanku.

— Wyciągniemy łódź na brzeg i zostawimy ją tutaj, — rzekł Olbromski — a sami pójdziemy piechotą. To jest lewy brzeg...

— Łódź nie jest nasz! — zawołał Krzysztof stanowczo. — Musimy ją odstawić na miejsce.

— A to ją odstaw. Z największą pochwałą akceptuję projekt.

— Moglibyśmy ją dociągnąć, idąc po brzegu...

— Możesz i to zrobić. Ja nie będę ciągnął.

— Cóż tu począć?...

— A to też to! Tu ją zostawimy. Powie się jutro rano przed lekcyami Bobrzykowi, da mu się na piwo.

— Ja mu zapłacę! Masz słusność. Ja mu dam tyle, że będzie nawet zadowolony z tej afery.

— Właśnie, ty mu dasz. I ja tak myślałem.

— No, to ją tylko wyciągnijmy na brzeg...

— Zaraz. Muszę nasamprzód zobaczyć, gdzie to jest ten brzeg.

Odszedł, brocząc po wodzie, która cienką warstwą stała na tem lodowisku, zmurszałem i przemokłem od długich deszczów. Gdy wrócił z wiadomością, że brzegu będzie kilkadziesiąt kroków, ujęli obaj za łańcuch przykuty do dzioba barki i zaczęli ją z całej mocy na lód windować. Poszło to z trudem, ale ostatecznie dało się wykonać. Czółno wsunęło się na pomost lodowy dość szybko.

Znienacka Rafał zauważył, że jego nogi wolno zanurzają się w wodzie. Przerazenie włosy mu zjeżyło na głowie, bo uczuł, że cała ta olbrzymia kra ugina się pod nimi i idzie na dno.

— Krzys, uciekajmy! — wrzasnął na towarzysza i chciał go chwycić rękoma, ale dłonie jego objęły próżną ciemność.

Wzdęty bałwan wodny pchnął go w piersi i dokądś odtrącił. Cedro krzyknął nagle, a potem kilkakroć zabelkotał w wodzie. Rafał wpław rzucił się w to miejsce na oślep i złapał rękoma włosy i ramiona. Wywłókł go z fali i pchnął przed siebie, jak drewno.

Ochynał się cały, z głową. Poczuł, jak tafle, złomy, okruchy lodu obsiadają go ze wszech stron, z dołu, z boków, z góry, jak przystawiają do gardła ostrza swych krajów i garną się w usta. Płynąc w tym gęstym roztopie, uderzył ramieniem o lód. Trzymając się jej burtu lewą ręką, do-

włókł Krzysia do calizny lodowej i wwalił go na nią. Później sam się tam wczolgał i, leżąc na brzuchu, sunął po płaszczyźnie, która się ugiwała i zanurzała w wodzie. Cedro ocknął się z jękiem i zaczął gramolić... Widzieli, że giną bez ratunku, bo znowu szli na dno razem z ułamaną taflą, gdy Rafał chwycił rękoma pręty wikłowe i rokity na brzegu. Wówczas dopiero pomyślał o ocaleniu. Wywłókł Krzysia z topieli na brzeg. Odetchnął. Pot lał się z niego. Grube zimowe ubrania nasiąkły wodą do ostatniej nitki, nogi w butach głośno chlupały.

— Cedro, zimno ci? — rzekł szeptem.

— Zimno.

— Musimy lecieć, bo zginiemy. Uciekajmy!

Rzucili się w zarośla wikłowe i poczęli wyżej kolan grzęznąć w rozkisłych bagnach nadbrzeżnych. Pręty smagały ich po twarzach, pniaki jakieś raniły nogi, ostre kije z kolkami rozdzierały ręce, ale po długiej męczarni uczuli, że niski ląd staje się coraz twardszy. Wreszcie wybrnęli i znaleźli się na pochyłych zagonach.

Rafał usłyszał, jak zęby Krzysia szczękają. Dotknął go ręką i uczuł, że drży. Sam także ledwie mógł stłamsić przerażający dreszcz w sobie. Woda sączyła się z każdego ich włosa.

Wtedy ogarnęła go śmiertelna rozpacz. Nie wiedział już, w którą stronę iść: stracił wszelki zmysł i rozumienie kierunku. Nastawił uszu, ale

słyszał tylko wściekły, przerażający szum wody, szum — śmierć.

— Ty się nie orientujesz, gdzie Sandomierz?— mówił do towarzysza.

— Nie.

— Możesz iść sam?

— Nie.

— Krzyś!

— Idź sobie. Ja tu zostanę.

— Krzyś!

— Zimno mi, zimno, zimno...—zaskomlał, jak małe dziecko.

Usiadł na ziemi.

Kostniejącemi rękoma Rafał chwycił go wpół i zaczął wlec dokąds, przed siebie. Ale uszedł tak zaledwie kilkanaście kroków. Potknął się i runął w rozmiękły zagon. Przez chwilę leżał bez sił, z twarzą w brózdzie, pełnej roztającego lodu, zimno i martwo myśląc, że już nic nie poradzi. Dreszcze wyrwały się z pod jego woli, łamały go i trzęsły. W głowie zatlił się krwawy płomień.

Ruchem niezawisłym od świadomości, myśli i woli, głuchym aktem bezdennej rozpaczyny zaczął zdzierać z siebie mokry, obmarzły kubrak, który go tem strasznie zimnem przejmował — i raptem zaczął to czynić co sił, co tchu, co mocy w palcach. Zdarł ze siebie koszulę, spodnie i zaczął mocować się z rozmiękłymi butami. Rzemień przywarł do nóg. Zdało się, że cholewy są skórą ciała.

Ciągnęły się, jak guma. Po długiej męczarni zwłókł wszystko z siebie i został nago. Wtedy to samo zaczął robić z Cedrą. Poszarpał na nim ubranie w pasy i odarł go ze wszystkiego. Tamten leżał bez sił w miękkim zagonie, dygocąc ciałem, gdy zzuwał z niego buty. Kiedy Krzyś był już zupełnie nagi, Rafał zaczął go prać pięściami, szarpać za ramiona, bić z całej mocy po nogach i zmusił do walki ze sobą. Okładali się pięściami na dobre, gdy Rafał wrzasnął, że muszą lecieć co tchu, bo inaczej zginą obadwaj. Znalazł w ciemności rękę Cedry i jął go ciągnąć. Z początku tamten włókł się, padając co krok, szedł ociężale, później coraz prędzej, aż wreszcie pobiegł. Lecieli jak obłąkani, przez niewiadome pola, przełazili przez płoty, mijali wawozy, zarośla, krzaki, doły. Było im coraz cieplej i z każdym krokiem przybywało sił. Jelenimi susami sadzili przez rowy, nie bacząc na to, gdzie noga stanie. Biegając tak obok siebie na wyścigi, trafili na grunt twardszy, wznoszący się ku górze i poznali, że są na Sandomierskim płaskowyżu. Rafał zaśmiał się z cicha.

Już teraz nie lękał się topieli. Było mu dobrze rwać tak, co pary w piersiach, nurzając się w śmiertelną oćmę nocną, grzać się jak ogier w biegu.

W pewnym miejscu, lecąc bez przerwy w nieznanym kierunku, z nagłą usłyszeli poza sobą daleki, daleki dźwięk. Był to głos zegara na wieży

kolegiackiej. Skoczyli w tę stronę i wnet nozdrzami poczuli dymy. Sandomierz!

Zbliżali się do niego od Opatowa. Gdy przybiegli do ogrodów miejskich, szli po zapłociu ich aż do swego, wskok wdarli się na górę i stanęli przede drzwiami domostwa, które było ich czasową siedzibą. Teraz nareszcie groza położenia zajrzała im w oczy...

Rafał dumiał przez chwilę i z lekka poprobowwał drzwi, wiodących do sieni. Ku jego wielkiemu zdumieniu—ustąpiły. Weszli cicho, jak upiory, i sunęli się obok ścian, po dobrze znanych dylach. Z sieni wchodziło się do stancyi profesora. Trzeba ją było minąć, chcąc dostać się do ich studentckiego pokoiku.

Otwarli drzwi, uczyli ciepły dech zimowego mieszkania i, niby widma, szli przez tę stancję. Słyszał było tylko bicie ich serc... Wtem Krzys runął razem z krzesłem, na które wlażł w ciemności. W mgnieniu oka dom się poruszył. Zabłysły światła. W sąsiedniej izbie ktoś skrzesał ognia, zapalił świecę i, nim zdolali dopaść drzwi, zastąpił im drogę. Był to profesor, ich mentor i chlebobdawca. Stał przed nimi w bieliznie, wysoko wznosząc świeczkę lojową. Gdy ujrzał dwie postacie nagie, jak je Bóg stworzył, unurzane w ciemnym bagnie, otwarł usta i długo im się przypatrywał. Powieki jego drgały, a szlafmyca trzęsała się jak w febrze. Winowajcy stali przed nim, zachowując

cyniczne milczenie, i brutalnie przypatrywali się jego chudym łydkom. Wreszcie słowo skrzydlate wyfrunęło z jego łacińskiej gardzieli:

— Olbromski!... to ty, ptaszku! Twoja to jest nowa sprawka...

— Panie profesorze! — zawołał Cedro, wyciągając ku niebu zabloconą prawicę: — przysięgam, że to ja jestem winien.

— Czemu jesteś winien, kochanku?

— Ja sam tylko! Winien jestem! Ja to go namówiłem, Rafała, ja wymyśliłem...

— Cicho! Będziesz mi tu się stroił w bohatera, mnie niewinnia!... Mnie!... — rzekł Rafał z pogardą, która kierowała się właściwie nie do towarzysza niedoli.

— Olbromski! — wykrztusił belfer, trzęsąc się z zimna i wściekłości: — odpowiesz ty mi za to w dniu jutrzejszym. Wielki Boże! nago łazili po mieście w nocy, zimową porą. Wszystko się to wykryje!

— O, wykryje się, niezawodnie! Wszystko na świecie może być wątpliwe, to tylko jest pewna, że ta sprawa się wykryje.

Oczy jego błysnęły złowrogo i okropna ironia zaświeciła w nich płomieniem.

— Chodź spać! za mną! — krzyknął rozkazująco, jak wódz, na Krzysia i majestatem krokiem, zostawiając na idealnie wymytej po-

dłódze dokładne odbicia spracowanych stóp, ruszył w stronę łoża.

Z jakąż rozkoszą uczuli obadwaj kołdry na grzbietach!

.

WILKI

Psy ze szczekaniem skoczyły ku Rafałowi, który umykał, co siły w nogach. Ledwie, ledwie zdążył przypaść do konia, odwiązać supeł cugłów i stanąć w strzemionach, gdy go opadły. Baśka rzuciła się naprzód, jak strzała. Sadząc jeleniami susy, wypadła w pole i uszła psom. Długo niosła go w podrzutnym skoku wskrós wicheru i śniegów po niewiadomej przestrzeni. Nie ściągał wodzów, nie mógł kierować jej chodami.

Dokoła wrzała rozpętana burza. Całe pole, skrós którego leciał, zrywało się, jak oszalone jezioro. Falami huśtały się sypkie tumany i naksztalt bryzgów strzelistych pian wylatywały do góry, ponad konia. Kiedy niekiedy zrywał się jakoby schylony filar, stał chwilę w powietrzu i rozlatywał raptownie, jak kupa piasku. Wicher dął zaciekle. Wypadał z gwizdem, jak gdyby z jakichś szczelin w ziemi. Była ciemność nieprzejrzana, straszliwa, pełna tylko kłębów białawych, wzmagających się wśród poświstu. Co kilka chwil rozlegał się tępy wrzask zawiei, ryk zdławiony jakoby przez pętlicę z rzemienia. Wybuchały niewiadome siły,

chwyciły się w ciemności za bary śmigłe, gibkie, lecące ciała. Śniło się, że grzmocą wzajem pierś w pierś straszne pięście, że zduszone gardła charczą i wyrzucają krew, że w ciemnych jaskiniach nocy coś zdycha i daremnie prosi o łaskę.

Wierzchówka, puszczonej wolno, szła w zawód z wichrami. Osnowa jej grzywy trzepała kiedy niekiedy schyloną, nisko twarz Rafała. Teraz dopiero czuł upojenie. Surowemi kłatwami podniecał żrebicę i burzę, żeby obiedwie wyteżały siły. Lećcie stwory! Co ducha, co mocy! Polotny skok. Baśki zmienił się w cudny bieg. Dziko parskiała. Zdało się, że chce wyrzucić konchy nosowe, że rozwarła jej chrapy zioną krwią i płomieniem.

Nie czuć już było podrzutów, gdy sprężyste nogi odbijały się od zmarzłej ziemi: pławała się w tumanach śniegowych, jak w rozbujalej wodzie.

Kobyła przez czas pewien biegła po niewiadomej płaszczyźnie. Rafał nie wiódł jej wcale. Znie-nacka poślizgnęły się kilkakroć jej tylne kopyta. Jechała na zadzie, zrywając się na nogi... Poderwał ją uзда, wstrzymał i puścił wolnym kłusem. Był w jakimś nieznanem miejscu, na błoniach zarosłych iwiną i chróstami, które przeraźliwie w wicherach gwizdały. Świerzopka brnęła przez dawne śniegi, do piersi jej sięgające. Nogi jej ślizgały się na lodach jakowychś rozległych. Rafał pomyślał, że jedzie bez celu, i teraz dopiero przypomniał sobie, że ulegając klaczy, mknie wciąż za wiatrem,

więc się od domu oddala. Rozejrzał się na wszystkie strony, badając, czy jeszcze nie świta. Ale mrok był naokoło niezgłębiony. Skręcił tedy bachmankę pod wiatr i pojechał przed się miernym kłusem. Baśka mknęła chętnie, bujała w polach. Stroiła skoki, chrapała czasami, cofała się, czując przed sobą urwiste wąwozy, nieraz zapadała w rowy i wyrwy, przedzierała się zaroślami tarek i głogu, które w nocy huczały, jak lasy.

W pewnej chwili usłyszał szczególny huk. Zrazu sądził, że jest na brzegu Wisły, ale wnet zorientował się, że Wisła stoi, okuta przez lody. Baśka szła krokiem wolnym, ostrożnym, nasłuchując i chrapiąc niespokojnie. Wkrótce Rafał rozróżnił w tym huku trzask i skrzypienie drzew. Podjeżdżał tedy do wielkiego lasu, a z takiej strony, że wcale nie mógł osądzić, gdzie jest. Było tu zacisznie. Las go zasłaniał od wichru, był więc między nim a domem. Takiej, szeroko rozwartej kniei nie było w całej okolicy.

Niewiadome zastępy drzew wołały w ciemnościach. Wylatywał stamtąd to przeraźliwy głos spadających skał, to huk wód, które lecą w bezdenną próżnię z wysokości obłoków. Słysząc było stękanie całych poręb, trzask bukowych konarów i świst siekący różg brzozy, zgiętych do samej ziemi... Nadewszystkiem wszakże panował martwy pomruk. Rozdymał się, albo zacichał, ale trwał ciągle. Przez chwilę Rafał stał przed tą ścianą nie-

widzialnego boru i niechętnie rozmyślał, co ma czynić, w którą stronę jechać. Co prędzej chciał to przedsięwziąć i wracać do swych widzeń miłosnych. Było mu wszystko jedno. Byleby się tylko świt nie pokazywał...

Wtem Baśka skoczyła w bok, jak ciosem rżona. Rafał cudem tylko nie zleciał z siodła. W oczach mu coś zamigotało, tam, w tych leśnych głębiach. Przez sekundę snił, że to migoce światelko w dersławickim dworze, i radość go owiała. Ale prędzej od ruchu źrenicy zmienił się ów sen w postrach gwałtowny, który go przebił na wylot, jak gdyby lanca. Kobyła z ryczącem chrapaniem stanęła pod nim dęba, piorunem zwinęła się na tylnych nogach, wyszarpnęła mu z rąk cugle i skokiem z miejsca poszła w przestwór, precz od lasu, za wiatrem, co pary w piersiach. Stało się to tak nagle, że Rafał uczuł tylko uderzenie krwi do głowy. Schylił się, ręce wsparł na łęku, nogi wyciągnął, złożył po boku klaczy... Na pustych polach, wśród tańczących śniegów Baśka kopnęła się w przeciwał coraz bardziej chyży. Jeździec miał teraz pełne usta śniegu. Mokre szmaty zamieci chlastały mu twarz, długa końska grzywa siekła policzki. Wicher go do kości przejął. W tym biegu nad biegi słyszał ciągle poza sobą cmokające kłananie, jak gdyby zgłodniałych psów.

— Wilki za mną... — wyszeptał.

Włosy mu się jeżyły na głowie i lodowate

mrowie szło po grzbiecie. Wtedy cichym a ostrym głosem, przychylając głowę do szyi kobyły, przez ściśnięte zęby mówił jej nad uchem:

— Basia, ratuj, Basia!..

Klacz jakby rozumiała, co mówi. Nie był to już galop, nie cwał. Leciała nad ziemią we fruujących pianach śniegu z chyżymi wilkami w przegony. Nozdrzami jej strzelał ostry świst. Wyciągnięta szyja okryła się gorącą pianą. Była jak godzący pocisk...

W jakiejś chwili Rafał zgarnął śnieg z oczu. Dźwignął głowę, wykręcił się na siodle i spojrział w tył. Ujrzał cztery błyski, migocące gdzieś w głębi. Gdy tak wzrok natężał, że widział prawie cielska ścigających go wilków, wiatr zdarł mu z głowy czapkę. Rafał schylił głowę i uczuł wnet, że ma płomień we włosach, płomień, pełgający na szyi, na krzyżu. Leciał, mając grzywę ognia na sobie. Bił teraz obcasami kobyłę w zapadłe boki, smagał ją końcami lejców. Rozpacz okrażała jego czaszkę, zwolna ją oplatała, jak długie, zimne skręty żmii. Wnet z piersi jego wylatywał krzyk, martwiejący na ustach, wnet dziwaczny, głupkowaty śmiech. Klacz przesadzała krzaki, płoty... Drzewa leciały obok, stronami ze świstem, krzaki miały w leżącego śmiech urwany, jak oklask, chichot dyabelski. Tu i ówdzie wierzchówka skręcała nagle pod wiatr i z rozwartymi nozdrzami kopała się w dzikich rzutach przez zakłęśłe parowy, a zbierając nogi

do kupy, wypadła z nich lwimi susami. Czasem stękała, jak człowiek, czasem coś, jak czuły wyraz ze szlochającym krzykiem, zionęło z jej pyska. Były chwile, że cmokanie nacichało. Na gołych polach Baśka ubiegała wilki o staje, albo i dwa, ale wśród parowów pościg ją doganiał. Gdy do jej uszu doleciał osłuch wilczego cmokania, gnała znowu ze zdwojoną siłą, śmigając jak ptak, skrzydła orle mający u każdej pęciny, brzuchem rozgarniała śnieg na ziemi. Rafał utracił rozumienie czasu. Chwilami zdawało mu się, że leci już przez całą noc. W głowie jego utworzył się oziębły i pusty ból, który co chwila wybuchał płatami ognia. Niekiedy ciemność rozdzielała się przed rzuconem spojrzeniem, i ukazywało się w jednym błysku widziadło chat, rodzinnego domu, dnia... Za chwilę była to już tylko straszliwa, ciemna otchłań. Nie wiedział już wcale, czy jest ścigany, czy nie. Leciał w powietrzu...

W jednej chwili, nie wiedzieć kiedy, usłyszał trzask. Tęczowe ognie napełniły mu głowę i oczy. Magnął kozła przez łeb kobyły, która runęła na ziemię, i zleciał w głęboką zaspę. Przez chwilę leżał na wznak, po szyję zanurzony w miękkim śniegu, bezwładny i prawie rad z tego, co się stało. Wtem buchający parą, włochaty potwór z przeraźliwym sapaniem, jak koń, zwałił się na niego. Rafał uczuł wszczepione w siebie pazury i kły. Straszliwa, długa paszcza wżarła się w ko-

zuch na jego piersiach, przejęła kłaniami grubą sukienną kurtę i, miotając łbem olbrzymim, targała w prawo i w lewo. Kły worały się w ciało. Jakoby obuchem siekiery druzgotały mu piersi, ramiona, ręce ciosy tego czarnego łba. Czynem rozpaczy Rafał chwycił nagiemi dłońmi ów czerep za nastroszone, grube kudły około stojących uszu. Zdusił żelazne, ogniem zionące gardło. Klęcząc w śniegu, zaczął teraz borykać się, wodzić na śmierć i życie ze zwierzem. Był to pod nim, w objęciu jego stalowych łap, w jego pysku, to leżał na nim. Wkrótce jednak wydał wrzask przeraźliwy, gdy ręce znalazły się w rozwartej paszczy. Lśniące widzenie przeraźliwych oczu wilka ozionęło go mrozem śmierci. Wtedy obie ręce wydarł z paszczy i zadał w owe ślepie cios zwiniętą pięścią. Ale prawa dłoń trafiła w rozwartą paszczkę i wbiła się aż po gardziel. Piorunowym ruchem Rafał rozwarł pięść i wszystkimi palcami, silniej niż sęp szponami wpił się w to ogniste gardło u podstawy jęzora. Darł go na zewnątrz. Wilk rozwarł pysk, wygiął się, jak naciągnięty łuk. Wszystkie cztery nogi wszczepił w piersi Rafała. Pazury zdarły w szmaty, w strzępy kożuch i orały żywe ciało od gardzieli do brzucha. Tylko gruby pas rzemienny kiszki od nich osłonił. Łeb targał się w oszalałych rękach Rafała ze śmiertelną potęgą. Ślepie kołowały. Z nagłą straceniec usłyszał w głowie swej myśl, pełgającą jasnym światłem, dźwięk krótki, jak ostatnie

uderzenie dzwonu: klucz. Cichym, złodziejskim ruchem lewej ręki, z cudownym przeblyskiem nadziei mordu w duszy, która jak płomyk ciepły stanęła w jego mózgu, skradł się pomiędzy rozwieszczonymi ruchami nóg wilczych do kieszeni rajtuzów i w mgnieniu oka wywłókł z nich żelazo. Ujął je pośrodku długości. Z góry, co siły w zamachu, potężnym ciosem, chichocząc, wbił je w lewe ślepie. Ujrzał, że zgasło. Wtedy podwójnym ciosem w drugie, aż się po dłoń zatopiła krzywa sztaba. Gdy zgasły przed nim straszne kagańce, zaczął bić w czerep, między uszy, w kufę. Ostre końce klucza więzły między kośćmi nosa i w czaszkę. Miażdżył je teraz pótą, aż się klucz napoły we łbie wilczym nurzał. Czuł, że zmasakrował kości i że rozwała mózg. Wtedy sztychem spodnim począł bić w brzuch. Rzygająca jucha oblała go wrzącą strugą, jak z cebra. Wilk wciąż jeszcze był na nim, wygięty, pazury łap szarpały go, ale już słabiej, coraz słabiej. Łeb siepał się coraz wolniej. Wreszcie wśród nieustających uderzeń Rafał bez tchu runął na cielsko wilcze. Nie wydobywał jeszcze z pyska prawej ręki, zgiętej skurczem śmiertelnym. Ustał. Bezwładnym już ruchem żgał zwierza, coraz mniej ruchomego. Słyszał, gdzieś obok siebie, śmiertelne rżenie Baški. Słyszał w samej głębi serca i w szpiku kości jęki jej ostatnie, jakoby wołanie o pomoc. Słyszał, jak ją drugi zwierz rozdziera żywą, jak rozrywa jej szlachetną szyję, drze gar-

dziel, jak chłopce płomienną krew i mlaszczącym pyskiem żre dostojne piersi. Nie miał odwagi wstać. Łkał, leżąc w gorącej topieli krwi własnej i uchodzącej juchy wilka. Resztkami wiedzy i sił kuł jeszcze raz za razem. Łapy zaczęły drgać bezwładnie, wreszcie opadły. Zbliżył do zdruzgotanej mordy twarz i mówił w nią:

— Znaj pana, znaj pana!... Za Baškę!

Wyrwał z paszczy rękę, jakby z cieśni ognistej. Leżał na gorącym trupie i spoczął na nim jak w pościeli.

Nie rychło, tknięty jakąś błędną myślą, ściśnął w rękę żelazo i dzwignął się z ziemi. Czuł śmierć nad sobą i niewymówiony mróz strachu. Serce ciskało się w nim odległymi, ślepymi i bezdźwięcznymi wybuchy. Chwilami ustawało, jak zabite. Zaczął iść wskroś zasy, z krzykiem chwytając w piersi powietrze. Brnął, potykając się. Stawał. Zrywał się z kolan i na chwiejnych nogach. szedł, uciekał, zmykał od łkającego rżenia kobyły. Usłyszał wietrzny szum i przypadł do drzewa. Objął pień rękoma, obłapił go, jak chłop wszechwładne nogi pańskie.

Był to samotny jarzab przydrożny, do pól zadęty przez wiotkie śniegi. Rafał schował klucz do kieszeni, wdrapał się na drzewo i usiadł między dwiema rozwidlonemi gałęziami. Teraz dopiero poczuł i spostrzegł, że piersi jego są nagie i że są jedną otwartą raną. Dopóki leżał na wilku, nie

czuł ni zimna, ni bólu. Teraz zakrył się rękoma, skulił, przywarł do drzewa. Rozum jego wydarty był z korzeniem.

.....
Nie rychło, nie rychło pojął...

To dnieje.

Podniósł głowę, płonącą w ogniach niebieskich, zielonych, fioletowych, szkarłatnych, i jął patrzeć dokoła. Pola! Pola bez końca! Nagle lkanie wyrwało się z jego ust. Buchnęło, jak żywa krew z przerwanej żyły. Ujrzał Baškę. Leżała na boku, rozciągnięta, ze łbem odwalonym bezwładnie. Wilk rozszarpał jej brzuch, wlaźł weń ze łbem i przednimi łapami. Czarny jego kadłub, unurzany we krwi, wysuwał się z niej co chwila, wlekąc na zewnątrz śniade i ponsowe jelita. W obłądziej zacieklej zemsty Rafał skoczył na ziemię i wielkimi krokami poszedł w tamtą stronę. Bielmo zalepiło mu oczy, usta ciskały przekłete wyrazy. Ściśnięte, krwawe pięście biły w wiatr. Już za chwilę zaczął uciekać w przeciwnym kierunku. Włókł się po zagonach, padał na twarz w lotne zaspasy, dźwigał się i znowu wstawał. Za każdym krokiem otwierały się rany jego piersi i skrzepła, zastygła krew znowu broczyła. Świtało. Odsłaniały się pola coraz dalej i dalej. Modra poświata przenikała śnieżną zawieję. Rafał żegnał się z tem światłem ostatnim dreszczem serca. Ciało jego ze drżeniem waliło się na ziemię. Myśli z czaszki

uciekły. Widział dokoła siebie tysiące mar, tak samo, jak on, podrywających się z zagonów i mkających w lekkich śniegach. Chwilami wytężał wszystkie siły, żeby krzyczeć, ale tylko schrypiły jęk z gardła jego wypadał. Stracił wreszcie ostatnie dreszcze woli. Nie wiedział już owo zgoła, czy idzie, czy stoi. Żółte krzyże z równymi ramionami zaczęły występować dokoła. Dzień biały, święty, z końca świata wstający, począł gasnąć... Jakoby pokrywa, ukuta z ciemności, niezmierzonej myślą, nieobeszłej wyobrażeniem, krąg z brzegi obrabianymi zawisł nad polami i szedł na jego czoło. Ostatni raz oczy pełne łez spoczęły na widnej jeszcze wstędze światła. Bezmiernie obrzydzenie, awersya, wzgarda przyniosły obraz śmierdzącego wilka. Coś czarnego przebijające tam śniegi, wlokło się zwolna... Za nic na świecie walczyć już nie chciał. Nie, nie!

Tymczasem czarna zjawą zbliżała się ciągle, i oto Rafał z podziwem ujrzał parę szkapiat, tak małych, że wielkie ich łby i chude tułowia ledwie było widać między zaspami. Za końmi sunęły gołe sanie chłopskie, a na poprzecznej listwie przodka siedział skulony chłop w wielkiej rogatej czapie i żółtym kozuchu. Wiatr poddymał kultuniaste grzywy i ogony zbiedzonych, włochatych źrebiąt i zasypywał je śniegiem.

Rafał wołał na woźnicę, stojąc na miejscu, ale tamten nie słyszał wcale, gdyż magierę wsu-

niętą miał na uszy i głowę owiazaną szmatami. Konający ostatnim rzutem sił, z wyciągniętymi rękoma posunął się ku niemu i włókł za saniami z wołaniem coraz cichszem. Konie szły noga za nogą, torując sobie drogę ku opłotkom, na których Baśka załamała się była i zginęła. Z dala poczuwszy wilka, konięta dzwignęły łby i zatrzymały się w miejscu, pełne niepokoju. Chłop stanął na sanicach i wpatrywał się w dal. Wtedy Rafał przyczołgał się do niego i runął nań z boku.

Ujrawszy półnagie widmo, od stóp do głowy staplane we krwi, zagrodnik z wrzaskiem cisnął powrózki lejców, bat i uciekał w pole. Dopiero ubiegłszy kilkadziesiąt kroków, opamiętał się i ostrożnie zaczął przyglądać.

Kiedy po długich namysłach wrócił do zestrachanych koni, znalazł Rafała, leżącego w poprzek sanic bez duszy.

POTYCZKA

W nocy z 14 na 15 sierpnia generał Verdier odstąpił od oblężenia Saragossy. Nie było sposobu zdobyć jej wstępnym bojem.

Krzysztof Cedro już od dnia 6 sierpnia znajdował się w Monte Torrero. W dniu 5 sierpnia został na ulicy Cosso raniony w udo odłamkiem granatu, wskutek czego nie mógł uczestniczyć w dalszych działaniach. Leżał w baraku szpitalnym aż do chwili wymarszu wojsk francuskich w górę rzeki Ebro, a w stronę Tudeli. Pod koniec tygodnia swego wypoczynku należał zresztą do lepszych robót minierów przy zakładaniu prochów.

Trzeci szwadron lansyerów polskich wyszedł ostatni z Monte Torrero z improwizowaną artylerią Hupeta. Nie dochodząc do rzeki Xalon, wojska francuskie zatrzymały się w oczekiwaniu na wybuch min. Cedro był jeszcze znużony chorobą. Szczególna w tym czasie zaszła w nim zmiana: uspokoił się i wzmacnił. Stał się jak gdyby dojrzały, stały i nieprzebiegany i nieugięty w swej obojętności. Znalazł bezwiednie w tym nastroju

duży wyjście z labiryntu moralnych drgań i niepokojów.

Oto, nadeszła chwila długiej niepewności, napiętego oczekiwania w milczeniu. Słychać było tylko huk rzeki Xalon. Kapitan minierów, który był prochy zakładał i zapaleniem lontów kierował, wydobył z olstrów pistolet, żeby w łeb sobie strzelić, jeśli wybuch wcale nie nastąpi. Dla Cedry była ta chwila daleko bardziej obojętna, niż dla starych wyjadaczy, dla wytrawnych łazęgów włoskich i młodych wisusów a zbójców z temperamentu. Taką ciszę i spokojność wewnętrzną przeżywał we Francji, czasu wielkich marszów pułkowych. Cekał teraz na wybuch, jak w teatrze oczekuje się na oświetlenie ogniem bengalskim efektownej grupy dziewic. Jeżeli doświadczał jakiej przykrości, to było nią zwątpienie o tym wybuchu.

Ale oto, na szczęście dla kapitana minierów, głucho jęknęła i zatrzęsła się ziemia, a łoskot oddały góry Aragonii. Słupy ognia, fontanny dymu, gejzery kamienia i chmury gruzu buchnęły w niebo. W nich ludzie magali kozły w powietrzu, jak zastrzelone w lot ptaki.

Ruszono w marsz dawną drogą przez Alagon, Mallen ku Tudeli wśród nieustających napaśtów chłopów, zorganizowanych w bandy powstańcze, zwane *guerillas*. Wojska regularne Don José Palafoksa y Melcy szły w te tropy. Pułk lansyerów stanął wreszcie obozem w budach dre-

wnianych, kleconych na prędcie, nad samą rzeką Ebro. Był wysunięty w stronę nieprzyjaciela i nie miał chwili spoczynku. Konie stały w błocie i glinie rozmięklej, to też dostawały grudy i ochwatu. Szczury wodne nie dawały żołnierzom spać po nocach. A noce były już nadzwyczajnie zimne. Zaczęły bić deszcze jesienne. To też rozkoszą niemal była dla żołnierza każda wyprawa. Krzysztof uwolnił się z artylerii, wrócił do szwadronu i lancy. Robił nią już oddawna i świetnie wszystkie *manievements*, wolty i piruety. Wykazał w potyczkach sprawność zupełną. Kiedy poprzednio w górach, otaczających Saragosę, wyuczył się przedewszystkiem przebijać ordynarnych chłopów w ogniem natarciu, teraz ćwiczył się w sposobach walki z regularną konnicą. Był tedy już niezwalczony w zwykłym, wysadzającym z siodła „broń do ataku!“ — w szarżach *en-avant-pointez!* — w parowaniu w lewo, czy w prawo, w zdradzieckich, wściekłych, a niezwalczonych ciosach w tył i bok. Uczyl się tylko jeszcze pod Tudelą od mistrza Gajkosia najtrudniejszych napaści *par le moulinet*, zadawanych z wysoka, z ponad głowy, kiedy się lancę trzyma lekko między palcami, a cała moc cielesna i siła ciosu spoczywa w palcu wskazującym. Były-to piorunowe a lekkie pociski w twarz, między oczy, w gardło wroga, a raczej wrogów. Gajkoś miał możność codziennie pokazywać uczniowi, jak te „prztyki“ rozdawać w obskoczeniu. Rzucali się

tedy dla nauki, praktyki i przykładu w gęstwinie hiszpańskiej konnicy, *guerilleros*, lub regularnej piechoty samowtór, czy samotrzeć w moment po salwie strzałów, zanim tamci mogli broń nabić. Sko-kiem, co siły w bachmacie, wpadali w tłum. Sztuka walki z przemagającym stokroć tłumem, polegała na tem, że grot lancy niweczył opór nieprzyjaciela w odległości sześciu łokci od piersi ułana. Żołnierz hiszpański, pragnąc cios zadać, musiał zbli-żać się o dwa i trzy kroki. Furkot chorągiewki i błysk ostrza tworzył wnet wolne koła. Wokół trzech jeźdźców na koniach powstawały trzy pla-ce, a pierwsza luka stanowiła dla nich jakoby wy-łom w murze fortocy. Widziano też nieraz pod Tudelą iście fenomenalne zjawiska. Bataliony pie-choty i szwadrony jazdy hiszpańskiej rozsypywały się i pierzchały w pole, jak zgraja dzieci, przed byle garsteczką ułańską, pędzącą z kopyta.

Długo trwały te codzienne lekcye i korepe-tycye nad rzeką Ebro, bo aż do wielkiej i sławnej bitwy pod Tudelą w dniu 23 listopada. W tej bi-twie, oba bataliony piezse legii, pierwszy pułko-wnika Kąsinowskiego i drugi, w którym walczył kapitan Wyganowski—wslawiły się męstwem nie-ustraszonem, zlały krwią ziemię i przyczyniły się przeważnie do wielkiego pogromu Hiszpanów. Krzysztof Cedro po szarży w tej bitwie został oficerem. Zaliczono mu służbę w przykopach pod Hupetem, jako pierwsze awanse na brygadiera

i na stopień *maréchal de logis*. Zakwitł teraz w swoim szwadronie, jako pan *lieutenant en seconde*. Musiał się wkupić do koła, nabyć od kolegów okucie sre-brne do daszka, łańcuszek do podpinania, szlify i hafty munduru, czapraka, akselbanty przerzucić na prawe ramię, rzemienie wszystkie safianem podszyć...

Sprawiło mu to niemałą radość, że nareszcie dosłużył się stopnia. Oficerowie powitali go życzli-wie, znali go już bowiem dobrze, wiedzieli, co zacz jest na koniu, w ręce, w polu i pod dachem. Nie jednemu z prostszej sfery pochlebiało nawet koleżeństwo z tym austriackim „hrabią“. Ujrzał się też „hrabia“ otoczony przyjaciółmi co się na-zywa. Duszę gotowi byli za niego położyć... Wina nie brakowało w tych miejscach—można się było niem na śmierć zapić, wyznając sobie wzajem bra-terskie uczucia. Były jeszcze i uboczne powody tak serdecznego przyjęcia nowego porucznika. Oto z pułku szwoleżerów gwardyi przysłano w tym czasie do zajęcia miejsc oficerskich sześciu jeźdź-ców. Byli to panowie: Stadnicki, Dominik Runow-ski, Sawicki, Adam Radłowski, Józefat Kadłubiń-ski i Teofil Mikułowski. Sztab ułański, a nade-wszystko młodzież bez stopnia, czyhająca na od-znaczenie, z wielką niechęcią przyjęła gwardya-ków. Ci przybysze zagradzali drogę do awansu istotnie zasłużonym, a nadto, przybywając od boku cesarza i z wielkiego świata, mieli na obliczach

marsa wyniosłości i protekcyonalne uśmieški. Cedro, którego widziano, jak harował w rowach pod Saragosą i darł się z karabinem na barykadę, zyskiwał tem większą, na złość frantom szwoleżerskim okazywaną sympatyę.

W przeciwieństwie do szyku żołnierskiego, w którym żył dotychczas, składającego się ze starych wilków, lwów, hyen i dzików-pojedyneków, w przeciwieństwie do surowych służalców, do nieubłaganych kondotyerów i srogich a ślepych żołdaków — znalazł się teraz w otoczeniu delikatniejszym, młodszym i bardziej ludzkim. Czuł to, że sam przewyższa kompanię oficerską zimną czerstwością, którą był nasiąkł w tłumie wiary. Męstwo w gronie, które powiększył, nie było jeszcze ową kamienną dzikością, sława tu świeciła na ostrzach szabel, honor był dźwignią i miłość dalekiej ziemi zakonem dusz. Nie wszystkich zresztą... Cedro stał się oficerem całą gębą, przyjął ryczałtem wszystkie zalety i wady tego stanu z pokorą a bez zastrzeżeń, jak prozelita świeżo nawrócony przyjmuje nie tylko rytuał, ale i związany z nim w życiu całkowity *modus vivendi*. Już po upływie kilku dni w stanie nowego dostojęństwa spostrzegł, że przewyższa wielu kolegów wiedzą wojskową i doświadczeniem. Rzadko który z młodszych był tak długo, jak on właśnie prostym żołnierzem. Rzadko który walczył tak, jak on w Saragosie i pod Tudelą...

Z pod Tudeli, w ślad za cofającym się w płochu dowódcą Hiszpanów, Peña, który zajął miejsce Castaños, marszałek Ney pociągnął do Tarazona, a stamtąd górami, drogą równoległą do doliny rzeki Ebro aż do Plasencyi. Z Plasencyi wzdłuż rzeki Xalon ciągniono ku południowi na Muela, El Almunia, Morata — starorzymskim szlakiem wojennym, odwieczną drogą z Caesaraugusty do Mantui Carpetanorum, czyli Madrytu, na Bilbilis...

Wiedziano już w wojsku, że Napoleon jest na ziemi hiszpańskiej i że równolegle zdąża do Madrytu na Burgos. Sto koni jazdy polskiej pod grosmajorem Klickim poszło z marszałkami Moncey i Lannes'em znowu pod Saragosę, w ślad za Palafox'em, który szedł zamknąć się w straszliwym mieście, ażeby wypełnić nieśmiertelne dzieło drugiej obrony...

Generał Lefebvre Desnottes dowodził jazdą korpusu szóstego, który szedł przodem dla połączenia się z główną armią. Pierwszy raz na własne oczy ujrawszy tak olbrzymią porażkę ośmdziesięciu tysięcy hiszpańskiego ludu pod Tudelą, przez armie marszałków Lannes'a, Ney'a i Victor'a, Cedro nabrał pewności siebie i ślepej wiary w szablę ułańską.

Były ciągle deszcze i srożyły się wichry, gdy armia francuska szła górskimi drogami Aragonii w stronę Calatayud. Żołnierz polski odznaczał się

czerstwością zdrowia i wytrzymałością na zimno. Więc kiedy Francuzów tłumy wleczono w furgonach, kawaleria nadwiślańska szła wciąż zdrowa, jak rydz, w przednim szyku. We dwa dni po pogromie tudelskim podjazdy ułanów zbliżały się do Calatyud. Armia była dosyć daleko. Wśród deszczu i przelatujących chamer śnieżycy widziano przednie strażę jazdy hiszpańskiej. Kiedy szwadron trzeci zbliżył się do tawerny, zwanej Burviedro i wstał na górkę płaszczynę, otaczającą to miejsce, dały się słyszeć z gór otaczających strzały armatnie. Szwadron stanął na drodze i sformował się w kolumnę w oczekiwaniu na nadejście siły głównej. Deszcz bił ulewny. Gdy nieco ścichła nawałnica, ruszono kolumną w kierunku, gdzie widziano siły nieprzyjacielskie,

Cedro miał na sobie granatowy płaszcz z białym kołnierzem, ale go nie zapinał pod szyję i nie otulał nim ciała. Zuchowi między lansyery nie mogło być zimno. Na czapkę włożył przejrysty, ceratowy futerał, żeby ją od deszczu uchronić, ale końców nie zawiązywał pod brodą. Nie używał również srebrnej podpinkki. Czyniąc zadość kanonowi mody, ustalonemu wśród oficerskiej tężyzny, utrzymywał czapkę, zsuniętą na prawe ucho bez niczego, „sposobem głowy”. Giał wiatr czaplą kitę, ale czapka nie drgnęła. Oczy ułana, przezroczyście, jak jasne morze, nurzały się we mgłę, opar i za-

wieję. Konie, wolno idące, dymiły się i grzały pod czapraki i oponami z płaszców, rzuconych poza siodła. Wtem, jak pistoletowy strzał, rozległ się głos komendy:

— Za broń!

Jak jedno machnęły prawe skrzydła płaszców na ramię odrzuconych. We mgle ukazała się jakoby gęsta, czarna, po ziemi idąca chmura.

— Broń do ataku!

Krzysztof wyrwał szablę. Wziął konia we władzę kolanami, lewą dłonią, spięciem ostróg. Furknął młyniec chorągiewek, podobny do przeszywającego pisku jastrzębia...

— Flankiery naprzód!

— Szwadron do ataku!

— Plutonami — marsz!

— Marsz!

Zrazu wolno, miarowym klusem, szedł szwadron równiną, dopóki na oko nie dojrzał nieprzyjacielskich jeźdźców. Wtedy Cedro za innymi krzyknął w uniesieniu:

— Skróć cugle!

Grenadyerski pluton flankierów na spiętych koniach ruszył cwałem. Jazda Hiszpanów zbliżała się miarowo. Przypuściwszy pędzący hufiec flankierów na strzał, dała ognia z karabinków. W mig po strzale, rozdzieliwszy się we dwa skrzydła pierzchnęła równiną w prawo i lewo.

Konie pod Polakami szły już chyżo. Cedro, widząc przed sobą umykających na prawo, zakomenderował:

— Pędem!

W tej samej chwili jeźdźcy ujrzeli jasny piorun, lecący po ziemi. Był to strzał linii piechoty, ukrytej w rowach, w tyle za jazdą. Tam i sam w cugu Krzysztowa, obok niego i za nim jęknął człowiek. Dzwoniąc zbroją, z krzykiem walił się na ziemię. Chrapały straszliwie osierociałe konie. Jedne bez kawalerzystów pędziły w skok, nie wychodząc z szeregów ani o cal, inne samotne w polu, latały, rżąc po kamienistej równinie.

— Bij, zabij! — wołał szef szwadronu, pewny, że teraz, po strzale, roztrąci piechotę i zmasakruje, ilekolwiekby jej było.

Puszczono bieguny w przeciwną stronę.

— Bij, zabij! — krzyknął Krzysztof uszczęśliwiony, że idzie na czele. Czuł w dłoni pałasz, pałasz swój złoty, ukochany, potężny, mocniejszy od błysku tysięcy zdradzieckich karabinów. Lecił coraz dla siebie wspanialszy, ogromniejszy, niezmierzony, jak anioł gromy ciskający.

Znowu złoto-żółty błysk. Błysk długi, migotliwy, pędzący falą zygzakowatą... Ze szczęścia, z uczuć mocy—tchu aż brak... Już, już—karabinierowie! O sto kroków! Widać ich twarze namarszczone, czapy... Nabijają co tchu broń... Tchu

brak! W oczach płaty... Płaty krwawe i czarne. Dymy... Krzyże, migotliwe koła, szkarłat i błękit... Ognie koliste buzują się wszędzie, bijąc fontannami czerwonych iskier. Mocny Boże! Gdzie pałasz? gdzie pałasz? Spada jasny pałasz z bezwładnej ręki w ciepły dół... Głowa dokądś leci, jak góra kamienna.... Cóż to tak w piersiach zawadza? Co się w piersiach złamało i klekoce?... Tchu brak!

Mocny Boże, co się to dzieje? Ziemia przed oczyma w ogniach, ziemia kamienista, ziemia zryta kopytami, skopana od skoków, zdeptana... Ziemia w ustach, pełna gęba krwi. Ziemia ucieka...

Głowa trzaska w kamienie i w mokre bryły... Z garści konwulsją ściśniętych uciekają kolczaste kaktusy i niskie tarniny... Aż oto pierwsza przeraziła myśl:

— Noga mi została w strzemieniu. Trupa mojego zbiegany włóczy koń...

Wtem cisza, spokojność, błogość. Mokra ziemia naokół. Mrok gęsty. Konie skądś lecą. Rżą i kwiczą. Brzuchy końskie w płatach piany, wierzące ponad ziemią kopyta. Tętent! Grzmiący tętent dudni po ziemi... Jakież to konie rżą? Stadnina w Stokłosach, czy co? Któż to mi spłoszył żrebce?

— Paniczu! — ryczy Gajkoś. Łka. Dźwiga ostrożnie z ziemi grubymi rękami omdłą głowę. Niesie, niesie na szlochających piersiach, na sercu rozhukanem.

— Panicza nama zabili!—ryczy na cały szwadron.—Panicza zabili! Naści, psiokrew, zwycięstwo!
Bodaj was jasne pierony zapaliły...

Zwiotczałe poszeptują wargi:

— Pałasz mój, złoty mój pałasz...

WIDZIADŁA

Noc była zimna.

Przejmujący powiew ciągnął równinami od strony sterczących skał Guadarramy i Somosierry, które jak posępny ciemny pas zostały na północy horyzontu. Armaty, furgony, wozy z prochem, tocząc się po gościńcu, huczały i dudniły. Krzysztof leżał na wznak z oczyma utkwionemi w chmurne niebo. Słyszał wciąż trzaskanie bata, dziwaczne krzyki i pogwizdy mulnika, monotonny klangor dzwonków, chrzęst żelastwa, w zaprzęgu furgonu, łoskot miarowy kół... Materac, zawieszony na żelaznych hakach, chwierutał się do taktu zgrzytliwie, a przecie melodyjnie, tak samo zgoła, jak pewna okiennica w narożniku dworskim w Stokłosach. O okiennicy tej krążyła blisko i daleko wieść, że przepowiada niepogodę. Jeżeli tylko w najcięższe susze czerwca, w najcięższe czasy lipcowe zaczynała pogrzytywać, jakby pokasywać od niechcenia, stękać na strzykanie w zawiasach i chrzypieć na łamanie w zasuwach, ludzie przyśpieszali roboty, na łeb na szyję grabili w kopki siano, schnące na pokosach, rozwaloną koniczynę, czy

wiązali w snopy zboże i żywo zwozili ku stertom. Z odległej nieraz wioski zachodził, bywało, pode dwór karbowy albo włódarz posłuchać na odwieczerz, czy okiennica złego nie wróży.

Krzysztof słyszał teraz zgrzytanie haków, ale nie bardzo wiedział, gdzie jest. Ciemność nieprzyjazna, ciemność—kłęska, ciemność—krzywda leżała na nim. Otaczał go lodowy obwód z szaremi wyrwami, skąd wypełzały ciągle korowody figur. Całkowicie ich kształty, które myśl, czy oko chwycić usiłuje, wydostają się z szarości nie jak obrazy malowane na płótnie, nie jak rzeźby z marmuru, lecz tak, jakoby maskary sztucznie ożywione... Jedne są z chropawego filcu, o włókienkach lśniących pod sennem, smutnem, gorzkim światłem... Rzęsy mają z włóczki przędzonej, z grubej frendzli, brwi na dwa palce wystające, włosy druciane. Oczy ich nieruchome prosto w płonący mózg zadają cios sukiennego spojrzenia i giną w tajemnicy i znikomości, w otchłani szlochów... Zaledwie jedna zniknie, wypływa inna i czuwa nad znużonemi myślami. Żadna nie da się odpędzić aktami woli... Głowa jest, jako puste, rozległe, bezgraniczne niebo, po którym wloką się wielokształtne obłoki, niesione od skrytych wiatrów.

A jak wysokie chmury przypomną nieraz kształt ziemi i dumają nad nim, niejako, tak samo myśli nieszczęsne niekiedy wspomną rzeczywistą ziemię. Widzą z daleka te myśli samowładne i buj-

ne niby w dalekiej przeszłości, jak to w piersi tworzy się nagle a niespodziewanie przepaść rany. Ruchomą stamtąd bije, pienista fala na obraz źródła wyrwanego z pod gliny. Serce szalonymi ciosy, serce-młot, bije raz w raz głębie miękkich, klekocących fal. Płuca zrywają się, siepią i mocują w nadmiernym trudzie. Miecą ze siebie ogromne, galaretowate skrzepy i strugi cichej, słonej, płynnej krwi.

Senne, znużone, spłakane widzenia zmierzchają, cichną i topią się zwolna w ciszy. Szare opony rozprzęgły się, znicestwiały i pierzchły. Nie słychać nic, nie słychać nawet krzyku poganiacza mułów, ani dzwonek, ani zgrzytu haków. Wszystko jest ciszą. Ciało zmartwiało, serce zamiera i bezwładnie leży na obraz skrzypiec rzucanych. Nędzneż to deski! Struny żywe, struny wszystkogrające nie zabrzmią już! Skonała na zawsze melodia wasza, skrzypki lipowe... Dym ciężki błądzi przed oczyma, wlecze się po piasku, gdzie w zamyśleniu błądziła stopa, po ile czerwonym, po siwych opoczystych caliznach... Sprzymiera się i łączy dym ze skibami i wnętrzem brył, dotyka ze drżeniem ostrych kantów, ziarnistych wydech kamienia...

— Tyżeś to jest przeznaczenie moje?—skarżą się wargi.—Przyjacielu, przyjacielu... Tyż to obejmiesz piersi moje, kamieniu? Tyż to ostatnia ucałujesz me usta, żółta bryło?

Nareszcie głębokie westchnienie.

Cóż to jest wokoło?

Zeszły się dokoła głowy, obległy nozdrza, napłynęły ku pierśiom dymy z kwietnika przed domem w Olszynie.

O, błogosławione a niewypowiedziane szczęście obcowania z kwiatami w dniu uścisku śmierci!

— Tyżes to jest ze mną—szeptała usta—siostrzyczko-rezedo? Tyżes to przyszła na martwe ugory mej śmierci? Bóg-że ci zapłaci... Jesteś zapach mojej młodości... Tak jak ty pachnie szczęście dzieciństwa. Zapachu mój, otocz mię i przygarnij do życia... Weź mię z uścisku gliny i kamieni...

Otwiera się przed oczyma cudne dziwactwo, widziane jakoby pierwszy raz, wypukłych, całobrzegich, strzępiastych goździków. Fiołkowemi powłóceniami całują przekrwienia oczu bratki jesiennie... Białofioletowa lewkonia leży na piersiach, na płucach dziurawych, a dobrotliwy jej zapach chłodnem a częstotliwem chuchaniem sączy się w jaskinię rany.

Wtem słyszać, słyszać...

Słyszać, co się dzieje w uszach i głowie. Bija tam w dźwięczne kowadła małe, pracowite, zawzięte kowaliki. Małe to musi być, jak polne świerszcze... Szybko, szybko, z ramienia łupią młotami majsterkowie: raz raz—raz raz!

A potem jeden przed drugim, na wypródk!

Aż tchu brak. Tworzy się z ciosów ciągły szum, unosi się w pustynię głowy huk, jak w głębokim, starodrzewnym boru, lesie...

Dech zamiera. Serce się zrywa i łomocze skrzydłami w gałęzie, niby złapany siecią dziki orzeł. Głowa bezwładna chwieje się w prawo i w lewo po ruchomym materacu, palce rąk błędzą, chodzą, wędrują. Nogi coś ciska w różne strony, jak drwał w złości ciska bierwionami...

Mózg się żywym płomieniem pali. W nim płoną pióra myśli. Spalone na węgiel wargi szepają:

— Trepka... Szczepan... daj-że mi pić, daj-że mi pić... Już my dzisiaj z tego strasznego lasu nie wyjedziemy... Święty jeleń z krzyżem między rogami spotkał nas w lesie... Rafał do niego strzelił... Szczepan... daj-że mi pić, daj-że mi pić...

Wolno nasuwa się, sztorcem nastawia, jak grot lancy, złowrogie pytanie:

— Skądże tu, u Boga, ma być Trepka? Gdzie?

Wracają trzeźwe i spokojne myśli, przypląwa jasna świadomość:

— Śniło mi się, widać, o Trepce...

I znowu, niby ogromy chmur, pędzą myśli innego porządku, wychodzą skądinąd sylogizmy namiętne, pytania natarczywe, odpowiedzi racze i dowcipne, całe komplety genialnych widzeń, odkryć istotnych, wynalazków w dziedzinie myśli ludzkiej. Śmiech dobrotliwy otacza je niby mgłą...

— Nie jesteś tak znowu głupi, Szczepanku, jak sądziłem... Nie doprawdy, nie! Jest w tem sens pewien, jest treść w twoich gędzeniach. Więcej znaczy nowy rów, przerznięty w odwiecznych bajorach nad Wisłoką, niż wygrana potyczka... Czy tak? Niż potyczka pod Burviedro, pod Calatayud? Więcej znaczy jeden przytułek, jeden szpital w twojej, prawi, dziedzinie, niż zdobycie sztandaru... Czy tak? To rzeczy zgoła różne, braciszku miły... Toż przecie jasno widać...

Głowa się pali, głowa kipi i wre. Jako snopy ognia latają w niej zdarzenia, obrazy, dowody, przykłady. Snują się łańcuchy myśli:

— Zabawnyś ty, stary, zabawnyś ty ze swoją przyziemną, chlebożerną filozofią! Pocziwa jest twoja głęboka, wymyślona głupota, lży mi gorzkie wyciska z oczu. Wyrzekłeś się bohaterstwa nietylko za siebie, ale za syny i wnuki, odpinasz na zawsze pióra od przyłbicy i miecz rzucasz rycerski. Pracy się nędznej poślubiłeś, żeby odkupić pradziady i prawnuki.. Zabawnyś ty, stary, zabawny...

Mówisz, że nam to sądziły dzieje... Nie to nam sądziły dzieje; co gorsze, albo lepsze, jeno to, co najpodlejsze, co nogami zdeptane, co na samem dnie leży. Sądziły nam dzieje uciekać, jak psom zerzniętym batami z pod Krupczyc, z pod Kobylki, a po bohatersku wchodzić na Calle del Cosso... Tak nam sądzono...

— Alboż to prawda?... — śmieje się w ucho Trepka, czy dyabeł z obrazu w bocznej nawie kościoła świętego Jakóba w Saragosie.—Alboż to prawda? Nikomu nic nie sądzono. Każdy czyni, co chce, wola jego i rozkazanie. Chce żyć, to żyje a chce umierać, tak jak ty, głupio i po zwierzęcemu, to umiera...

W piersiach wyważa się coś, jak stawidło, trzymające przemocą wody zdławione.

A wywala się i bucha nie woda, lecz ogień. Huczy krew.

Lodowaty strach błądzi po piersiach. Nogi ma z soplów, lekkie, jak zimny dech. Gdzie stanie tam przeraźliwy dreszcz lata. Schyla się i szepce:

— Siadłbyś rankiem w saneczki, w jednego konia... Kopna, nieprzetarta droga. Pierwszy śnieg. Skoczyłbyś cwałem zobaczyć, co też tam w Olszynie słychać. Czy też zdrowi, czy ojciec... czy Mery...

Biją w swe kowadelka kowaliki: raz raz, raz...

Wszystko urwało się i zapadło w ziemię. Szum i trzask...

Wstręt... Ktoś pozywa na sąd za owo wino w świętym kielichu... Smak w ustach wina i goryczy centuryi. Piasku i rozpalonego popiołu pełne oczy.

Wtem natarczywy głos poruszy półmartwe ciało:

— Panie podporuczniku, panie podporuczniku!...

— Któż tam?—odpowie z trudem.
— Ady ja...
— Kto taki?
— Ja... adjutant podoficer, Pruski.
— Nie wiem.
— Nie poznajecie mię to, panie podporuczniku?

— O niczem nie wiem.
— Przecie na mnie patrzycie?
— Patrzę.
— No, my razem pod Burviedro zranieni. Mnie łapę oberwało, a was durch przeszło. Razem nas wiezą. Gajkosia pamiętacie?

— Pewnie, pewnie.
— Zaprzysiągłem mu, że was odchowam. Wiecie?...

— A co to za miejsce?
— Napijcież się tego bulonu, napijcież się duszkiem. Sam Hupka go warzył. Pijcież całą gębą, bo dobry!

— A gdzie to my jesteśmy?
— Już my minęli miasto.
— A jak się nazywało?
— Nazywało się Alkada de Benarez. Droga się nam wykręciła na zachód. Wiatr ustał. Powiadają, że wielką stolicę Madryt będzie zaraz widać, jak się tylko dzień dobry zrobi. Trzy mile niepełna do tej stolicy. Tam nas złożą w szpitalu,

jak cesarz stolicę zdobędzie... Ziąb szelma podły... Krupy z deszczem biły, a teraz jakoś nacichło.

— A skąd to my jedziemy?

— O, la Boga świętego!... Przecie już tydzień czasu jedziemy od Burviedro.

— Już tydzień...

— Nic to nie pamiętacie?

— Może i pamiętam, ale opowiedz...

— W Calatayud przełożyli nas na ten wóz z materacami. Pamiętacie? Jeszczeście, panie podporuczniku, gadali ze mną, jakieśmy jechali przez Ateca, przez Albama, przez Sisamon, przez Medinaceli. W Medinaceli rozdzieliły się drogi. Prawa poszła na jakąś Siguenzę, a lewa wprost na południe do Guadálaxara. Z Guadálaxara jedziemy już całe południe i całą noc do Alcala..

Cedro przechylił do ust garnuszek, zanurzył wargi w płyn i pił chciwie, nienasycenie. Potem zaraz w moment usnął, nim mu Pruski lewą ręką zdołał wyjąć zgięte palce z ucha garnuszka.

Nie ocknął się aż późno w dzień. Świeciło wielkie, złotolite, oślepiające słońce. Uczuł, że go ludzie na ruchomym materacu niosą dokąds w pole, w równą, bezdrzewną przestrzeń. Kołysał się na swem posłaniu, nie mogąc pochwycić taktu ich kroków. Mrużył powieki przed olśniewającym światłem i ledwie ledwie myślał:

— Co też ze mną myślą zrobić? Dokąd mię też zanosą?

Wtem postawiono ruchome łóżko na ziemi. Krzysztof rozejrzał się na wsze strony i zrozumiał, że jest w szeregach rannych, którzy leżeli na ziemi pokotem, jedni na materacach, inni na łózkach polowych, na płaszcach i derach wełnianych. Wodził po nich sennym, obojętnym wzrokiem. Ziewając, myślał ospale, że pewnie tu wszyscy pomrą z zimna na tej wyziewającej chłód i wilgoć, na przemokłej i ohydnej ziemi. Bez przykrości zagłębiał się w życzenie, wwiadywał w pożądanie, żeby już spocząć na zawsze. Byle głęboko! Nie będzie się ruszał, trząsł, drżał... Spać tego, bez łajdackiego budzenia przez byle durnia... Tylko, żeby choć samemu! Wśród trupów obcych żołdaków gnić we wspólnym dole i śmierdzieć pospółu z motłochem... Wnet cicha, daleka muzyka onych skrzypiec... Anielski ich głos przepływa w duszę, jako struga wonności...

Wtem krzyk potężny, łoskot jednolity z męskich, zdrowych, żołnierskich piersi grzmi, niby dźwięczny strzał stu armat:

— Vive l'Empereur!

Za chwilę drugi:

— Wiwat cesarz!

Chwila cicho... Oto znowu bucha ten szalejący orkan radości, ten uniesiony hymn, w jedno słowo zawarte atlantyckie morze:

— Wiwat cesarz!

Dreszcz odmienny przebiegł ciało. Znikł,

a z nim razem myśl o tem, co znaczyć może ten wszechpotężny okrzyk.

Cisza nastała.

Zjawił się w uliczce między rannymi, ułożonymi szeregiem, oficer wielkiego wzrostu i czytał manifest cesarski głosem donośnym, wyraźnym, potężnym. Manifest głosił wszem wobec—zdrowym i konającym żołnierzom, pracowitemu ludowi i bogaczom, księżom i świeckim, Francuzom i Hiszpanom, wszystkim zgoła, kto oddycha na półwyspie Iberyjskim, że w chwili tej cesarz Francuzów na wieki wieczne znosi i niweczy inkwizycję świętą, wypuszcza jej więźniów, umarza sprawy, że liczbę zakonów i klasztorów zmniejsza o dwie trzecie, że na zawsze odmienia i kasuje odwieczne prawa feudalne panów, że znosi i niweczy wszelkie przywileje...

Cedro słyszał wszystko dokładnie i wszystko rozumiał.

— Teraz już wiesz, Szczepanku, — mamrotał, śmiejąc się i ziewając, — dlaczego łamaliśmy starą Saragosę, kastel Aljaferią z jej więźniami, czemuśmy broczyli lance pod Tudelą we krwi ciemnego motłochu. Naszą to krwią pisana twoja konstytucja, więźniu hiszpańskim...

Przechylił głowę na bok i patrzył w słoneczną przestrzeń. Patrzył na kamienisty grunt około swego posłania, na zmokłą w nocy i obsychającą dopiero glinę, rozciapaną od licznych butów. Czuł,

że klei mu oczy prędkie, gorączkowy sen, powieki chodzą, jak po piasku, jak po pacynach zeschłego wapna. Jeszcze jedno senne wokół spojrzenie...

Któż to się zbliża? Któż to idzie ku niemu? Zna przecież tego człowieka... Widział go, na żywy Bóg! Twarz blada i tajemnicza, nikiej księżyc ukryty w chmurach. Oczy w niej zagmatwane latają, latają, to znowu w cienie swe cofną się, żeby czyhać, jak lwy w zasadzce...

Z barłogów, sienników, materaców, der, z nagej ziemi dźwigają się porwane szczątki, potrząskane głowy, wspierają się na łokciach przeszyte, bezsilne tułowia i zeschłe gardła, uszczęśliwione usta miotają krzyk:

— Wiwat cesarz!

Krzysztof podniósł się z legowiska. Coś w nim od tego ruchu złamało się, jak gdyby chrupnęło bez dźwięku. Siadł na posłaniu straszliwie blady, zlany potem, z gębą pełną krwi. Oczy jego, jak kły, werznęły się w nadchodzącego. Zatrzymały go w miejscu. Stał.

— *Sire!* — wymówił Cedro.

Ciemne, wojenne oczy wodza uderzyły w spojrzenie Krzysztofa.

Spokojna twarz, jakby wykuta z niewiedomego metalu, była ku niemu wyczekująco i groźnie zwrócona.

— Jakie jest twoje życzenie? — spytał głuchym i zimnym głosem.

— Jeśli umrę.. — począł mówić Cedro w języku francuskim, spokojnie i groźnie, z dumą i odwagą patrząc mu w oczy.

— Jakiej jesteś broni? — przerwał.

— Lansyer polski.

— Z pod Tudeli?

— Tak.

— Nazwisko?

— Poszedłem z domu mego ojca... Wierzyłem, że moją ziemię... A teraz... na obcej... Wyrzecz, że nie nadaremnie, że dla mojej ziemi... Cesarzu, cesarzu!

Nieme i głuche oczy zagłębiły się i weszły w oszalałe ze śmiertelnej miłości spojrzenie ranego. Nieruchomy, zadumany stał Napoleon. Któż wie? Może w tych natchnionych oczach ujrzał duszę swą młodą. Może rumiane śniegi skał Monte Oro, pinie na cyplach Monte Rotondo, może kamienisty brzeg wyspy w pianach rozhukanego morza zobaczył. Może swoją korsykańską miłość wolności ważył przez chwilę na szali z koroną władcy nad obcymi mu ludami i bełłem Karola Wielkiego. Może wzdychał w utrapieniu za tem, co już w duszy jego uszło, skruszyło się i od wiatrów rozwiane zostało, jak badył umarłego kwiatu, za pochłonięciem młodą, sprawiedliwą i dumną duszą niedoli ojczyzny.

— *Vive la Pologne!* — usiłował krzyknąć Cedro, padając bez sił w swój barłóg. Ale nie krzy-

knął już, tylko te wyrazy wyjęczał przez fale krwi, broczącej z ust.

Cesarz stał jeszcze nad nim długą chwilę. Kamiennym wzrokiem patrzył w jego twarz. Wreszcie podniósł rękę do kapelusza i rzekł:

— *Soit.*

Oddalił się wolnym, miarowym, zimnym krokiem. Za nim gromada generałów. Znikł między kolumnami wojsk pieszych, w tłumach konnicy...

ZAMIEĆ

Ledwie się drzwi zamknęły i dwaj Olbromscy,—Rafał i syn jego Hubert,—stanęli na ganku, wichura poczęła ich szarpać na wsze strony. Zadęty był cały ganek i pół sieni. Ciemność, choć oko wykol, niezgłębiona była wokoło. Mały Hubert brnął po zaspach, po czemś, niby dachy, i nie mógł wyjść z podziwu, że jest na znajomej drodze, wygradzonej z dwu stron parkanem do motkowskiego dworu. Z okien dworskich padały rzęsiste smugi światła. Dojrzał w jednym promieniu ogromnego parobka w grubym kożuchu i baraniej czapie, na której osiadła druga czapa, śniegowa,—jak trzymał u pyska Łyskę. Grzywa Łyski fruwała, a ogon niosło w bok za wiatrem. Namacali obadwaj z ojcem saneczki, dwa w nich siedzenia ze snopków kłoci okrytych kilimkami. Wszystko było śniegiem grubo zadęte. Na tylnym siedzeniu już się nawet usadowiła spora zaspą, gość nieproszony. Łyska chrapała, biła kopytami.—Wysoko, w ciemnym pustkowiu nocnego nieba, huczały wielkie topole i lipy, otaczające dwór, oraz zabudowania motkowskie. Ten głos był tak złowrogi, że lęk

niepojęty serce dziecka ogarnął. Widziało się, że to jakowaś dzika moc niesie się wśród poświstów górą — niewidokiem ponad cichą, przyziemną siedzibą, że się z pustki polnej wywiera przeciwko światłom jej okien. Huk ciągły, jednostajny, wznosił się kiedyniekiedy do niedosięgłej wyżyny. Małe serce mdlało i truchlało, poddane temu nieubłaganiemu głosowi.

Parobek Walenty uspokajał kobyłkę, przemawiając do niej słowami, których drukować nie sposób. Wsunął wreszcie lejce w ręce pana Rafała Olbromskiego, gdy poznał, że się ten już umieszczył na przednim siedzeniu — i znikł wnet w nocy, przepadł w ciemności, stał się niczem, jak sama ciemność. Z ganku zabrzmiał w wichrze pożegnalny głos motkowskiego dziedzica, ale słów już nie można było rozeznąć. Wiatr je z warg porwał, uniósł w noc i jakby w śnieg cisnął. Pomknęli z miejsca. Łyska zmarznięta, schłostana od wiatru, susami wypadła z podwórza, minęła pierwszy zakręt na prawo za bramą, po chwili drugi na lewo... Sanice zatoczyły okrągły kształt dwu brzuśców litery S i pomknęły na szeroki wygon drogi ku Wyrwom. Huk drzew przycichał, wnet ustał, jakby się w ziemię zapadł. Olbromski-ojciec orjentował się co do wiatru. Wiatr bił z prawego boku, od lasów, i wyraźnie świstał między żerdziami obustronnego płotu tej drogi. Między temi płotami leżały zaspasy niewiarygodnej wysokości. Klaczka wnet się wysie-

pała, kopiąc się w śniegach, choć saneczki były najlżejsze, jakie być mogły, bose, obciążone tylko dwiema z boków deskami i parą siedzeń. Dla przebycia zasp trzeba było torować szlak w śniegu sytkim, jak pył najlżejszy, ale głębokim na chłopa. Szukając drogi sposobniejszej, Łyska szła to w prawo, to w lewo, szarpała sanie aż dyszel trzeszczał i skręcała na miejscu, gdy jej nozdrza i oczy razila zadymka, tnąca ostreimi pyłami. Obadwaj podróżni pamiętali, że są w opłotkach i co chwila radzili z cicha, czy jeszcze nie wymięli wygonu. W pewnej chwili wątpliwość nasunęła się aż na zbyt wyraźnie. Pan Rafał Olbromski zatrzymał kobyłkę w miejscu, kazał Hubertowi wysiąść, iść na prawo i zbadać, czy na płot trafi. Mały Hub wyskoczył w śnieg, szedł jakiś czas we wskazanym kierunku, brocząc w zaspie, ale płotu nie znalazł i poprzedniego świstu między żerdziami nie słyszał. Ruszyli teraz wolniej, noga za nogą, pustkowie, gwarząc o ciemności i wietrze, i dopytując się raz wraz nawzajem, czy im nie zimno i czy nogi nie przeziębły. Mały Hub miał dopiero lat jedenaście, ale te miejsca znał jak najstarszy ze starych. Między rodzinnymi Wyrwami a folwarkiem sąsiadów na Motku było niecałe dwie wiorsty odległości. Obiedwie habendy dzieliła rzeka, płynąca w nizinach, oraz przestrzeń nieużytków po wyciętych i wykarczowanych lasach, pełna wykrotów i pniaków, dołów i wywożanych kamieni.

W pustkowiu tem stały jeszcze tam i sam nasienne drzewa, przeważnie wielkie jodły. Każde z tych drzew Hub znał, jak swoją kieszeń. Na szczycie każdego z nich był, pod każdym na coś czatował, chronił się od deszczu albo upału. To też teraz wbijał oczy w ciemność, usiłując dostrzec znajome kształty jedli lub świerka, żeby ojca zakasować w znajomości terenu, żeby pierwszy dać znać o jarzombie z pasyjką, albo o jodle podpalonej. Lecz czas mijał, saneczki sunęły w śniegach, jak łódź po wzburzonych bałwanach, a przewidywanych znaków nie było w mrokach ani śladu.

Podmuchy wiatru ciskały na sanki istne fale. Sypało jak z wora miękkimi płatami, albo ciał w oczy i uszy grad ziarnisty, zacinający aż do krwi. Sanie już to chyliły się na bok, już uderzały o jakoweś twarde przedmioty podśnieżne. Międzyłesna, pustkowiana burza stawiała się coraz dziksza. W nieprzejrzanej dali ryczały przeraźliwe głosy, istne wycia leśnych djabłów. Las li to huczał, czy się walily wody z upustów na Motku? Łyska chrapała niecierpliwie. To się zrywała do biegu susami, to znowu z trwożnem prychaniem stawiała w miejscu. Podróżni spostrzegli, że mają wiatr za plecami. Jechali tedy w złym kierunku.

— Wiatr ją w nozdrza bije i szelma kręci mi się w rękach...— rzekł pan Rafał do syna.

— Niech ją tatko od siebie i ostro, batem po nogach!

— Ba! — żebym to wiedział!.. Od siebie mówisz?

— Musimy pod wiatr, bośmy tak wyjechali.

Wzięto się pod wiatr, mimo Łyski oporu. Jechali teraz ostro, wprost w paszczę nawałnicy. Przejmujące zimno ozionęło ich, jak lodowatą wodą. Huk się wzmógł. Ze wszech stron, wirem pędziły kłęby kurzawy.

— Zakryj się! Skul się i owiń kilimkiem! — wołał na syna Olbromski.

Słowa te leciały porwanemi sylabami, jakby płatami, na obraz śniegu. Obiły się tępo o dziwnie przytłumiony słuch.

— Mnie ciepło — odchrzyknął mały.

Zwinał się w sobie, ręce zasunął w rękawy bekieszy, głowę wtulił w ramiona i cieszył się z wichury, ciemności i jazdy, głównie zaś tą pewnością, że to jest jeszcze dziś, nie dzień jutrzejszy, nie ten ohydny, fatalny, ostatni dzień godnych świąt, po którym trzeba wracać z umiłowanej strony, z domu i ukochanych rozlogów — do szkoły.

W pewnej chwili ojciec zatrzymał Łyskę. Medytował w milczeniu.

— A co, tatku? — zagadnął Hubert.

— Co u licha! Nie wiem, gdzie jestem... Niby Motki—tam. Wyrwy—tak jakby tu... Ale w takim razie powinienby już być rozdół, rzeka, most. Tymczasem tu jakby wciąż pod górę...

— To prawda. My wciąż jedziemy pod górę...

Olbromski przez czas pewien rozmyślał bezradnie. Wicher chłostał go po twarzy nie tylko garściami śniegu, lecz i włosiem ogona kobyły, który, jak bat, świstał na strony. Zimno przejmowało do kości. Ze wstydu i w pasji zaciął kilkakroć batem ciemny kształt koński. Łyska skoczyła przed się, targnęła sanie i pomknęła pod wiatr znowu. Pędzili galopem, na oślep przez czas długi,—tak dalece długi, że można było znakomicie przejechać z folwarku do folwarku. Sanki magwały się z boku na bok, leciały w jakoweś doły i wyrwy i uderzały swemi nosami w zagony. Gdy znowu przystanęli, nie słychać było nic, prócz huku lecącego górą i świstu między sanicami.

— Pole do stu djabłów! — unosił się Rafał Olbromski. — Jesteśmy na jakimś polu... Cóż to za rola? Zleż-no, synku, i popatrz, w którą stronę idą zagony... Może co z tego wymiarkuję...

Hub ochotnie poskoczył, deptał tu i tam grzbiety zagonów, aż wreszcie stanowczo, niemal z triumfem oświadczył, że zagony idą tak i tak. Nie na wiele się to przydało. Po długim zastanowieniu zdecydowano, że skoro wiatr ciągnie stąd, a zagony idą tak, więc trzeba jechać w takim oto kierunku. Pojechali. Z zagonów sanie przemknęły na nieużytki i znowu poczęły przewalać się z boku na bok. Trafili w jakieś krzaki, zupełnie nieznanome, w miejsca najzupełniej obce, nie istniejące w jakimkolwiek wspomnieniu. Zdumienie ogar-

nęło obudwu. Za temi zaroślami były jakoweś kamieniste wertepy, niemożliwe do przebycia i również nieznane. Poczęło to Olbromskiego doprowadzać do rozpaczliwej pasji. Stosując się do rady ojca, Hub wysiadł, ujął Łyskę za uzdę u pyska i jął ją prowadzić pod wiatr, żeby nie zbaczała z obranego ku domowi kierunku. Rafał Olbromski siedząc teraz bezczynnie, nasłuchiwał, czy się w którejkolwiek stronie nie odezwie naszczekiwanie psów. Powinna była być w stronie, dokąd dążyli wieś jedna i druga, powinny były być na uboczu kolonje czynszownicze, samotne chaty na odludziu... Nigdzie, znikąd odgłosu życia! Hub z miłością głaskał pysk klaczy, szeptał jej do ucha sekretnie słodkie słowa i odmierzał pieśzczołki. Wkrótce, brnąc pod wiatr w zaspach, zdyszał się i spocił doskonale. Sprawilo mu to szczerą rozkosz. Czuł się na równi z ojcem męczyzną, doznającym niepowodzenia, a nawet niebezpieczeństwa. Zresztą to, co się działo, było dobrem, bo dzieliło i wciąż jeszcze trzymało w oddali od fatalnego jutra. Pod nogami, w głębiach śniegu czuł pustkowienie i rad był, że to jest wciąż jeszcze pustkowienie, a więc miejsce dalekie od Wyrw i od Motka. Radby był iść tak przez całą tę ziemię i przez całą noc, wzniosłą w swej świszczącej potędze, piękną w nieprzeniknionym mroku i radosną nad wszelkie słowo w swej rozpasanej dzi-

kości. Och, radby był iść tak obok ukochanej, najmilszej Łyski na kraj świata!

Inaczej w tem pustkowiu czuł się ojciec. Wstyd go prosty palił i ogarniała wściekłość. Wąleśał się oto po przestworze, znanym, jak własna izba, po dziedzinie, którą od tyłu już lat zamieszkiwał, zimą i latem po tysiąckroć przebył we wszystkich kierunkach... Było to zarazem śmieszne i głupie błąkać się w polu między Wyrwami i Motkami, gdzie z zawiązanymi oczyma każde dziecko trafi do wymienionego punktu.

W trakcie pochodu przez zasy Hub posłyszał przed sobą szczególny szum. Zrozumiał, że to huczy w wichrze wielkie drzewo. Skierował natychmiast ku niemu Łyskę i wnet mokre, grubo śniegiem obwalone gałęzie jodły, jak łapy potworów, ogarnęły go z prawej i z lewej strony. Przystanął. Ojciec zsunął się z sanek na ziemię i zbliżył do drzewa. Oglądali je obadwaj z synem, obeszlą dookoła i... po szczegółowem badaniu przyszli do jednomyślnego wniosku, że jest to jakieś drzewo zgoła nieznajome, jakby nie tamtejsze... Stojąc obok tego drzewa, które huczało swą wzniosłą i niepojętą pieśń, Rafał Olbromski przeniknięty został nagle a niespodziewanie przez dawny, zapomniany lęk... Ohydne wspomnienie prześliznęło się wskroś jego duszy. Obawa o dziecko ścisnęła mu serce. Kazał chłopcu wejść na sanki, owinać przemoczone nogi kilimem, — a sam stał

w zamyśleniu bezradnem obok konia. Postanowił jedno: nie oddalać się od spotkanego drzewa. Ale czekać do rana na swem, czy sąsiedzkim polu!... Było coś obrzydliwie śmiesznego w samym zarodku tego postanowienia. Wyjechali byli ze dworu na Motku zaraz po kołacji, więc na jakie dwie z górą godziny przed północą. Mieli tedy przed sobą do świtu dziesiątek godzin. Wahając się co czynić, starszy pan ujął klacz za uzdę i wprowadził za drzewo, zasłaniając ją tym sposobem od fali wiatru. Wziął chłopca z sanek na ręce i przeniósł go dla rozgrzewki na grzbiet kobyły. Hub siadł oklep na Łysce z radością i czule ją zaraz objął rękami za szyję. Klaczka wraz głucho a z cicha westchnęła, — nie wiedzieć z radości czy ze smutku, — i poddała się losowi. Ciepła para dymiała się z niej obficie.

— Nasłuchujmy, synku, szczekania psów!... — rzekł ojciec.

Słuchali tedy pilnie — pilnie. Objęły się o ich uszy zdala lecące poświsty i przyziemny huk, gdy wicher głuchami polami gnał w międzyleśne szyje, na zamrażnięte smugi i przydęte pastwiska, w doliny wśródgórskie. Głęboka do nich mówiła samoistna moc i groźny urok obejmował dusze. Obadwaj byli zasypani śniegiem, zgrzani i wzburzeni. Nim się spostrzegli, już ich poczęło zadymać, a sąsiek śniegowy rósł stale dokoła nóg końskich i przed saniami. Drzewo powiewało gałęzmi. Od

chwili do chwili, po krótkich przerwach ciszy, działał się w niem jak gdyby taniec przedziwny, pełen pohutnego kłapania. Hub wbijał oczy w ciemność, z przestachem i zdumieniem spostrzegając, jak wielkie łapy jodłowe, obleczone w grube, białe rękawice ze śniegu, klaszczą raz wraz jedna w drugą—„kosia—kosia—kosiana“... Zdało mu się widzieć zawodzenie czubem pijanego, głupio-słpego—„da-dyna“...

Dalsze spławy drzewne, szerokie i obwisłe, zamieć podgarniała wysoko, jakoby podół olbrzymiej spódnicy i wiewała niemi dokoła konia. Wewnątrz włochatych gałęzi pień głucho i ponuro stękał.

Aczkolwiek jodła osłaniała od wiatru, zimno się wzmagało. Stojących bez ruchu wicher przejmował w ramionach i plecach do szpiku kości. Nogi od wielkich palców poczynają kłuć szpilkami. Śnieg stawał się coraz bardziej gęsty, sypki i zaciekle.

Pan Rafał okrył plecy chłopca kilimem, obie dwie jego nogi obrócił w jedną stronę z konieskiego boku, sam przytulił się do tego boku i grzał dziecko sobą. Stopy swe w śniegu otulił drugim kilimem i tak, objawszy się, grzejąc konia i nawzajem przezeń ogrzewany, pod zastoną drzewa przetrwać postanowił burzę. Tymczasem zadymka wciąż potężniała, a wiatr się do istotnego szału rozpętał. Ojciec raz wraz upominał synka, żeby

zaś nie drzemał. Ale malcowi, właśnie jakby na przekór, śnić się poczynają różności, głowa jak kowadło ciężyla, a oczy zlepiały się, niby pod nawalą lotnych płatków śniegu. Wielka jodła śmiała się z niego niemiłym chichotem,—magał się w mroku potworny jej kadłub, jakoby obraz grubego i sprośnego chama, gdy spity do zbydlęcenia w czarnem karczmisku tańczy sam ze sobą w próżni i szaleństwie. Chwilami ów taniec przeistaczał się w groźne zawodzenie. Objęcia gałęzi schylały się nisko, coraz niżej. Długie pazury, wysunięte z kosmatych, białych osłon, sięgały po głowę...

Pan Rafał w półdrzemaniu czuwał wciąż nad jednym wspomnieniem. Miał w wyobraźni stada wilcze. Zaniedbał był wziąć broni ze sobą, a wilki w tej leśnej stronie nie były rzadkością. Zimową porą stada ich zagładały na podwórze folwarków. Teraz żywiej, niż kiedyindziej, miał w pamięci zdarzenie, gdy w noc księżycową, na skutek zajadłego szczekania kundysów pod dworem, wyrzawszy oknem, zobaczył ogromnego wilka tuż pod ganikiem. Przypomniały mu się najżywiej wszystkie afekty, gdy, naciągnawszy buty na bosc nogi i narzuciwszy na ramiona tylko lisiurę, wyszedł na ganek i strzelił do napastnika. Pamiętał, jak pojedynkowi uskokzył za bramę i jak to on sam jeden—z ostatnim nabojem w lufie dwururki—pędził za nim wygrodzoną drogą aż poza stodoły. Przeszedł wspomnieniem kolejno każde wrażenie, gdy tak

naprzeciwko siebie stali w jaskrawem świetle księżyca: wilk w polu, o kilkanaście kroków oddalony, i on sam pod wysokim parkanem za folwarcznemi stodołami. Oto śni się, że jak wtedy zmierzył do zwierza i trzyma kolbę przy policzku... Oto wilk nagłym piorunowym susem skoczył ku niemu i runął mu u nóg, gryząc krwawym pyskiem zmarznięte zagony, gdy go nieomylnym strzałem powalił.

Mrowie tamtego wspomnienia nie chciało z ramion odejść. Tkwiły wciąż w nieświadomej pamięci nieznosne obrazy bezrozumnej walki z potworem za dawnych dni młodych... Postanowił czekać choćby do rana i nie oddalać się od drzewa, ostatniej obrony w razie napadu wilczej czeredy. Nie było to zaiste rozumowanie, lecz gorzkie czucie,—napół jasnowidzenie czegoś groźnego, co w pobliżu czyha pod zasłoną tej ciemnej nocy.

Hub coś sennie gwarzył. Głównie oparł na ojcowskiem ramieniu. Wszyscy troje, nie wyłączając Łyski, cierpliwie nasłuchiwali, raz wraz podnosząc głowy i nastawiając uszy. Gdy wiatr się zagnął wznosił na obraz szaleństwa tego całego obszaru, a noc huczała,—pan Rafał otulał szczerzej dera dziecko, sam się doń przyciskał i czekał z bijącym sercem.

I oto zagnął, jak gdyby wyczarowane z nicości przez niepojęte uczucie,—kędys w nocy, dale-

ko—daleko błysły i pogasły dwa światelka. Wnet znowu błysły — i przygasły.

— Wilcze ślepie... Czy sen?... — zmagął się w sobie Olbromski.

Wlepił w próżną noc oczy... Oto znowu:—zabłysło — przygasło!... Porwał dziecko w ramiona, — przekonany, że to nie złuda,—nie mówiąc ani słowa, otulił je w derę i chwilę jeszcze czekał, nim się rzucił i drapać po gałęziach na szczyt jodły. Głucha wewnętrzna modlitwa snuła mu się po wargach.

Dwa światelka znowu zaświeciły i zgasły. Lecz razem w podmuchu wiatru dopadł ucha tęskny, błogi dźwięk.

— Tatuś! — Dzwonek! — porwał się mały.

— Tak jakby prawda... Dzwonek... — wyszeptał ojciec.

Wpatrzyli się w przestrzeń. Wsłuchali w wicher. Dojrzeli przeciągle błyszczące dwa światła. Ujrzeni wyraźnie ich kołysanie miarowe. Usłyszeli daleki — daleki pogłos... Serca uderzyły z radości. Zaszepotali do siebie bez sensu i związku. Polysk i głos zbliżały się bardzo powoli. Czekali cierpliwie, w milczeniu. Nareszcie, gdy w ciągu kilku chwil obaj widzieli wyraźnie migotanie i słyszeli daleki klangor jednotonnej melodji dzwonka, rzucili się do sanek i pojechali co tchu na spotkanie światła. Łyska, skostniała z zimna, w cwał pobięła.

— Kto też to tędy może jechać ze światłem i dzwonkiem? — głośno rozmyślał Olbromski.

— Może to nas Michcik szuka?

— Ale gdzie! W najgorszym razie przypuściłby, że nocujemy w motkowskim dworze.

Coraz wyraźniej widzieli dwa kręgi światła latarni i odróżniali każde uderzenie podróznego dzwonka. Wreszcie pan Rafał okrzyknął zdala zbliżający się pojazd. Światła w miejscu stanęły. Podjechał blisko — i spostrzegł w światłach padających od latarni zady dymiące, nogi i uprząż pary koni.

— Kto woła? — spytano od światła.

— Ludzie zbłąkani w polu. A kto to jedzie?

Nie odpowiadano na to pytanie. Olbromski podciął Łyskę i zbliżył się do samych sanek. Odał wodze w ręce Huba, a sam wysiadł i poszedł poza latarnie.

— Któż to jedzie? — pytał powtórnie.

— Z poczty jedziemy...

— Tędy z poczty?

— No tędy.

— A kto jesteście, człowieku?

— Ja pocztyljon. Pana przejezdnego wiozę na sandomierski trakt.

— Skądże wam do głowy przyjść mogło tędy lasami jechać na sandomierski trakt?

— No, ja jadę, jak każą. Dziś pan przyjechał skądś zdaleka, pocztę najął i kazał jechać na sandomierski trakt. A wyście co za jedni, iudzie?

— Ja tutejszy, z Wyrw dziedzic, — alem, do djabła! w powrocie do domu pobłądził. Pocztarek, wiesz ty może, w której stronie będą Wyrwy?

— Dy my stamtąd, z Wyrw jedziemy.

Jakim sposobem?

— Zajechaliliśmy tam, jak się ta zadma z samego wieczora zawzięła. Pan się bał puszczać na taki czas. Ale dziedzica nie było, sługa nas ta stary nie chciał przyjąć na nocleg, powiedział, że nie bierze na swoją odpowiedzialność, bo pana niema, a my nieznajomi, no i musieliśmy puścić się dalej na całą noc. Tak jedziemy noga za nogą. To samo nie wiemy, gdzie my są teraz.

— Most na rzece przejechaliście?

— No, dopiero co!

— Ludzie! wróćcie się ze mną do Wyrw. Przenocujecie we dworze, a nam latarnią poświecicie, żebyśmy mogli do domu trafić.

— A wyście to sam pan dziedzic z Wyrw? — dopytywał się pocztarek.

— Sam, Olbromski.

PORANEK ZIMOWY

Machnicki porwał się z posłania, umył i odział co prędzej. Już słaby brzask dnia zaglądał przez szyby zamarznięte i do połowy okien grubo zasypane śniegiem. Gdy poczęli rozmawiać z gospodarzem domu, z sąsiedniego pokoju dał się słyszeć głos młodszego pana Olbromskiego. Junior wstawał z pośpiechem, wdziewał buty i ubranie. Ojciec począł mu w tem pomagać ze szczególną, iście koleżeńską pieczołowitością. Gwarzyli o czemś swoim, o snach, wczorajszem błędzeniu i przygodach tej nocy. Wnet mały licealista wyszedł do pierwszego pokoju i w sposób przepisany szastnął nogą w kierunku nieznanego gościa. Gość witał go z niewymowną serdecznością. Trzymał jego małą rękę w swej dłoni i nie mógł jej jakoś żadną miarą wypuścić. Przyglądał się a przyglądał jego twarzy. Mały był czerstwy i urodziwy, tęgi i zażywny. Włosy, zmoczone wodą, jeżyły się szcietkowato na jego głowie, — wypucowana twarz miała kolor czerwonego jabłka. Wnet wszedł Michcik, niosąc imbryki i farfury, zawierające kawę i śmietankę na starej tacy. Wszyscy trzej zasiedli do śniada-

nia. Rafał Olbromski pił i jadł ociężale. Myśli jego przerzynały się przez istny chaos, nawał i ogrom wzruszeń. Wszystko spadło nań nagle w ciągu tej jednej nocy. To też zgola nie mógł mówić, pochłonięty przez zwichrzone myśli. Hub przypatrywał się gościowi z pod oka. Mierzył go, oglądał, spuszczał oczy i znowu wracał do badań. Machnicki szybko załatwił się ze śniadaniem i zapragnął wyjrzeć na świat, zwłaszcza, że dzień się już zrobił zupełny. Prosił jednak o umożliwienie mu wyjścia w sposób taki, żeby go najmniej ludzi widziało. Wobec tego, że Rafał Olbromski był nadzwyczaj zajęty, Hub podjął się przewodnictwa po Wyrwach.

Ruszyli tedy przez boczne drzwi. Zamieć zimowa już ustała, — choć podmuchy wiatru jeszcze od czasu do czasu przeciągały. Wówczas z czubów i przełęcz zasp dymiły się lotne, łatwo zwiewne pyły śniegowe. Słońce weszło za lasami, za borami i błękitna jasność niewysłowionego wdzięku zapelniała wszystek przestwór. Powietrze było przeczyste, nieskalane. Dalekie góry i ciemne lasy ośnieżone do cna, pokryte jasną oponą. Po nocnym huk ranna cichość miała w sobie wartość niewymownego ukojenia. Zaspy były tak wielkie i tak monstrualnych postaci, że te ich kształty wskazywały dowodnie, jak potężna była nocna burza. Od wielkiego modrzewia, którego śliczna postać o kolorze delikatnej rdzy rzuciła się w oczy po wyj-

ściu za drzwi domu, zwisały z gałęzi i łączyły się z ziemią chusty śniegowe tak cienkie i zaopatrzone w strzępy i zęby, że były namacalnym obrazem polotności zadymki. — Wszystkie gałęzie drzew i drzewek pouginały się pod ciężarem czystego puchu. Na płotach i po sztachetach snuł się wełnisty baranek białopuchy. Ostrza balas powdźwiała ogromne i czubate czapy. W dali zagaja, krzaki, chrósty znikły pod jednolitą śniado-białą powłoką. Machnicki ujął swego towarzysza za rękę i zeszedł z nim w śniegi. Brodzili w nadobnym, zwiewnym puchu, ciesząc się na równi każdym obrazem i każdym szelestem. Nikogo nie było w ogrodzie i pozapłociu dworskiego obejścia, nikogo w polu i na horyzoncie. Gościńiec zadęło krzyżowemi sąsiekami zasp, — ścieżki poznikały, furtki ogrodowe ledwo było widać. Poszli tedy przez tę, która była przed burzą otwarta, a teraz miała zaspę wysoką na wrotni. Śmiały się do przechodniów ogrodowe drzewka, niedawno posadzone, w swych słomianych chochołach z plecionej kłoci. Nagiemi prętami kiwały dwie stare wierzby pod plotem, rzucając tym ruchem w serce małego Huba mętą boleść nie do zniesienia. Tam to, niżej, obok ścieżki wysadzonej agrestowemi i porzeczkowemi krzewy, których tylko najwyższe czubki wyglądały ku słońcu, tuliły się pomiędzy sobą gile i szczygły, mocno cienkimi łapkami obejmując zimne pręty. Pędy porzeczkowe zwisały

ku ziemi pod ciężarem szczyglim, a puch śniegowy sypał się z pod nastroszonych podgardzieli i brzusków. Szczygły przekrzywiały głowy i wypukłemi oczyma przyglądały się intruzom, powierzając sobie o nich jakieś krytyczne uwagi. Młodszego intruza znały dobrze, gdyż sypał im zawsze siemię lniane. Dziś nie przynosił siemienia, to też gile i szczygły poczęły uskarżać się na niego swą niepojętą, a nieprzychylną dnia tego gwarą proletaryjacką. Gdy się zbliżał, coś w ich stronę pokrzykując w swej gwarze chłopczyńskiej, zrywały się z miejsca, nie tyle — z przestachu, ile z chwalebnej przezorności. Siadały wnet na różgach sąsiedniej krzewiny, żywo dyskutując o całym zajściu, nie bez gestykulacji ogonkami. Czerwone gile sfruwały również ze swych stanowisk, lecz jeszcze bardziej ociążały niż pobratymcy. — Świergot szczygli był po swojemu radosny, ale jego natarczywość świadczyła o wielkim apetycie. Ptaszki przekrzywiały głowy, a dzioby ich, osadzone jak gdyby w czerwonych piastach, skrzydełka muskane jasnożółtymi smuskami, tworzyły w białości powszechnej prześliczne zabarwienie. Podmuchy wiatru podwiewały ich wzorzyste sukienki, na które — tak się widziało zdawało — zorza niewidoczna spłynęła pierwiej, niż na błękit i białość śniegów.

Hub przeprosił gości, dość, co prawda, niezrozumiale, — że go na chwilę opuści. Pobiegł, śnieg na wsze strony rozpryskując, i wkrótce wró-

cił z sakwą, uczynioną z worka, jakiego się używa do wyciskania sera. Na widok tej sakwy wszczął się niemały rozruch, tumult i gwałt w społeczeństwie szczygłem i gilem, — świadczący o dobrych stosunkach potomka rodu Olbromskich z wymienionemi zespołami ptasiami za tych odległych czasów, które tu przyszło nam opisywać. Hub rozwiązał swą sakwę z powagą, uroczyście i wśród pewnego rodzaju perory. Powtórzyć dosłownie tę przemowę stanowiloby po upływie tylu lat, w tej chwili, trudność nie do przewyciężenia, to też ją, jako szczegół mniej ważny, opuszczamy. Udeptał następnie obcasami i podeszwami w punkcie, którego topografię znał, oczywiście lepiej, niż jego milczący towarzysz, pewien rodzaj klepiska. Śnieg nie stawiał oporu, poddawał się łatwo podeszwom i obcasom, zwłaszcza, że Hub wykonywał pracę podstępnie, żywo, a jakby w prysudy. Ruchy jego niespodziane zlewały się w jakiś taniec, który należałoby nazwać ptasim. Machnicki pomagał w przedsięwzięciu swemi wojskowemi butami, ale na krańcach tylko terenu i nieśmiało, gdyż nie był świadom ani właściwej metody prysudów, jakie w danym porządku czynić należało w tych obcych dlań krajach, a nadto wątpił, czy jego inicjatywa dobrze będzie widziana i przyjęta. Miejsce dobrze ubite zajaśniało równą powierzchnią w zagłębiu i Hub wyłożył pierwszą emisję ziarna w tem Prytaneum. Zarówno szczygły, jak gile rzuciły się na

plac z ordynarnym zapalem, wydając okrzyki częstotliwe, świadczące o niezmiernej smakowitości konopnego siemienia. Wielkie, szybkie i zaciekle powstało zajadanie, nie przepuszczając ani jednemu ziarnku. Aliści z dalekich stron, od czarnego młyna i wielkich olch, nadleciały istne tabuny wróbli. Czarniawa tego pospólstwa obsiadła czuby płotu pleciaka, okalającego ogród, rozmiotła na wsze strony mnóstwo pyłu śniegowego i ze swarem rzuciła się na resztki pastwy. Hub, jako samowładny, ale oświecony władca, rzucił między te szare skrzydełka, czerwone podgardla i nakrapiane brzuszki nowe garście, jedną i drugą. Ale dobroczynność despotów, choćby i najbardziej oświeconych, szybko się wyczerpuje, zwłaszcza, jeśli w worku braknie naprawdę siemienia. Hub wysypał wszystko, co było, do ostatniego ziarenka, przewrócił worek na nice i wewnętrzny śpiczasty róg okazał zgromadzeniu... Ale ani zawiązanie worka w węzeł, ani inne prawdę głoszące gesty nie wywarły dobrego wrażenia. Przeciwnie, wszystko przyjęte zostało z oziębłą nieufnością, a nawet niedowierzająco-drwiącym szczebiotem, — jak to bywa u zgłodniałego tłumu. Hub odszedł z tego miejsca ptasiej żarłoczności, niosąc pod pachą worek, a w sobie poczucie spełnionego obowiązku. Niósł jeszcze coś, z czem wydać się nie chciał przed nieznanym panem: żal za gilami, żal za szczygłami, których

barwy wielorakie wily mu się pod powiekami, tworząc zaiste czerwone i żółte łyzy.

Biegł tedy w dół ogrodu, po zadętych ścieżkach, pełnych teraz takiego wdzięku, jakiego jeszcze nigdy nie widział na ziemi — chyba w snach, które się czasem śnią w dzieciństwie. Na dole obadwaj z Machnickim rozgarnęli nogami zwiewną zaspę, która zajmowała otwór furtki i wyszli nad staw, rozciągający się tuż za płotem ogrodu. Teraz nie było go wcale widać. O jego istnieniu świadczyła tylko nadzwyczajnie równa powierzchnia i dwie ciemne przyrębłe, obłożone wokół grubymi bryłami wydobytego lodu. Na prawo był młyn czarny, ogromny, posępny, skryty za pogródkami i groblą. Nawisły jego dach siedział na tak niskim kadłubie, utopionym zresztą w zaspach, że się wydawało, jakoby stał wprost na ziemi. Okap tego dachu, spoidła pogródek, przecznice koła wodnego, obwieszane były teraz mnóstwem najcudniejszych sopli lodowych. Wpółśród ich lśnienia, migotań, niewymownie delikatnych barw, obracało się powoli tajemnicze, wielkie czarne koło, — doskonały i potężny obraz wiecznego nawrotu pracy wioskowej, przetwarzania się jej bez końca i tożsamości, która wciąż idzie tam, skąd wyszła, — piękna podobizna i wyraz życia wsi, wiecznego stania w miejscu. Na końcu stawu złociły się tak roczne trzciny, których przydęte kity uwydatniały ranne słońce. Tuż za pogródkami był na grobli

wzgórek, stanowiący, widać, odwieczną, naturalną ostoję, w którą z dwu stron grobla wrosła, zata-
mowując bieg strumieni. Ten wzgórek obrośnięty
był wielkimi olchami. Wśród grubych pniów, ze
strony burzy ośnieżonych srebrzyście, stała dREW-
niana figura jakiegoś świętka. Hub nazwał go
przed Machnickim świętym Janem. Kloc ten z drze-
wa rzeźbiony prostacką ręką snycerza, był już
zmurszały i popękany. Śniegi go teraz zadęły do
połowy, na ramiona i na piersi wdziały mu nową,
przezroczystą komżę, na głowę mitrę tajemniczego
kształtu. Machnicki zbliżył się do figury i tam
przystanął. Hub na widok lodu i ślizgawki, prawdę
powiedziawszy, zapomniał o gościu i obowiązkach
przewodnika. Rozpędzał się siarczyscie po gład-
kim śniegu i ślizgał daleko w wyszorowanej po-
deszwami, czarnej smudze szczerego lodu. Gdy biegł,
lód dźwiękał pod jego obcasami. Buzia chłopca
zaczerwieniła się, jak rumiane jabłuszko...

HONOR

Hub spostrzegł, że rola gospodarza inne nakłada obowiązki, niż zażywanie ślizgawki w chwili, gdy gość nie wie, w którą stronę podążyć. Zbliżył się tedy z zawstydzieniem i wyjąknął, że grobla prowadzi na tamten brzeg doliny. Machnicki chętnie poddał się woli swego przewodnika i szedł po jego małych śladach. Stąpali po przydętym lodzie, czarnym pod zewnętrzną powłoką. Hub się ośmielił. Opowiadał tedy o głębokości wód, szczególnie w zakręcie rzecznym, gdzie nurt wpada do stawu — o kolosalnych kłodach rosochatych drzew, które leżą w tych głębiach, — o wielkim szczupaku, zjadającym młode kaczęta, gdy się je nieopatrznie puści na wodę, — o przywarach okoni, łowionych na wędkę i o swych własnych przygodach podczas połowu linów w wiecierze... Krążyli po tafli stawu, gwarząc o sprawach żywota okolicy. Wyszli na brzeg przeciwległy i puścili się w górę. Krzyż, stojący między jałowcami, wskazywał, w którą stronę dąży droga. Opłotki z żerdzi były teraz, jak szkielet, na którym zawisła urocza cielesność śniegowa. Jałowce z prawej i lewej strony, zanesione do cna, przeistoczyły się w czarodziejstwo kształ-

tów najfantastyczniejszych pod słońcem. Jaskinie i przejścia podspodnie, kopce i szczyty strzeliste, przedziwne doliny, kopuły i wnęki... Jakże się stało wesoło! Oto z krzykiem porwały się stadem kwiczoły, żerujące w zaciszu na jałowcowych gałęziach! Z dzwonnym pokrzykiem poniosły się w modrą dal. Został po nich w uchu dźwięczny klangor, a w oku lotny połysk. Na drzewie jarzębiny, widziałem w odległości, jemiołuchy ćwierkały, jakby trzęsąc się z zimna. Hub miotał się wśród zasp, powiadając gościowi niestworzone historie o jemiołuchach i kwiczołach. Ale oto zagnała zagadnął:

— A jegomość pan jest wojskowy?

— Nie, kochaneczku.

— A jegomość pan był wojskowy, tak jak tatko?

— Byłem, dawniej.

— A w jakich jegomość służył?

— Et... w różnych...

— To i na Moskwę jegomość chodził?

— Na Moskwę chodziłem.

— Razem z moim tatusiem?

— Nie koniecznie razem. Twój tatuś był jeździec, a ja piechur.

To jakież jegomość jest,—pan pułkownik, czy pan kapitań?

— Tylko major.

— A kiedy tatuś, słyszałem, mówił do jegomości: „Kochany szefie“...

— Byłem swego czasu pomocnikiem szefa sztabu w dywizji jednej pod generałem, nazwiskiem Kosiński, gdyśmy na Moskwę ciągnęli. Byłem także szefem bataljonu. Dlatego tatuś nazywał mię ze swej łaski „szefem“, bo u nas zawsze się tak do dawnych wojaków mówi: na kapitana,—„majorze“, a na majora —„panie szefie“... Taki już zwyczaj.

Hub rozważał powzięte wiadomości w milczeniu. Po chwili, z głębokim przekonaniem, choć grzecznie i głosem pełnym szacunku oświadczył:

— Nie wiem, jak to można służyć w wojsku, być oficerem, a potem nie służyć. Jabym tam wiecznie służył!

Machnicki jakoś zawstydył się. Mówił z upokorzeniem:

— Czasami takie jest położenie, że służyć nie sposób...

— No, a dla czego?

— Jakżeby ci to wytłómaczyć? Mały jeszcze jesteś, przyjacielu. Nie mogę ci tego jeszcze wyłożyć.

— Ja rozumiem...

— Widzisz... Honor nie pozwala.

— Jakiż to jest ten „honor“, proszę jegomości? Tatko to samo mi mówił, że „honor“ nie pozwalał służyć. Ale ja nie rozumiem wcale takiego honoru.

— Tak... Widzisz,—dawniej naszym wodzem był wielki wojownik, Napoleon...

Hub wtulił głowę w ramiona, przyczał się, usłyszawszy to imię. Z zaiskrzonymi oczami szepotał:

— A jegomość pan go widział?

— Widziałem, kochanku.

— Blisko? Jak? Tak samo jak tatuś?

— Tak samo. Nawet-em z nim rozmawiał...

— Jegomość pan?... A o czym? Kiedy?

— W izbie chłopskiej, daleko, w Rosji... Mapa leżała na stole, w piecu ogień się palił, iskry strzelały. Daleko wrzała bitwa. Pogrom... Pokazywałem mu na mapie miejsca, tłumaczyłem rozmaite rzeczy. On się pytał...

Machnicki nie dokończył zdania i poszedł dalej. Hub pobiegł za nim, wołając:

— Ale pan mi o tem honorze nie powiedział.

— O honorze...— mruknął Machnicki w zamysleniu.— To trudne dla ciebie, mój bracie, to trudne. Za małutki jesteś, żebym ci miał takimi sprawami głowinę zaprzętać.

— A kiedy ja rozumiem!

— Cóż ja z tobą mam począć? Dawniej był naszym wodzem wielki wojownik, Napoleon, a później został naszym wodzem nie wojownik, lecz mistrz na placu musztry. Ten wielki książę nie chciał w nas szanować nieszczęścia i nienawidził naszej czci.

— Czy to prawda, że ten wielki książę... ma nos mopsa, głos ropuchy a rzęsy jeża?

Twarz Machnickiego stała się szara, posępna i surowa. Oczy jego zaciągnęła ciemność. Mówił do dziecka:

— Nie mów o tem nigdy głośno, do nikogo, nigdy! Naucz się milczeć! Nie powtórzysz tego słowa już nigdy?

— Nie powtórzę.

— Jeżeli mi przyrzekniesz, że już nigdy nie będziesz tego głośno mówił, powiem ci, co to znaczy honor.

— Będę milczał.

— A więc... Byli oficerowie, co z Napoleonem odbyli pochody, bili się na południu i na północy w stu bitwach i co sami bywali wodzami. A kiedy weszli do wojska polskiego pod wielkim księciem, musieli występować na paradach na równi z nowożołnierzami. Tych dawnych wojaków wódz naczelny nie lubił. Począł ich o byle frontowe przewinienie poniewierać, nieraz bardzo srogo. Był oficer Śląski, którego przed frontem skopał i skłół ostrogą. Innych znieważał w taki sposób, że tylko krew mogła tę obelgę żołnierza zmazać. Tego nie bardzo zrozumiesz, ale tak było. Wyzwać na pojedynek wielkiego księcia za zniewagę nie mogli. Wystawić ojczyznę na zemstę za obicie w uniesieniu, w pasji — nie wazyli się. Nie mogąc żadną miarą zmyć zniewagi, ani żadną miarą nie mogąc jej na sobie przenieść, postanowili sami męczeńską śmiercią umierać. Skoro tedy wielki książę znowu

sponiewierał na placu jednego oficera, ten podszedł do barjery, wyciągnął szpadę, rękojeść oparł o barjerę i rzucił się na tę szpadę, aż go na wylot przeszła. Padł twarzą w piasek. Inni odbierali sobie życie pod pomnikiem króla Jana. Przed śmiercią pisali proste listy, adresowane do przyszłych Polscy pokoleń, tłumacząc, dla czego giną. Tak zginął Wilczek, Wodziński, Biesiekierski, Nowicki, dwaj bracia Trembińscy, Herman. Wszyscy oficerowie bataljonu pierwszego pułku strzelców pieszych postanowili zgładzić się dobrowolnie, odebrać sobie życie, gdy ich wielki książę niesprawiedliwie skarał. Chwila już na to była przeznaczona. Cofnęli wyrok swój na dobrowolną śmierć dopiero wówczas, gdy wielki książę cofnął rozkaz, który im uwłaczał. Pamiętaj ich nazwiska i raduj się, że byli na naszej ziemi, bo byli to ludzie waleczni, którzy honor wyżej cenili, niż życie, którzy polski honor zasłonili tarczami i obmyli własną krwią. Wiesz teraz, co jest honor?

— Wiem.

W wyobraźni dziecięcej ukazał się oficer, żywym krokiem biegnący do barjery na placu, z obnażoną w rękę szpadą. Oczy ujrzały, jak ów odwraca nagłym ruchem szpadę, kieruje ją ku piersi i w milczeniu radosnem na ostrze się rzuca. Zdało się dziecku, że mu nad głową skrzydła szumią... Wzrok się rozognił i włosy splonęły jakby od ognia.

— A wielki książę na to patrzył? — zapytał towarzysza.

Machnicki uśmiechnął się zjadliwie:

— Patrzył ze środka żółtolitego sztabu. Ale w nim musiało serce zemdleć i drzeć, jako liść, od tego widoku. Patrzyły bataljony ustawione w czworoboki. Wtedy to jam wyszedł z wojska. A twój tatuś to samo.

Białe od słońca, iskrzący się tysiącem blasków, jasny dzień rozwidnił się nad przestworzem. Lśnienie srebrzystych lodów, sopli, przemarzłych kolein przecinało widownię w tysiącnych kierunkach. Puchy, zawisłe na prętach drzew i czubach krzaków, na żerdziach płotów, po krzyżach i kiściach bylin, poczęły osypywać się i dymić. Dolał skądś zdala radośny głos kwiczołów. Przemknęły jemioluszkę stadkiem barwistem, z drzewa na drzewo. Machnicki i Hub szli w milczeniu, ciesząc się niewysłowionem pięknem zimy.

ŚMIERĆ WŁODZIA JASIOŁDA

Wkrótce po przyjeździe do Lwowa, stary pan Granowski, żyjący na razie w samotności, przypadkowo powziął wiadomość o Włodzimierzu Jasiółdzie. Ktoś, mający styczność z tajnymi organizacjami strzeleckimi, wspomniał w rozmowie, iż w szpitalu więziennym jest kilku legionistów, rodem z Królestwa. Inna znowu osoba wymieniła nazwisko „Jasiółd“, jako tego, który skazany jest na śmierć przez rząd wojenny moskiewski. Wyrok przez powieszenie nie był, jakoby, tylko dlatego wykonany, że ów Jasiółd był ciężko ranny w bitwie. Pan Granowski zabrał się niezwłocznie do dzieła. Za pomocą rubli, których nie szczędził, dotarł do źródła informacji zupełnie już nieplotkarskich i nieprzeinaczonych. Wynikła z nich wiadomość, że w istocie Włodzimierz Jasiółd, wzięty do niewoli w starciu, gdzieś nad Nidą, przy przesłuchaniach po fanfarońsku, zeznał, że jest „poddanym“ rosyjskim i okazał na dowód prawdy jakąś gimnazjalną matrykulę siedlecką, stwierdzającą tożsamość jego osoby. Wobec tego sąd wojenny skazał go na śmierć, jako buntownika, pojmanego

w szeregach nieprzyjacielskich, z bronią w ręku. Niepodobna było dotrzeć do samego szpitala, w którym Jasiołd leżał. Ale i tu znana moskiewska słabość utorowała drogę rublom pana Granowskiego. Z trudem, zwolna, pokonywując najróżnorodniejsze przeciwności, „die duszka“ wpuszczony został do więziennego szpitala, który mieścił się nie w gmachu więziennym, lecz był więzieniem w styczności ze szpitalem powszechnie wojskowym, urządzonym w jednym z gmachów publicznych. Tylko wejście do oddziału, gdzie mieszcili się chorzy więźniowie, morituri, było specjalnie i nadzwyczaj pilnie strzeżone przez rosyjskich żandarmów. Pan Granowski, po długim niewidzeniu, miał sposobność ujrzeć znowu granatowe mundury „oddzielnego korpusu“ i posłyszeć tkliwą melodyę pobrękiwania ich ostróg. Na każdym piętrze wejścia do gmachu, na każdym załamaniu schodów i na każdej platformie, w każdej framudze drzwi i przy każdym oknie tkwił co najmniej jeden taki nadobny fijołek, albo przezornie barwiła się cała ich wiązanka. Jednakże serca tych aniołów stróżów Szczedrynowskich, czuwających nad cichością snów niewinnych dziewczątek, nie były kamienne i nieczułe na szelest „bumażek“. Temu „sinieńkaja“, a tamtemu „kraśnieńkaja“ uśmiech lubiej dobroci wywoływała z głębi serca na usta i przymykała oczy. Tak to pan Granowski dotarł aż do drzwi, doskonale obsadzonych przez kom-

plet dozorców i, jako bliski krewny Jasiołda, wpuszczony został do wnętrza. Znalazł się w izbie małej i stosunkowo bardzo czystej. Włodzimierz Jasiołd w swej kurtce strzeleckiej pół leżał, pół siedział w łóżku szpitalnem. Gdy pan Granowski wszedł i spojrzał, mróz ścisnął jego serce. Miał przed oczyma karykaturę, znikomy cień chłopca, którego znał w Krakowie. Ziemista, zielonawa bladość pokrywała twarz Włodzia, tak dalece schudzoną i wyciągniętą, że ledwie w niej można było poznać dawniejsze rysy. Białe, wyschnięte ręce nieruchomo leżały na kołdrze, a znać w nich było każdą kość i każde zgrubienie więzów. Dawno niestrzyżone włosy zwieszały się na czoło chłopca i modrymi kosmykami lgnęły do szyi. Na skroniach utworzyły się wklęsłe zapadliny, na policzkach brózdę głębokie, jak u starca, pod oczami sine, niemal czarne podkowy. Gdy podniósł oczy na przywitanie gościa, który tyle poniósł trudów, żeby go zobaczyć, nie odmalowała się w nich radość, ani ulga. Kamienna obojętność i duma, zamknięta w obrębie kilku myśli, nie znikła w nich nawet wówczas, gdy na wargach grzeczność wycisnęła z wnętrza istoty uśmiech, zaiste, więzienny. Pan Granowski uściśnął zimne kości dłoni Jasiołda i usiłował coś skleić o dobrym wyglądzie „siostrzeńca“. Żandarm, stojący przy drzwiach, pokaszliwał w kułak, cichutko brząkał ostrogami do taktu, czy w myśl jakiejś melodyi, przestępując z nogi

na nogę. Jasiołd skinął oczyma. Żywiej poruszyły się jego wargi.

— Mam się już znacznie lepiej,—mówił.—Rany mi się goją.

— A jakie masz rany, Włodziu?

— Żebra miałem zwieruszone. Dwa mi wypilowali, bo wisiały nad płucami lichy wie po jakimś, a dwa się przylepiły i teraz już siedzą doskonale. W ramieniu miałem kilka pchnięć, ale nie na wylot, tylko przez płaszczyznę, i te mię jakoś w środku poturbowały. Ale już i krwawienia z płuc ustały. Tylko że jeszcze żadną miarą na nogach stać nie mogę.

— E, toć osłabienie, naturalne po takich biedach. Ale to przejdzie.

— No, to samo i doktor mówi!

— Jakiż to doktor?

— Ten, co mi żebra pilował. Przecie niedługo trzeba będzie chodzić i niedaleko iść. Więc o to tylko, żeby można twardym krokiem dojść pod „pierekładinkę“.

— Nie myśl-no, dziecko o tem!

— A o czemże mam myśleć?—zapytał Jasiołd pogodnie i spokojnie.

Podniósł oczy na swego gościa i przez chwilę trzymał żrenice utopione w jego żrenicach. Och, wtedy pan Granowski zadrżał w sobie! Zaiste, o czemże to miał myśleć ten młodzieniec, jak nie o śmierci swej na szubienicy? Chciał wykonać

swój czyn z mocą, godną żołnierza, i lękał się wewnętrznie, iż nogi ugną się, jak kartoflane badyle, gdy na nich zechce stanąć, choćby najsilniejszym duchem przejęty. A Moskał, który będzie stryżek zakładał, pomyśli, że to ze strachu. Oficer, który mu czytać będzie wyrok, roześmieje się z męstwa polskiego młodziana. Więc leczył się forsownie, jadł dużo i łapczywie, usiłował spać na oba uszy, od wieczora do świtu, ażeby nabrać tęgości w kolanach, żelaznej w lędźwiach siły, żeby po dawnemu i po swojemu wyprostować się w krzyżu, stanąć, jak struna, i twardo, wyniosłe, hardo wzniesić czaszkę na tym karku, który ma ścisnąć pętlica. Tymczasem,—o niedolo!—z dnia na dzień gasły siły, uciekało w jakąś przepaść serce w piersiach, nikło ciało przedramienia i łydek, a sama jedna goła kość kantami i prostokątami wyrzynała się z pod zeschłej skóry. Na nogach o własnej sile ani przez sekundę nie mógł się utrzymać. Kręgosłup w kabłąk się krzywił, a głowa leżała na piersiach. W piersi zaś, zamiast swobodnego oddechu, świst metaliczny. W kaszlu strzępy błon i tkanek, zamiast płwociny, odchodzą. Sen uciekł za dziesiątą górę i za dziesiątą rzekę z tej izby przekłętej i nigdy już prawie nie zamykał rozwartych powiek. Wytrzeźwione oczy patrzyły w straszliwą grę szatana, który wygrał swą sztukę, i w ciągu nocy nieskończenie długich naśmiewał się z bezsiły polskiego harcerza...

W ciągu niedługiego momentu milczenia i rozważania pan Granowski zstąpił krok za krokiem w bezdenną Jasiołdową ciemnicę. Wejrzał w bezsenną noc jego cierpień straszliwych... W mgnieniu żrenicy pan Granowski zdecydował się czynić po swojemu: ratować ciało. Rzekł tedy szybko, żeby Moskał pilnujący niewszystko mógł zrozumieć:

— Jużes zrobił swoje, Włodziu! Jużes zrobił! Daj mi się teraz uratować!

— Jakże to uratować?

— Tylko tyle... Będiesz mówił tak: — była dawniej między nami nad Nidą w plutonie zmowa, iż, wzięci do niewoli, będziemy mówić, żeśmy rosyjscy poddani. Dla fanfaronady, dla szukania sławnej, bohaterskiej śmierci, dla rumoru na całą Polskę. Ale teraz powiesz całą prawdę: jesteś rodem z Galicji, z miasta Stanisławowa, nazywasz się Wiktor Piekoszewski.

Jasiołd siedział ze zwieszoną głową nieruchomy i niemy. Krzyż jego był tak zgięty w zupełny pałak, iż twarzy nie było widać, tylko sam wierzch czaszki, pokryty zwichrzonymi włosami. Pan Granowski mówił coraz goręcej, zachęcony, jako dobrą oznaką, tem jego milczeniem:

— Zaządasz posłuchania i tyle tylko powiesz. Pamiętaj: jesteś ze Stanisławowa, nazwisko Wiktor Piekoszewski, syn urzędnika ze starostwa. Będiesz miał taki paszport, ja go już trzymam w ręku. Słyszysz, co mówię? Powiesz tak?

— Nie powiem! — wyszedł głos z ust, zwieszonych kędyś na wysokości serca.

— Dlaczego? Włodziu!

— Dlatego, że ja jestem skaut. Zastępowy w siedleckim plutonie. Nam skautom kłamać nie wolno.

— Zastanów się! Włodziu!

— Na mnie teraz całe polskie harcerstwo polega i patrzy.

— Jużes wszystko zrobił, co skaut powinien był zrobić. Ja ci na to honorem przysięgam! Ja ci przysięgam na Boga!

— Czegóż pan jeszcze chcesz ode mnie?

— Spełń to, co ci mówiłem! Spełnisz?

— Nie.

— Zaklinam cię na imię matki!

— Jeżeli pan po to do mnie przyszedł, żeby mnie matką straszyć i nią mi serce łamać... Mnie serce z piersi ucieka... A on mi matkę wypomina! Daj mi pan jakiego wina, albo jakiej mocnej trucizny, jakiej morfiny, strychniny, czy arszeniku, żeby mogłem się podźwignąć, stanąć i iść ze łbem góry zadartym, o własnych siłach pod stryk! Łba nie mogę podźwignąć, nogi się chwieją...

— Nad matką zmiłuj się, Włodziu!

Chory zakaszlał się, ochrypl, zaniemówił. Pan Granowski jeszcze raz z głęboką rozpaczą, z najpokorniejszem błaganiem zawołał z duszy:

— Włodziu!

Jasiołd wydał ze siebie bezsilny a obronny, straszny, goły krzyk.

Długo mocował się i szamotał, bezwładną prawą rękę, jak wiosło przywiązane do ramienia, dzwigał i pchał pod siebie. Potem z wysiłkiem uniósł się na łokciu i powalił na bok. Lewą ręką oddał koldrę i wykonał prostacki ordynarny gest. Nie mógł mówić. Pan Granowski ujrzał z przerażeniem poślednią, wstydliwą część nie ciała, lecz kościotrupa. Zamilkł, i z rozwartemi stojąc ustami, gdy spojrzał na pusty ką, utworzony przez kości miednicy i nogi. Jasiołd milczał. Bezwładna jego dłoń zamierzyła naciągnąć koldrę, ale ustała w pół drogi i zwisała krzywo nad próżnią.

Żandarm brząknął ostrogami i wycedził przez zęby:

— K a ż i ś... z a s n u ł?...

Jasiołd, nie rozwierając powiek, mruknął:

— Ej, ty, żandarm!

— A ś?

— Wyprowadź pana!..

— C z t o ż, b a r i n, p o j d i o m, c z t o l i?—
uśmiechnął się ironicznie podoficer, wyszczerzając swe zdrowe zęby.

— I d e j u ż... —mówił pan Granowski, scierając rosę kroplistych łez, która mu twarz zalala.

— C z u d a k!..—westchnął żandarm w korytarzu, zamykając drzwi izby na doskonały zamek.

.

We dwa dni później pan Granowski usłyszał na korytarzu swego mieszkania ciche, charakterystyczne ostróg pobrzękiwanie. Tenże podoficer żandarmeryi stanął we drzwiach i rzekł z ukłonem, jakby dawał znać o potocznem zdarzeniu, iż „r o d s t w i e n n i k” w nocy zakończył życie. Pan Granowski pojechał do szpitala niezwłocznie. Nie stawiano mu już teraz trudności i odrazu mógł wejść do owej szpitalnej celki. Zwłoki Włodzia Jasiołda były już ubrane w legionową kurtkę, spodnie i buty. Białe jego ręce leżały złożone na piersiach. Nikt mu z żandarmów nie zamknął oczu, ani ust. Te usta małe się stały, jak u dziesięcioletniego chłopaczka, a przesłizne, równe zęby świeciły się w nich, jak szereg kryształów białego lodu. Śmiertelnie blada skóra górnej i dolnej wargi pokryła się najdelikatniejszym mchem młodocianego zarostu. Stary człowiek nachylił się i patrzył w źrenice, szeroko w oczach rozplynięte, obrócone w stronę nieba, we wzrok, który na ziemi już nic nie widzi, lecz, zaprawdę, widzi Boga. Stare serce, tłukące się w piersiach, z nagłą posłyszało krzyk otwartych ust, który już z ziemi odleciał i dobiegł do uszu Boga. Przychodzień upadł na kolana i bezwładnem czołem, bolejącami ustami dopadł kolan umarłego młodzieńca. Ach, były nareszcie twarde, żelazne, sztywnie potężne, nieugięte nogi junaka! Bezsilne kolana i chwiejne lędźwie mogły już na-

reszcie przez wieki stać niewzruszenie pod szubienicą!

Nie zgięłyby się w obliczu czyniącego sztyderstwa stu milionów Moskali! Ale wróg odszedł... Obojętna wieczność zatoczyła wokół zwłok swe nieprzebyte koło. Tryumf prawdy stał się niewidoczny, milczący i na nic nikomu,—jak zawsze.

SAMBOR I MESTWIN

Skądkolwiek objąć okiem całość gdańskiego
wybrzeża, z Brzeżna, czy z Oksywskiej kępy,
z pełni morza, czy z wysokiego radłowskiego
szczytu, zewsząd ponad modremi smugami lasów
i pozłotą zbóż na falistych pagórkach, ukazuje się
wspólna wyniosła korona dwu buków pod Wito-
minem. Samotne olbrzymy stoją na stromej górze,
której jedną połowę okrywa ugór rdzawy, od mie-
tlicy i macierzanki, a drugą złocista żytnia powło-
ka. Korzenie ich uszły w głąb, aż do serca duny,
gdzie śnią niezmierne wapienne pokłady dna nie-
gdys oceanu. Pnie jakby ze stali ukute okryły się
pancerzami, które osnuła rdza, śniedź i suchy mech,
a zbrózdziły chyże płomienie piorunów, co się po
tej niezłomnie odpornej mocy ześlizgnęły i u po-
dnoża jej zagasły. Długotrwałe deszcze, trzaska-
jące mrozy, dzikie wichry, z lodowych obszarów
mórz północy lecące ryły na tych śniatach tajemne
pismo przyrody, a człowiek przechodni skrobał tu
byle rylcem pierwsze litery swego imienia i naz-
wiska, serce przebite strzałą, krzyże i niewyraźne
znaki, którymi chciał upamiętnić motyli swój pobyt

na ziemi, zaznaczyć chociaż w ten sposób pasywe, utrwalić i odtworzyć wiary, radości i trwogi, jakikolwiek zostawić po sobie znak, któryby, sprostą długowieczności samotnych braci, na samotnej górze. Konary potężniejszego z dwu buków rozwidlają się wysoko w istny las, rozpadają w samoswoją puszcę, a najwyższe gałęzie, pędy, pręty i witki trwają splot w splot z gałęzmi młodszego brata pod pospólnym bezmiarem liści. Strażują tam wśród wzgórz i dolin, ponad sosnowymi i świerkowymi lasami, dwaj zapomniani przez świat książęta kaszubskiej ziemi. Któż to wie,—może jednemu z nich na imię Sambor,—drugiemu—Mestwin...

Widzą ze swojej wyniosłej kopy wzrokiem niedoścignym dla umysłu człowieka, jak daleko, za górami i lasami wzdyma się pod nienawiścią chmur ciemna denega wichrzatego morza, a twardestwem wnętrzem tajnie czują połysk błyskawicy, kiedy migota między otchłanią nieba i otchłanią wodnego odmetu. Słyszą w sposób niepojęty dla zmysłów człowieka, jak się budzi z nicości za daleki ładami potężny grzmot i na skrzydłach szalonej burzy leci w krainę. Wtedy bez drżenia czuwają dwaj nieruchomi i mężni w głuchym milczeniu. A gdy uderza w nich dziki wicher, śpiewają samowtór, samym sobie pieśń, która nie może się zmieścić w ubogiej mowie ludzi. W ich pieśni zawiera się wszystko. Tęskna pochwała piękności letniego nieba, gdy na wysokościach cicho się niosą

wielobarwne obłoki ponad niską ziemią, co łanami dostalego zboża chwieje się za wiatrami — i powieść ponura o morskiej głębi, gdzie się wirem nieskończonym słone i słodkie wody zwierają, tworząc pomiędzy sobą kolk niedosięgly, czeluść w dnie, w której na samotne męstwo rybaka straszliwa zguba czatuje. Zawiera się w niej wspomnienie głębokiej, cichej nocy, gdy śpiew słowicy napęnia rozkoszą góry—doliny,—i widok strumienia o zachodniej godzinie, jak się błaznikiem w łąkach dalekich, wśród żółtych piasków i rumianych koniczyń przewija. Widać w szumie wspaniałych drzew wschód codzienny boskiego światła nad gładzą morskiej topieli, w zawsze jednakim, a nigdy nie szczupłym przepychu promieni,—i śmierć okrętu, gdy go wściekła zemsta otchłani, wydiera radosnym powierzchniom, a napęnia dzikim pluskiem, chichotem zagłady. Przeszłość i przyszłość zawiera się w szumie tym,—dola—niedola, straszna niepamięć żywych po klęsce wiecznego snu tych, co muszą bez końca, nieruchomo, a nadaremnie czekać we wnętrzu czarnej ziemi, na pocałunek ukochania,—i to, co jest najwyższe, jedyne, a ze wszystkiego ostatnie — szczęście istnienia.

Gdyby człowiek był w stanie podźwignąć ciężki swój rozum na stopień wyższy, pojąć zapach kwiatów, pogwarek zbóż, poświst wiatru, gędbą ptasią, instynkt ojcowski i macierzyński zwierząt, możeby usłyszał i zrozumiał pieśń dwu

buków na witomińskiej górze. Gdyby mógł podźwignąć się duszą swą od ugorów ziemi, od twardej pracy na żyto, i wiekuiście nędznej walki o jado, gdyby mógł unieść się nad ziemię i stanąć na wysokości konarów bukowych, bratnio splecionych... Spojrzałby stamtąd jasnowidzącymi oczyma w śmieszne przyczyny zwad i w dzieje zbrodni, zwierząt człowieczych, które nie cenią cudu istnienia, zaprzątnięte wspomnieniem wiekuiestej krzywdy i planowaniem wiekuiestego odwetu. Usłyszałby tam czującą swoją wszechwiedzą ów najstraszliwszy dziejowy dokument, z pomroki czasów na łzach niewygasłego pomstowania wypływający w zwrotkach śpiewanki kaszubskiego poety:

„Ziuziu, Ziuziu, mały senku,
Zabiele cy ojca w renku,
Zabiele go za drudziemi
Toporami żelaznemi.
A w Raduni krwawo woda,
Szkoda ojca, żeco szkoda“...

Ale może wówczas człowiek byłby także zdolny do tego, ażeby pod niebem westchnąć niewinnie, jak wzdycha drzewo,—ażeby oderwać ręce od tworzywa narzędzi mordu,—ażeby przetrzeć oczy, zalane juchą wieczniepamiętnej krzywdy praszczurów. Może wtedy stałby się zdolnym do tego, by spojrzeć w oczy wroga, zalane krwią nienawiści, wyciągnąć i po wiekach wieków wymówić wyraz, zapomniany w języku człowieczym:—o bracie!...

SPIS RZECZY

	Str
Wstęp.	5
Na Podlasiu (MOGIŁA).	7
Wyprawa na San (POPIOŁY).	21
Wilki "	37
Potyczka "	31
Widziadła "	65
Zamieć (WSZYSTKO I NIC).	81
Poranek zimowy " "	99
Honor " "	109
Śmierć Włodzia Jasiolda (CHARITAS).	119
Sambor i Mestwin.	131

TOWARZYSTWO WYDAWNICZE W WARSZAWIE

WYDAWNICTWA DLA DZIECI I MŁODZIEŻY.

Aanrud. Historia o Cesi sierotce

Andersen. Baśnie. Z ilustracyami E. Dulaca

Areydziała literatur obcych. W wyborze i układzie dla
użytku szkolnego pod redakcyą A. Boleskiego i K. Drze-
wieckiego zeszyt I-y Homer. Iliada—Odyseja

Askenazy S. Pr. Napoleon a Polska T. I Upadek Polski a Francja

— — — II Bonaparte a Legjony

— — — III

— — — I—III w oprawie

Barrie Przygody Piotrusia Pana. Z ilustracyami A. Rackhama

Bobńska H. O szczęśliwym chłopcu. Powieść dla dzieci

Candèze E. Przygody świerszcza. Opow. przyr. dla młodzieży

Choromański L. Dziwne przygody. Opow. dla małych dzieci

Dante Alighieri. Vita Nuova (Nowe Życie) przełożył
Artur Górski

Dąbrowska M. Dzieci Ojczyzny. Opow. hist. dla młodzieży

— Dzieje Naszej Ojczyzny

— O Zjednoczonej Polsce

Demolder E. Serce ubogich. Opow. dla młodzieży

Drzewiecki K. Spacery z panem Karolem. Opow. dla dzieci

Eeden Van. Mały Janek. Książeczka dla dzieci

Ernst O. Historia młodego życia. Powieść dla młodzieży

Ewald K. Ciche jezioro. Dwunożne. Dwa opowiad. przyr. dla
młodzieży

Filipkiewicz F. Sztuka dla dzieci. Teki zaw. sześć barwn.
obrazków

France Anatol. Na kwiaty. Książeczka dla dzieci

France Anatol. Zazulka. Opow. dla młodzieży

Gąsiorowska N. Książę Józef
 Geijerstam G. Moi chłopcy
 Grabiec J. Powstanie Styczniowe 1863—1864
 — Dzieje Polski Niepodległej
 — Dzieje porozbiorowe Narodu Polskiego
 Hertz B. Henryś. Powieść dla dzieci
 — Przygody Magdusi. Powieść dla dzieci
 Hryncewicz-Talko I. Prof. Człowiek na ziemiach naszych
 Jabłczyński F. U stóp Partenonu. Opow. z dz. Grecji dla
 młodzieży.
 Jak to na wsi bywa. Książka obrazkowa dla dzieci
 Konopnicka M. Jak się dzieci w Bronowie bawiły
 Korczak J. Józki, Jaśki i Franki
 — Mośki, Joski i Srule
 — Sława
 Krasiński M. Modlitwy
 Lagerlöf Selma. Cudowna podróż cz. I II i III
 Lazarusówna F. Moja gromadka. Opow. dla dzieci
 Leonardo de Vinci. O malarstwie przekł. L. Staff.
 Leśmian B. Klechdy sezamowe
 — Przygody Sindbada żeglarza
 Marya Markowska. Przejdziem Wisłę, przejeziem Wartę.
 Powieść historyczna.
 — Gęśliki grają. Baśnie i podania.
 — Za górami, za lasami. „ „
 Mickiewicz Ad. Księgi narodu i pielgrzymstwa polskiego
 Molnar Gr. Chłopcy z placu broní. Pow. dla młodzieży
 Mortkowiczowa J. Przygody w lesie. Bajki dla dzieci
 — Radosny dzień. Książka dla dzieci
 — Stacho

Mortkowiczowa J. Zaczarowana wyspa. Bajki dla dzieci
 — Z naszej szkoły. Opow. o tem, jak dzieci
 — pracowały
 — Z naszej szkoły. Serja druga
 Mortkowiczowa J. i Sempołowska S. W pamiętnym roku
 wojny. Książka zbiorowa dla młodzieży. Ilustracje
 S. Norblina
 O Janku Marynarzu. Z obrazkami dla małych dzieci
 Orsza H. Na ziemi polskiej przed wielu laty
 Ostrowska Br. Książeczka Halusi.
 — O Janku Planetniku
 Panteon. A Mickiewicz. Księginarodu i pielgrzymstwa polskiego
 — J. Słowacki. Genezis z Ducha
 — Z. Krasiński. Modlitwy
 — Kwiatki św. Franciszka z Asyżu przekł. L. Staffa
 — Leonardo da Vinci. O malarstwie; przełożył L. Staff
 Pastoralka złożona z 7 kolend Rys. Z. Lubańskiej.
 Plutarch Polski. Hugo Kollataj przez B. Limanowskiego
 — — Tadeusz Kościuszko „ „
 — — Walerjan Łukasiński „ „
 — — Stanisław Staszic „ „
 — — Romuald Traugutt „ „
 Przyjaciele Zucha. Książka obrazkowa dla małych dzieci
 Rederowa M. Słojd dla młodszych dzieci. Roboty z rurek
 i kartonu
 Rogoszówna Z. Dziecinny dwór
 — Kolorowe bajeczki z ilustracjami Józewskiej
 — Pisklęta. Nowele
 Rogoszówna Z. i Rogosz-Pieńkowska J. W słoneczku. Poezje
 dla dzieci i młodzieży
 Rogosz Piénkowska J. Mały gospodarz. Książka ilustrowana
 dla małych dzieci.

- Rolland R. Beethoven przeł. M. Zabojecka
 Selmer Gjems Agot. Dzieciństwo mateczki
 — Nad dalekim, cichym fiordem, ilustr.
 C. Larsona
 — Siostrzyczka. Ilustr. C. Larsona
 Sempołowska S. i Unslicht-Bernsteinowa J. Dla przyszłości.
 Czytania dla młodzieży i dla dorosłych
 cz. I. My—ludzie i przyroda
 — II. Religja w życiu ludzkości
 — III. Człowieki i ludzie. (Za wolność)
 Siedlecki M. Prof. Jawa. Przyroda i sztuka. Uwagi z podróży
 Sieroszewski W. Bajki
 — Zamorski Djabeł. Powieść dla młodzieży
 Słoński Ed. Jak to na wojence...
 Słowacki J. Genezis z Ducha
 Smoleński J. dr. Krajobraz Polski
 Szarzyński J. E. W Karpatach. Powieść dla młodzieży
 Szczęsny Al. Kolorowe okienko. Bajki dla dzieci
 — Pieśń białego domu. Książka dla młodzieży
 Thackeray. W. Pierścień i róża
 Trojanowski W. Malarstwo Włoskie z 40 planszami
 Trzebiński M. Stara Warszawa. Album
 Żeromski S. Dla młodzieży. Wybór z pism. Książka I
 — — — II
 — Duma o hetmanie
 — Echa leśne
 — Popioły; wyd. nowe 3 tomy
 — Syzyfowe prace
 — Wisła
 — Wszystko i nic. „Popiołów — sprawa druga“



UTWORY STEFANA ŻEROMSKIEGO.

- Walka z Szatanem I. Nawracanie Judasza. Powieść. 1916.
 Walka z Szatanem II. Zamięć. Powieść. 1916.
 Walka z Szatanem III. Charitas. Powieść. 1919.
 Aryman mści się. — Godzina. Wydanie drugie. 1911.
 Biała rękawiczka. Sztuka w 3 aktach, z prologiem i epi-
 logiem. 1921.
 Dla młodzieży. Książka I. 1921.
 Dla młodzieży. Książka II. 1921.
 Duma o hetmanie. Wydanie czwarte. 1920.
 Dzieje grzechu. Powieść. 2 tomy. Wydanie piąte. 1920.
 Echa leśne. 1920.
 Inter Arma. Warszawa. 1920.
 Ludzie bezdomni. Powieść. 2 tomy. Wydanie piąte. 1911.
 Opowiadania. (Doktor Piotr. — Cokolwiek się zdarzy. — Ananke.
 — Zmierzch. — Złe przecucie. — Po Sedanie. — Zapomnie-
 nie. — Pokusa. — Siłaczka. — Oko za oko. — Niedziela. —
 Z dziennika). Wydanie czwarte. 1910.
 O przyszłość Rapperswilu. Kraków. 1912.
 Organizacja inteligencji zawodowej. Warszawa. 1919.
 Początek świata pracy. Kraków. 1919.
 Ponad śnieg bielszym się stań. Warszawa. 1920.
 Popioły. Powieść z końca XVIII i początku XIX wieku.
 3 tomy. Wydanie czwarte, drukowane w piątym roku
 wojny wszechświatowej.
 Powieść o Udałym Walgierzu. Wydanie nowe. 1918.
 Projekt Akademii Literatury Polskiej. Warszawa. 1918.
 Promień. Powieść. Wydanie czwarte. 1910.
 Rozdziobią nas kruki, wrony. Wydanie trzecie z rysunkami
 Janowskiego. 1905.
 Róża. Dramat niesceniczny. Wydanie drugie. 1910.
 Sen o szpadzie. Kraków. 1911.
 Sen o szpadzie i sen o chlebie. Zakopane. 1916.
 Siłaczka. — Na pokładzie. (B. U. L. Nr. 5). 1907.
 Słowo o Bandosie. Wydanie nowe. 1920.
 Sułkowski. Tragedya. Wydanie drugie. 1910.
 Szyfrowe prace. Powieść. Wydanie nowe. 1919.
 Uroda Życia. Powieść. 2 tomy. Wydanie nowe. 1920.
 Utwory powieściowe. (Na pokładzie. — O żołnierzu tułaczku. —
 Tabu. — Cienie. — Kara. — Legenda o bracie leśnym).
 Wydanie czwarte. 1910.
 Wierna rzeka. Klechda. 1913.
 Wisła. Warszawa. 1920. Wydanie drugie.
 Wszystko i nic. Warszawa. 1919.
 Zmierzch. — Cokolwiek się zdarzy. (B. U. L. Nr. 41) 1907.



STEFAN ŻEROMSKI
DLA MŁODZIEŻY

* *

STEFAN ŻEROMSKI DLA MŁODZIEŻY

WYBÓR Z PISM

KSIĄŻKA DRUGA



WARSZAWA MCMXXII KRAKÓW
WYDAWNICTWO J. MORTKOWICZA
NAKLAD T-WA WYDAWNICZEGO W WARSZAWIE

Przedruki nieuprawnione przez autora wzbronione.
Wszelkie prawa autorskie co do tłumaczeń i przeróbek
zastrzeżone.

Prawa autorskie co do przedruków, tłumaczeń i t.d. w Rosyi
zarezerwowane na zasadzie ustawy z d. 3 kwietnia 1911 r
Copyright by Stefan Żeromski, nineteen hundred
twenty one.

3979



SWAWOLNY DYZIO

Jednego z ostatnich dni kwietnia dr. Judym ukończył wszelkie rachunki z miastem Warszawą, spakował manatki do walizy, którą bez żadnego zgoła wysiłku mógł nosić z miejsca na miejsce, wręczył honorarya i napiwki starej Zośce, stróżowi, — wsiadł do powozu i kazał się zawieść na dworzec. Uregulowanie rachunków odbyło się na konto przyszłej pensyi w Cisach. Dr. Węglichowski nadesłał był Judymowi listownie rodzaj zaliczki w kwocie stu rubli i uprzejmie żądał przyjęcia jej celem spłaty długów i opędzenia kosztów podróży. Dr. Tomasz burzył się w duchu na wydawanie pieniędzy, których jeszcze nie zarobił, ale koniec końców nie tylko zużytkował tę sumę, ale zużytkował tak gruntownie, że po opłaceniu biletu klasy drugiej w wagonie dążącym z Warszawy, do ostatniej stacyi kolejowej przed Cisami, została mu w kieszeni trocha łupaków miedzianych i dwie marki po siedm kopiejek każda. Gdy pociąg ruszył, Judym wsunął się do przedziału, gdzie służący ulokował jego walizę i znalazł miejsce w rogu sofy. W *coupé* siedziały już trzy osoby: jakiś wie-

kowy oficer i dwie panie. Osoby te miały dużą ilość kufrów, a zabierały się do drogi systematycznie: pan umieścił swą szablę i czapkę w rogu, panie rozstawiły obfity zbiór koszyków, skrzynek, pudeł, nesaserów i t. d. Gdy przebyto most, Pragę, resztki zabudowań, gdy nasunął się pierwszy las, brzozy, jak senne marzenia wynurzające się z ciemnej głębin sosen, pola z ich nikłą runią zbóż jasnych, dr. Tomasz nie mógł od okna wzroku oderwać. W niebiosach, gdzie przecudny, dobrotliwy błękit zdawał się roztwierać ostatnie swoje zasłony, płynęły wiotkie chmurki. Na ziemi wszystko tchnęło życiem, rozrostem i pięknem. Czasami odmykał się przestwór równiny dalekiej, to znowu zasłaniały go wsie, dwory i piękne, prawdziwie czcigodne sylwety kościołów.

Judym nasycił oczy tym krajobrazem, gdy wtem drzwi otworzyły się i nie tyle weszła, ile wdarła się do przedziału dama wysoka i chuda, prowadząc za rękę chłopczyka mniej więcej dziesięcioletniego. Dama była nie piękna i, jak się rzekło, chuda w sposób taki, że widzowi mimowoli przychodził do głowy akt dziękczynienia za to, że istnieją, chwała Bogu, szaty damskie i że uwalniają śmiertelnych od widoku dam tego rodzaju—w negliżu. Nowo przybywająca miała spory nos, usta ściągnięte i oczy zmrużone. Konduktor i jeszcze jakiś funkcjonaryusz wagonowy wrzucali za nią do przedziału kupy węzełków, skrzynek,

wózków, drewnianych koni wielkości zrebnięcia, parę walizek i pudełek kartonowych. Dama zostawiła to wszystko razem i każdą rzecz z osobna losowi naturalnemu. Zepchnęła tylko niektóre meble, krępujące swobodę jej ruchów na nogi sąsiadom... Ukończywszy to zajęcie, padła na sofę i wzięła się do oglądania towarzyszków drogi. Mały Dyzio stał pośród sprawunków, nawalonych w przejściu między-siedzeniami i, gwiżdżąc, również przyglądał się obecnym. W ręce trzymał brudny patyk ze sznurkiem uwiązany do niego w kształcie bata. Włosy tego chłopięcia były szare, a rosły jakoś naprzód, w kierunku widza. Cała postać, a szczególnie oczy, włosy i ręce, przypominały rysia, czy żbika. Ubranie było wytarte niepospolicie i świadczyło o jakichś piekielnych walkach z ziemią, wodą i smarowidłami. Pończochy wypchnięte na kolanach i przedziurawione, odsłaniały nogi okryte krwią i mnóstwem siniaków.

— Dyziu, usiądź...—rzekła matka głosem omleającym.

Mówiąc to, nie patrzyła na swego potomka, lecz na Judyma, jakby do niego mianowicie zwracała się z tą serdeczną i troskliwą radą.

Dyzio zachował się tak, jakby słowo matki rzeczywiście skierowane było do kogo innego. Z żywą ciekawością pochylił się ku oficerowi, siedzącemu w kącie przedziału i zaczął szczegółowo oglądać guziki munduru, biorąc każdy z nich w pal-

ce, zwalane rozmaitemi substancjami. Wojskowy zgodził się bez protestu na tę badawczość młodocianej imaginacji i z niejakim uśmiechem czekał końca oględzin. Tymczasem Dyzio dostrzegł pałasz, wiszący w kącie na haku i sięgnął śmiałą ręką po tę broń między głowy dwu pań. Wówczas oficer usunął go od siebie i towarzyszek delikatnie, z uprzejmością i w milczeniu.

Dyzio, zachowaj się, jak należy... — rzekła matka, — bo pan oficer wyjmie pałasz i utnie ci głowę.

Żywy chłopczyk znowu nie wysłuchał słów matki z należytą uwagą. Zamierzył był właśnie dostać się do okna i ruszył w tym kierunku po nogach osób siedzących. Rozległ się krzyk dam i pana w mundurze, oskarżający Dyzią, że włazi na odciski. Dyzio z miną tryumfatora, obojętnego na wszystko, przedarł się, dokąd zamierzył. Rozkraczywszy nogi, stanął na dwu siedzeniach i wychylił się za szybę ruchem tak lekceważącym wszelkie niebezpieczeństwo, że obecni w przedziale zobaczyli raptem odwrotną część jego ubrania zdartą, kto wie, czy nie bardziej, niż pończochy. Jedna z pań zwróciła się do stroskanej matki i rzekła:

— Proszę pani, synek może wylecieć za okno...

— Dyziu, na miłość Boską, nie przechylaj się tak bardzo, bo ta pani mówi, że możesz wylecieć za okno!

Znowu żadnego skutku! Przez pewien czas wszyscy byli zaambarasowani tak wypiętą pozą chłopczyny, ale krzyk trwogi buchnął z piersi wszystkich, kiedy malec nachylił się jeszcze bardziej, widocznie chcąc dostać rękoma tabliczki przy-mocowanej pod oknem. Dla zachowania równowagi stanął wtedy na jednej nodze, a druga, w miarę ruchów tułowia, wierzgała po przestworze około głów pań siedzących. Oficer zerwał się z miejsca, ujął kawalera za pasek i wciągnął do wagonu. Wtedy Dyzio sprezentował, co umie. Przedewszystkiem wydarł się z rąk i rzucił znowu do okna. Gdy mu to po raz drugi zostało wzbronione, zaczął szarpać się, kopać nogami na wszystkie strony bez względu na to, czy razy jego obcasów trafiały w kuferki, czy w stopy z odciskami.

— Proszę pani,—krzyknął oficer,—co to jest. A to ślicznie wychowany chłopak! Może pani będzie łaskawa!...

Dyzio, zaklinam cię na wszystkie świętości!—wołała zmęczona matka.

Ten nie uznawał się za zwyciężonego: oficera łokciami odepchnął, a w kierunku matki wywiesił język tak długi, że można go było za pieniądze pokazywać. Nie było rady. Zostawiono Dyzią w spokoju, ale i on się jakoś umitygował. Patrzył tylko ze szczególną niechęcią na oficera i splotał przed siebie. Po pewnym czasie usiadł między matką i Judymem. Nogi wyciągnął aż na przeciwną

ławkę, ręce wpakował w kieszenie kurtki i wlepił w każdą osobę z kolei swe sowie oczy. Była to cisza pozorna, wkrótce bowiem zaczął atakować Judyma. Zaglądał mu w oczy, wpierał się w niego ramieniem, łokciem, kolaniem, wreszcie wywłókł z pod ławy swój bat, koniec biczyska wtłoczył w nogę doktora Tomasza i zaczął niem oburącz świdrować. Doktor odjął patyk i usunął rękę chłopca. Nie na wiele się to przydało, gdyż wkrótce zaczęła się ta sama historia. Matka Dyzia przyglądała się tej procedurze z kwaśną miną—a wreszcie wysepleniała:

— Proszę cię, nie rób tego.. Po co to? Czy grzeczny chłopczyk bawi się w ten sposób, czy to ładnie? Już tyle razy mama cię prosiła, żebyś nie zaczepiał panów w wagonie. Robisz tem mamie ogromną przykrość... Chyba chcesz, żeby nas i z tego *coupé* pan konduktor wyrzucił, jak z tamtego. Co? powiedz otwarcie...

Dyzio skierował na rodzicielkę przelotne spojrzenie i wziął się do nowej czynności. Na ławce leżał kapelusz Judyma. Chłopczyk chwycił go w ręce sposobem cyrkowym, zaczął kręcić, wyrzucać w górę i łapać na patyk.

— Ach, Dyziu, Dyziu...—jęczała dama. — Nie rób tego, bo ręczę ci, że ten pan rozgniewa się i znowu zwymyśla mamę tak samo, jak pan pułkownik. Chyba chcesz, żeby ten pan zwymyślał mamę. Powiedz otwarcie... Chyba chcesz...

— No chcę, żeby mamę zwymyślał!... — mruknął syn nielitościwy.

Nic tedy nie skutkowało. Dopiero znużenie wzięło górę nad żywością usposobienia. Usiadł na wolnem miejscu, ku powszechnemu zadowoleniu ziewnął raz i drugi... Wreszcie usnął. Judym z całą pieczołowitością umieścił jego kończyny na sofie, a sam wyniósł się z przedziału. Nie wrócił tam aż w „Iwangrodzie“, kiedy trzeba była zabrać walizkę dla przeniesienia jej do innego wagonu. Ze szczerą satysfakcją myślał o tem, że się z Dyziem rozstaje.

Jakaż była jego złość, gdy ujrzał matkę ze swawolnym synem, wstępujących do wagonu, gdzie siedział. Była tam salka drugiej klasy, wspólna dla znacznej części pasażerów, to też Dyzio używał co się zmieści.

Około godziny trzeciej popołudniu zbliżano się do stacyi, na której Judym miał wysiąść i dalszą drogę, to jest pięć mil, odbyć końmi. Wydo-bywszy się z wagonu i minawszy dworzec drugorzędnej stacyjki, zastał duży parokonny powóz i furmana w błyszczącej liberyi. Walizę przyniósł w ręku bardzo stary żydek i umieścił ją na koźle. Doktor skoczył jeszcze do bufetu, żeby kupić papierosów. Gdy prędko biegł z powrotem, ujrzał Dyzia i jego matkę sadowiących się właśnie do jego powozu. Ręce mu opadły i dawno nieużywane, szewskie przekleństwo splamiło usta. Znużona

matka Dyzia już wiedziała od woźnicy, że ma jechać z jakimś panem, już poznała walizkę i z bardzo ujmującym wyrazem twarzy czyniła zbliżającemu się miejsce obok siebie.

W pierwszej chwili Judym zasadniczo zdecydował się nie jechać na żadne skarby świata. Ale szereg prędkich zestawień i obliczeń funduszu, wywołał w jego umyśle inną decyzję, a na oblicze wyraz szczęścia i słodczy. Z tem piętnem na twarzy zbliżył się do damy i zawiązał rozmowę, pełną wykwintnych ogólników. Wkrótce tobołki umieszczone zostały, gdzie się dało, Dyzio, z obawy, ażeby, broń Boże, nie spadł pod koła, wskutek usilnych prośb matki, zasiadł na ławeczce w nogach i landara wwalila się w bagnistą uliczkę żydowskiej miejsciny.

Dama ciągnęła dyskurs nieustannie, wtedy nawet, gdy powóz przechodził istne konwulsje w dołach, wybojach, bajorach i suchych grobelkach miejskich. Judyma mdłości ogarniały na samą myśl, że ta zabawka towarzyska trwać będzie na przestrzeni pięciu mil, ze wzmianek bowiem matki Dyzia okazywało się, że jadą do Ciszów. Ale wkrótce za miastem doznał pociechy, gdy mu prosto w twarz wionął oddech wilgotny, lecący z niedocieczonego przestworza, z pól, lasów. Role, po długich deszczach rozmiękle, porzniete brunatnymi smugami brózd mokrych już tu i owdzie jaśniały szaro-żółtą barwą, wysychając w miejscach wzniesionych

Nad nimi kurzył się lekki, siwy opar. Niwki ozimin snuły się wzdłuż i wpoprzek cudną barwą swoją, która w oddali mieniła się rozmaicie, to zielono, to niebieskawo, jak kolor piórek na szyi pawia. Wysoko stały białe obłoki, jakby zaspy śniegów spiętrzonych, pomalowane ślicznymi cieniami. W głębi ich skrzydeł rozlegał się istny chór skowronków. Nad jasną runią pastwisk magwały się czajki, co chwila wydając okrzyk swój wesoły.

Konie rwały ostrego klusa i z pod kół zaczęły się rozlatywać bryzgi tężejącego błota. Wiatr przeskadzał mówieniu, to też „konwersacya“ stawała się cokolwiek mniej dokuczliwą. Judym tonął oczyma w nowym pejzażu. Był on dla niego nowym prawdziwie. Wsi, a raczej ziemi, gleby, przestworu w tej porze roku doktor nigdy jeszcze nie widział. Budził się w nim święty instynkt pra człowieka, mglista namiętność do roli, do siewu i pielęgnowania zboża. Uczucia jego rozproszyły się i błakały w tych szerokich widokach. Tam pod lasem, który dopiero zaczęły barwić liście, wśród wzgórza otoczonego drzewami leży miejsce na dom. Olchy i sokory jeszcze są czarne. Tylko wysmukła, strzelista brzoza okryła się już cienką mgłą liści tak szczelnie, że nagie pręty już się ukryły. Dokola pniów uśmiechają się blade-niebieskie przylaszczki. Obok lasu ciągnie się wązka dolina, a środkiem niej przepływa strumień. Jakiś człowiek idzie

po zboczach górki, schyla się, coś tam robi, nad czymś pracuje, coś sady, czy sieje...

I znowu pieści się z oczyma to wzgórze, uśmiechnięte do słońca...

Powóz minął wioski, karczmy, lasy, rozdroża i mknął gościńcem błotnistym. Słupy wiorstowe dość często nasuwały się przed oczy i upalono już ze dwie mile drogi, kiedy Dyzio dał znak życia. Do tej chwili pogrążony był w pewien rodzaj somnambulizmu. Siedział zmartwiał, jak bryła soli, wypłupionymi oczyma wodząc po rowach. Właśnie Judym tłumaczył matce coś interesującego, gdy uczuł, że go malec zaczyna łechtać po łydkach. W pierwszej chwili sądził, że mu się zdaje, ale wkrótce, rzuciwszy okiem, zobaczył na obliczu łobuza znamię chytrłości i wywieszony język, którym ten pomagał sobie niejako w procedurze łechtania. Dyzio wsuwał rękę między nogawicę spodni Judyma i cholewkę jego kamaszka, odchyłał skarpetkę i wodził po gołej skórze długą, ostrą słomą. Judym nie zwracał na to uwagi w nadziei, że mania psotnicza ominie małego towarzysza drogi. Stało się przeciwnie. Dyzio wynalazł pod siedzeniem jakiś zabłąkany, długi, ostry badyl i tym sięgał aż do kolana. I to mu nie wystarczyło: wyskubywał nitki ze skarpetek, usiłował zdjąć kamasz, zawijał i ineksprymable dopóki się dało i t. d. Poczęło to wreszcie doktora drażnić. Odsunął szorstkim ruchem rękę łobuza raz, drugi, trzeci. Wszystko na nic.

Język wywieszony na bok coraz bardziej wskazywał, że gotują się nowe eksperymenty. I rzeczywiście: Dyzio zaczął zbierać dłonią duże i lepkie bryzgi błota, które osiadały na wachlarzu powozowym, lepił z nich wielką pigułę i pakował na gołe ciało za cholewkę doktorskiego kamaszka. Judym wyrzucił pierwszą taką bryłę. Gdy malec ulepił drugą i wpakował ją znowu, odepchnął go mocniej, a gdy wreszcie po raz trzeci przygotowywał się do tejże czynności, rzekł do niego:

— Słuchaj, jeżeli się zaraz nie ustatkujesz, to ci zerżnę skórę.

Chłopak uśmiechnął się zjadliwie, zebrał ręką nową garść błota i rozpostarł je na obnażonej nodze. Wtedy Judym kazał furmanowi stanąć. Skoro tylko powóz się wstrzymał, otworzył drzwiczki, jednym zamachem skoczył na ziemię i wyciągnął ze sobą Dyzia. Tam ujął go za kark lewą ręką, przechylił w sposób właściwy na kolanie i wysypał mu prawą około trzydziestu klapsów z pod ciemnej gwiazdy. W trakcie tej operacji słyszał rozdzierający krzyk damy, czuł szarpanie za rękawy, nawet drapanie paznogciami, ale nie zwracał uwagi. Matka nieszczęsnego skazańca zerwała Judymowi kapelusz z głowy, rzuciła go w pole i wrzeszczała, jak obłąkana. Gdy doktora dłoń zabolala od razów, wrzucił chłopaka na siedzenie powozu, wyciągnął swoją walizkę, wziął ją w rękę i kazał jechać.

— Proszę pana doktora, jakże to jechać? — rzekł furman, — jakże jechać? Niechże pan doktor wsiada.

— Nie wsiadę! Jedź do Cisów z tą panią. Ja idę piechotą...

Furman zafrasował się i zmartwił. Patrzył to na Judyma, to na damę.

— Jedź, kpie, kiedy ci mówię! — krzyknął doktor w pasy.

Woźnica wahał się jeszcze i mruczał:

— Pan administrator kazał mi jechać po nowego doktora. Jakże tu?... Ładnie to tak, żeby... Ij... u Boga Ojca!...

Ruszył ramionami i stanął.

— Jedź do licha!

— To choć niech pan doktor wsiądzie na kozie!

— Nie wsiadę! Słyszałeś?

— Słyszałem. Ale żeby na mnie nie było.

Splunął na bok, podciął z lekka konie i ruszył noga za nogą. Jeszcze obejrzał się i zobaczył Judyma, idącego z walizą w ręku brzegiem drogi. Wtedy ruszył prędzej i powóz oddalać się zaczął

SZYMEK I MOSIEK

Raduski rozejrzał się naokół i dostrzegł jedno tylko świecące okienko tuż przy drodze. Był to bardzo mały sklepik żydowski z żelazem. Prawie przy samych drzwiach stała tam szafka z desek, a na niej leżały gwoździe, poowijane w papier, kilkanaście kluczków, kłódek i trocha starego żelastwa. Pod oknem, na niskim, szerokim stolku garbił się mały chłopiec w barankowej czapie, reparując but z urwaną przyszwą i skoślawionym obcasem. Naprzeciwko niego, z drugiej strony maleńkiego stolika siedział chłopak nieco starszy od szewca, w kaszkiecie i szarym, zniszczonym kubraku. Bosą lewą nogę wyciągnął i oparł na stosie zdartego rzemienia, brodę podparł pięściami i patrzył na robotę szewca, który śpiesznie żgał zmurszałą skórę szydłem i zawlekał dratwę.

— I *brandzole* całkiem wigniło... — rzekł mały żydziak, — i przyszwa się rozłazi. Kiedy ja taki obcas mogę sprostować?

— Ale ty rób, nie gadaj! — rzekł chłopiec w kubraku.

— Żeby majster buł, onby może zrobił prę-

dzej, a co ja mogę poradzić? Ty, Szymek, dla czego nie przyszedłeś wcześniej z tym krypciem?

— Ale wcześniej! Łatwo tobie gębą powiedzieć. Dał nam to pieniądze? O dziesiątej godzinie kazał przyjść do kantoru i to my jeszcze z pół godziny czekali.

— Ty, Szymek, dużo masz roboty w tej fabryce?

— Czy dużo roboty? A żebyś ty zapróbował chociaż z dzień, z jeden, tobyś się dowiedział. Tych kuldów to, mówię ci, nawet nie czuję od walenia. W ślepie się kamyczki śpią tyle, jak mąka.

Mały szewc westchnął i rzekł po chwili, bijąc młotkiem w obcas:

— Jaby tam bardzo chciał tam robić, dla czego nie. Już nie wiem, kiedy ja chodziłem po świecie...

— Ciężko siedzisz na tym stołku? A już ci prawda, że kiedy idę, to cię widzę. Skądżeś ty, Mosiek, stąd, niby ze Łżawca, czy nie?

— Nie, ja jestem ze wsi.

— Z daleka?

— Ona się nazywa, ta wieś, Niemrawe.

Raduski przytknął twarz do szyby i usiłował zobaczyć twarz szewca, ale jej pod wielką czapką nie dojrzał.

— To się ta i ładnie nazywa, Jezus ci Marya. No, a i cóż ty ojca, matki nie masz?

— Ojca mam, ale mój ojciec... on głupi jest.

— Jakże to głupi?

— On ma głupie głowę. Lata ciągle bez kossuła, a czasem to i bez portek od wsi do wsi, na pole...

— Ehe... waryat!

— Może być waryat. Czemu nie?

— No a matka cóż robi?

— Co ona może zrobić taka matka? Trochę handluje, trochę idzie do roboty, trochę na żebry. W chałupie jest całkiem paskudna bieda. Tam tych dzieci, moje siostry i braty, jest, albo ja wiem, z dziesięć...

— A ten twój majster cóż to jest twój krewny?

— Trochę krewny z moją matką. Ona jemu poprosiła bardzo ładnie, to on mię wziął do terminu. Ja już cztery lata siedzę na ten stołek. Aj, Szymek, Szymek...

— Cóż on, para, szewc jest, choć i ten twój majster, a nigdy go tu niema, tylko ty, widzę, zawsze łatasz te buciory. Gdzież on się obraca na ten przykład teraz?

— Cicho, nie gadaj! Co tobie do tego, gdzie on chodzi, co tobie dyabli do tego! Ty chodzisz do swojej fabrykacy, on chodzi do swojego interesu...

— Yhy — ty głupiemu powiedz, do jakiego to on interesu chodzi. Ja niby nie wiem! Przecie wszyscy gadają, że to niby sklepik trzyma, buty lata, a czem innem się trudni.

— Cicho, durniu! Ja ciebie proszę, 'nie gadaj... Jakby on usłyszał, onby mi łeb obdarł ze skóry!

— Musi on cię prać tego, skoro się tak boisz.

Malec nie odpowiedział i w milczeniu nakładał obcas. Po chwili rzekł:

— Biednemu człowiekowi to każdy bije...

— A choćbyś i poszedł do matki, to cię tylko zło i wygoni?

— Aj, Szymek, Szymek... — cicho westchnął żydziak i przerwał robotę. Ręce jego upadły na maleńki, wklęsły stolik, zavalony szydłami i nożami, oraz brudnym, starym rzemieniem. Zsunął nieco czapkę na tył głowy. Wtedy Raduski zobaczył jego twarz piegowatą, z wargami niezmierniej grubości, jakby śpuchniętymi, wybladłe policzki i oczy przedwcześnie zapadłe.

— A i cóż ty, Mosiek, nie robisz? Przecie się śpiesz!

— Mnie się spać chce, ja już nie mogę.

— Ale... będziesz mi ta biał!

— Szymek, ja już nie będę robił. Ja już nie widzę nic. Mnie w oczach takie czerwone kawalki chodzą... Dla ciebie, na moje sumienie! Jaby m zrobił, ale nie mogę...

— Masz ci teraz! Jutro godne święto, a ten but rozpoczął i kończyć nie chce. Uu... jucho jeden, bobym cię tak strzelił w zęby, żebyś dopiero wytrzeźwiał!

— Szymek, ja tobie co powiem. Moje buty są całkiem dobre, ja ci ich na święto pożyczę. Ty majstrowi nic nie mów, to on nie zobaczy, bo ja będę siedział w chodakach.

— Ba! a wleżą?

— Co nie mają wleźć! Oni będą trochę zaciasne, ale wleżą na twoje nogi. Ale ty oddasz, na sumienie oddasz?

— Cóż ci to nie mam oddać? Pokaż ino te buty.

— Ty w nich możesz iść do samego kościoła.

— Ale, prawda była! Pójdę do kościoła... To mi, psiatreść! na amen wyszło z głowy...

— Co takiego?

— No jakże ja mam iść do kościoła w twoich butach? Przecie ty, widzisz, żyd?

— No to co z tego, że ja żyd?

— Nie pasuje, rozumiesz? W żydowskich butach do kościoła nie pasuje. Jeszczebym oślepił w samo podniesienie, albo ta co...

— Bez co tak? Przecie nie kradzione.

— E... nie kradzione, ale jeszcze gorsze, bo żydowskie. U nas, widzisz, tak: katolik to katolik, — niema gadania. Kupiłeś — to insza stacya, to już twoje, katolickie. A w żydowskich butach do kościoła... niema, niema!

— No, co to szkodzi. Na to jest sposób: ty masz teraz pieniądze, daj mi czterdzieści groszy

i weź buty. My sobie oba powiemy, że to twoje,
kupione. Po świętach ty mi buty odniesiesz, a ja
ci oddam pieniądze. Tylko ja się boję, czy ty od-
dasz te buty... Szymek, ty wiesz, onby mi ze łbem
obdarł...

.

SZKOŁA W OWCZARACH.

I

Po śniadaniu nauczycielowa wzięła Marcinka za rękę i tak, jak stała, w białym kaftaniku, wprowadziła do izby szkolnej. Gdy się drzwi otwarły, w głowie Marcina prześliznęła się zaraz myśl: to jest kościół, nie żadna szkoła...

Izba była pełna. Na wszystkich ławkach siedzieli chłopcy i dziewczęta. Gromadka najpóźniej przybyłych, nie znalazłszy miejsca stała pod oknem. Chłopcy siedzieli w sukmanach, w ojcowskich spancerach, nawet w matczynych lejbikach, niektórzy mieli szyje okręcone szalikami, a ręce w welnianych rekawicach; dziewczęta miały na głowach zapaski i chuściny, jakby się znajdowały nie w dusznej izbie, lecz wśród zasp szczerego pola. Wszystko kaszlało, a znaczna większość, przed wejściem nauczycielki, ćwiczyła się w dawaniu sobie nawzajem „sera“, której to rozrywki nie byłaby zresztą w możliwości tem mianem techniczmem określić.

— Michcik, masz tu panicza z Gawronek, pokaz-że mu szkołę, bo ciekawy, — rzekła nauczy-

cielka, zwracając się do chłopca, siedzącego tuż obok drzwi w pierwszej ławie.

Był to wyrostek lat już kilkunastu, jasny blondyn z siwemi oczami. Grzecznie posunął się w ławie i zrobił miejsce dla Marcinka, który przycupnął na brzeżku, zawstydzony i zmieszany. Pani Wiechowska wyszła, rzuciwszy głośnie i stanowcze polecenie publicznego spokoju.

— Jakże ci na imię?— spytał Michcik uprzejmie.

— Marcin Borowicz.

— A mnie Piotr Michcik. Umiesz czytać?

— Umiem.

— Ale pewnie po polsku?

Marcin spojrzał na niego ze zdumieniem.

— *Pa russki umiejesz czitat'?*

Marcin zaczerwienił się, spuścił oczy i wyszeptał cichutko:

— Ja nie rozumiem...

Michcik uśmiechnął się z triumfem i zaraz wydobył z drewnianej teczki, zaopatrzonej w sznurek do wieszania jej na ramieniu, chrestomatję rosyjską Paulsona, otworzył tę księgę na zatłuszczonej miejscu i zaczął szybko czytać, potrząsając głową i rozdymając nozdrza:

— *W szapkie zolota litoho staryj russkij wielikan podziłat k-siebie drugoho...*

Uwaga małego Borowicza była zupełnie pochłonięta przez rozmowę z Michcikiem. Tymczasem ze wszystkich ławek wyłazili zwolna uczni-

wie i przybliżali się krok za krokiem, szturchając jedni drugich i wyglądając z za ramion. Utworzyło się wkrótce dokoła Michcika i Borowicza zwarte audytorjum dzieci. Wszystkim oczy zdawały się wyskakiwać na wierzch z ciekawości. Stali w milczeniu, patrząc na Marcinka bez zmrużenia powieki i tak nieruchomo, jakby w paroksyzmie ciekawości stężeli.

Tymczasem Michcik wciąż czytał ów wiersz szybko i coraz szybciej. Skończywszy, jeszcze raz triumfująco spojrzał na Borowicza i rzekł:

— Tak się czytał! Zrozumiałeś też co?

— Nic, nic... — odrzekł nowicjusz, rumieniąc się po uszy.

— E, nauczysz się jeszcze i ty — rzekł tamten protekcjonalnie. — I ja se myślałem, że trudno, a teraz i *stichi* na pamięć umiem i *rachunki* ci robię po rusku i *diktowkę*. Gramatyka, ta to trudna... uuch! Sprawiedliwie! *Imia suszczestwitielnoje, imia priłagatielnoje, miestoimienie...* Cóż, nie rozumiesz, choćbym ci i powiedział...

Nagle podniósł głowę i, patrząc na belki, rzekł, nie wiedzieć do kogo, głośnie, z uczuciem, a nawet jakby w uniesieniu:

— *„Podleżaszczęje jest' tot przedmiot, o ktorom goworitsia w predłożenii!”*

Potem znowu rzekł do Marcina:

— Widzisz i Piątek już umie czytać, choć kiepsko. Czytaj, Wicek!

Przy Michciku, siedział chłopiec niezmiernie ospowaty. Ten otworzył tę samą książkę w równie wytłuszczonem miejscu i zaczął „dukać“ jakiś ustęp. Odrazu pogrążył się w tę czynność tak zupełnie, że wystrzały z armat nie byłyby w stanie przerwać jego roboty.

Raptem gromada obserwująca rozbiegła się wśród szturchańców i hałasu. Drzwi od sieni rozwarły się szeroko i wszedł nauczyciel. Twarz jego była ledwie podobną do wczorajszej. Była to teraz maska surowa, a bardziej jeszcze śmiertelnie znudzona. Rzucił okiem na Marcinka i kwaśno się uśmiechnął do niego, stanął na katedrze i dał znak Michcikowi. Ten wstał i zaczął głośno, z deklamacją mówić modlitwę:

— „*Prieblągij Gospodi, nisposli nam blagodat'...*“

W chwili zaczęcia modlitwy wszystkie dzieci, jak na komendę, zerwały się na równe nogi, a po jej ukończeniu siadły w ławkach. Szkołę wypełniał po brzegi nie tylko zaduch, ale literalnie smród ciężki i nieznośny.

Wiechowski spoglądał przez chwilę ponuro na zaleknioną gromadę, następnie otworzył dziennik i zaczął czytać listę. Kiedy wymieniał jakieś imię w brzmieniu rosyjskiem i nazwisko, izbę zalegała śmiertelna cisza. Dopiero po upływie pewnego czasu dawały się słyszeć szept, opowiadania, wynikało szturchanie i kopanie nogami danego indywiduum, no i koniec końców z jakiegoś miej-

sca ukazywała się ręka dziecka i słychać było głos:

— Jest.

— Nie jest wcale, tylko *jest!* — wołał głośno nauczyciel. Sam wymawiał kilkakroć ten wyraz dobitnie, dla przykładu, miękcząc ostatnią spółgłoskę. Miało to taki skutek, że gdy z kolei czytał nazwiska, chłopcy wstawali i podnosili palce, wołając z całą satysfakcją i w brzmieniu zupełnie swojskiem:

— Jeść!

Marcinek nie pojmował z tego wszystkiego nic zupełnie, bo ani wymagań prefesura, ani całej ceremonji, a już najmniej objawów tak powszechnej żądzy jedzenia.

Gdy przeczytane zostały wszystkie nazwiska, pan Wiechowski znowu skinął na Michcika, a sam usiadł na krześle, wsunął dłonie w rękawy, założył nogę na nogę i począł patrzeć w okno z determinacją, jakby to właśnie stanowiło jeden z punktów jego urzędowych czynności.

Michcik głośno czytał, a właściwie wyrzaskiwał z Paulsona tekst długiej bajki ludowej rosyjskiej o chłopie, wilku i lisie.

Nauczyciel poprawiał kiedyniekiedy akcent wyrazów.

Tymczasem w całej izbie szkolnej gwar się ciągle szerzył. Słychać było dźwięki: *a, be, ce, de, e...*, albo: *a, be, we, ze, ze...*

Dzieci, które umiały już alfabet, „pokazywały“ go symplakom, świeżo przybyłym; niektóre uczyły towarzyszków „ślabizoka“, a przeważna większość, patrząc niby-to w elementarze i mrucząc coś pod nosem, nudziła się haniebnie.

Gdy Michcik odkrzyczał całą bajkę, złożył książkę i dał ją koledze Piątkowi, a sam wyszedł na środek do tablicy.

Wiechowski podyktował mu zadanie arytmetyczne na mnożenie.

Michcik wypisał dwie duże cyfry, podkreślił je okropnie grubą linią, przed mnożną ustawił taki znak mnożenia, że możnaby na nim powiesić palto, i zaczął szeptać do siebie, z cicha, tak przecie, że Marcin słyszał go dobrze:

— Pięć razy sześć... trzydzieści. Piszę „kółko“, a sześć mam w „rozumie“.

Cały ten akt mnożenia Michcik wykonywał z wielkim trudem i móżolem. Twarz mu się mieniła, mięśnie oblicza, rąk i nóg wykonywały bezcelową pracę takiego naprężenia, jakby uczeń dźwigał belki, rąbał drwa, lub orał. Skoro jednak zmógł jakieś — pięć razy sześć — i napisał „kółko“, — zaraz półgłosem, tak, żeby nauczyciel słyszał, tłómaczył całą sprawę:

— *Piatu szest'... tridcat'...*

A nauczyciel nie zwracał teraz uwagi ani na Michcika, ani na Piątka, który zaczął pokazywać

swoją sztukę, — lecz ciągle, z martwym stoicyzmem patrzył w oko.

Marcinek, słuchając po raz drugi czytania Piątka, przypominał sobie Zelika, krawca wiejskiego, który często w Gawronkach siedział całymi miesiącami na robocie. Stał mu w oczach, jak żywy — zgrzybiały, na pół ślepy, śmieszny żydzina, z wiecznie oplutą brodą, gdy siedzi i zeszywa stary kozuch barani. Okulary, związane szpagatem, wiszą mu na końcu nosa, igła nie trafia w skórę kozucha, lecz w palec, później w pustą przestrzeń, później gdzieś więźnie...

Marcinek pragnąłby roześmiać się serdecznie z kłopotów Zelika, z jego powolnego ścibania, lecz czuje na twarzy łyżę żalu i niewymownej miłości nawet dla żyda z Gawronek... Czytanie Piątka wywiera na niego, nie wiedzieć czemu, tak dziwne wrażenie.

Piątek trafia na dźwięki, łapie je z pośpiechem, wiąże i spaja, jakby uderzeniem pięści, pcha, jakby całym korpusem, do kupy... Słyszać dziwne słowa... Oto malec stęka:

— *Pie... piet... pietu... pietuch...*

Marcinek schyla głowę, zatyka sobie usta i dusi się ze śmiechu, szepcąc:

— *Co za pietuch? Pietuch!...*

Nauczyciel budzi się, jakby ze snu, powtarza ze złością kilkakrotnie ten wyraz ku tajemnej ucieśze całej klasy i znowu wpada w zadumę. Nare-

szcie Piątek skończył lekcję, siadł ciężko na ławce i zaczął wycierać spocone czoło.

Wiechowski otworzył dziennik i wyczytał nazwisko:

— *Warfołomiej Kapciuch.*

Na środek izby wyszedł chłopak w nędznej sukmaneczynie i ojcowskich, widocznie, butach, gdyż posuwał się tak zgrabnie, jakby miał nogi obute w dwie konewki. Mały Bartek Kapciuch, który w szkole awansował na jakiegoś *Warfołomieja*, rozłożył swój elementarz na brzeżku nauczycielskiego stolika, wziął w brudną rękę drewnianą skazówkę, wyczytał całe, *a, be, we, ze, ze...* chlipnął kilka razy nosem i poszedł na miejsce z taką uciechą, że nawet nie czuł pewno ciężaru swych niezmiernych butów. Powołany został znowu jakiś *Wikientij*, wyłożył nauczycielowi swoją umiejętność i znikł w tłumie.

Ta nauka trwała tak długo, że Marcinek o mało się nie zdrzemnął. Wodził sennemi oczyma po ścianach, z których tu i owdzie wapno płatami obleciało, rozpatrywał wiszące obok drzwi wizerunki nosorożców i strusiów, wreszcie trzy grube szlaki błota między drzwiami i pierwszą ławką... Było mu duszno w okropnem powietrzu izby i nudziło go stękanie dzieci „wydających“ przed nauczycielem alfabet rosyjski. Jednak mimo nieuwagi i roztargnienia, jakie go ogarnęło, spostrzegł przecież, że i pan Wiechowski nudzi się porządnie.

Na szczęście w sąsiednim mieszkaniu nauczycielskiem wybiła godzina jedenasta. Profesor przerwał egzaminowanie, zeszedł z katedry i rzekł po polsku:

— Teraz sobie zaśpiewamy jedną śliczną pieśń po rusku, nabożną. Będziecie śpiewać po mnie i tak samo, jak ja. Dziewuchy cienko, chłopaki grubiej. No... a słuchaj przecie jedno z drugim uchem, nie brzuchem!

Przymknął oczy, rozwarł usta i, wybijając takt palcem, jał śpiewać:

Kol stawien nasz Gospod' w Syjonie...

Z nauczycielem śpiewał Michcik, ryczał coś Piątek i usiłowało naśladować melodję kilkoro dzieci, widać muzykalniejszych. Reszta śpiewała także. Gdy jednak melodia była poważna, a w tamtej okolicy lud śpiewa tylko na nutę żywego wywijasa, więc dzieci wpadły zaraz na jedyny uroczysty motyw śpiewu, do którego w kościele ucho przyuczyły, i poczęły niesfornemi głosami wrzeszczeć:

„Święty Boże, święty mocny, święty a nieśmiertelny!...”

Kilkakrotnie pan Wiechowski musiał przerywać i zaczynać od początku, gdyż melodia „Święty Boże“ zaczynała brać górę nad *Kol stawien*. Chodziło tam zapewne nie o nauczanie dzieci śpiewu, lecz o wbicie, wciosanie w ucho pieśni cerkiewnej. Nauczyciel zmuszony był zwyciężyć chłopską melodję, pociągnąć za swoją cały ogół dzieci i wkrzy-

czeń ją w ich pamięć. Śpiewał tedy coraz głośniejszemu Marcinek z najwyższemu zdumieniem patrzył na to całe widowisko. „Grdyka” nauczyciela pracowała teraz forsownie, twarz jego z mocno czerwonej stała się aż brudną. Żył na czole nabrzmiały mu, jak powrózki, czupryna spadała na oczy. Z zamkniętymi powiekami, a usta otwartymi, jak czelusek, wywijając pięścią, jakby bił w kark niewidzialnego przeciwnika, nauczyciel istotnie przekrzykiwał cały chór głosów dziecięcych i ze wszystkiego tchu, w niebogłosey śpiewał pieśń:

Kol stawien nasz Gospod' w Syjonie!...

II

W pierwszych dniach marca pan Wiechowski, powróciwszy z sąsiedniego miasteczka, przywiózł wiadomość, która, rzecz można, zatrzęsała węglami budynku szkolnego. Wszedł do pokoju z omarzonymi wąsami i, nie strzepnawszy nawet śniegu z butów, powiedział:

— Dyrektor przyjeżdża w tym tygodniu!

Głos jego miał ton tak szczególny i przerażający, że wszyscy obecni zadrżeli, nie wyłączając Marcina, Józki i Małgosi, którzy wcale zrozumieć nie mogli, coby właściwie to zdanie mogło znaczyć.

Pani Wiechowska zbladła i poruszyła się na krześle. Jej duże, tłuste wargi drgnęły i ręce bezwładnie na stół opadły.

— Kto ci mówił? — zapytała głosem zdławionym.

— No, Pałyszewski, — ktoś miał mówić? — odrzekł nauczyciel, zdejmując szalik ze szyi.

Od tej chwili zapanowała w całym domu wielka trwoga i milczenie.

Małgosia, nie wiedzieć dlaczego, chodziła na palcach, Józia całymi godzinami płakała rzewnie po kątach, a Marcinek wyczekiwał z przerażeniem i nie bez pewnej ciekawości jakichś zjawisk nadprzyrodzonych.

Profesor po całych prawie dniach trzymał dzieci wiejskie w szkole, uczył je, sposobem zwanym „na sk o r o“, odpowiedzi na przywitanie: — „zdorowo rebiata!“ — wszystkich śpiewu choralnego „Kol sławien“, a Piątka i Wójcika ćwiczył w sztuce wyliczania członków panującej rodziny carskiej. Wpajaniu tych umiejętności towarzyszyło zdwojone rżnięcie dyscypliną.

Marcinek, skulony przy swem oknie, słyszał co chwila płacz wrzaskliwy, błaganie nadaremne i zaraz potem stereotypowe i nieodwołalne:

— Uch, nie będę, nie będę! Póki życia, nie będę! uch, panie, nie będę, nie będę!...

Wieczorami, nieraz do późna, pan Wiechowski przygotowywał dzienniki szkolne i wykazy, stawał stopnie uczniom i w sposób niewymownie kaligraficzny pisał tak zwane *wiedomości*. Oczy mu się zaczerwieniły, wąsy jeszcze bardziej obwisły, policzki wpadły i „grdyka“ była w ciągłym ruchu od nieustannego przełykania śliny. Na wsi rozeszła się głucha pogłoska: naczelnik przyjedzie! Na tle tej wieści wyrastały dziwne domysły, prawie klechdy.

Wszelkie baśnie zносиła do budynku szkol-

nego napowrót Małgosia i szeptała je do ucha Borowiczowi i Józi, budząc w nich trwogę coraz okropniejszą.

W stancji szkolnej zaprowadzono radykalny porządek: zeskrobano rydlem z podłogi uschłe błoto i wyszorowano ją należycie, zmieciono kurze, otrzepano i wytarto popstrzone wizerunki żyraf i słoniów, oraz mapę Rosji i globusik, reprezentujący na górnym gzymsie szafy umiejętności odległe, wysokie i niedostępne.

Z sieni wyjechała do obórki beczka z kapustą, niemniej jak cała zagrodka i umieszczone w niej ciele. Kupa nawozu została okryta gałęziami świerczyny.

Sam pedagog przyniósł z miasteczka dziesięć butelek najlepszego warszawskiego piwa i jedną krajowego portera, pudełko sardynek i cały stos bułek.

Pani Wiechowska upiekła na różnie zajaca i pieczeń wołową, niewymownie kruchą, które to przysmaki miały być podane dyrektorowi na zimno, rozumie się, wraz ze słoikami konfitur, marynowanych rydzyków, korniszonów i t. d. Całe to przyjęcie nauczycielowa zgotowała niemniej pilnie, jak on przysposabiał szkołę. Mogło się być wydawać, że tajemniczy dyrektor przyjeżdża po to, żeby z równą ścisłością zbadać i skontrolować smak zajęczego combra, jak postępy chłopaków wiejskich w „dukaniu“.

W przeddzień fatalnego dnia mieszkanie, kuchnia nauczycielska i izba szkolna były obrazem zupełnego popłochu. Wszyscy biegali z oczyma szeroko rozwartymi i spełniali najzwyczajniejsze czynności w niewymownym naprężaniu nerwów. W nocy prawie nikt nie spał, a od świtu znowu wybuchł w całym domu paroksyzm biegania, szeptania z zaschniętem gardłem i wytrzeszczonemi oczyma. Miał nadejść posłaniec od Pałyszewskiego, nauczyciela szkoły w Dębicach, (wsi o trzy mile odległej), u którego wizyta dyrektorska pierwszej, niż w Owczarach, wypaść miała. Zanimby dyrektor przejechał trzy mile gościńcem, szybkobiegacz, zdążając wprost przez pola, miał wcześniej o jaką godzinę stanąć w szkole Wiechowskiego. Już od samego świtu nauczyciel wyglądał co moment oknem, przy którym zazwyczaj uczył się Marcinek. Pokój mieszkalny był uporządkowany, łóżka nakryte białymi kapami. W kącie, za jednym z nich, stały butelki z piwem, w szafie gotowe pieczyście i całe przyjęcie. Gdy dzieci zaczęły ściągać się do szkoły i nauczyciel zmuszony był opuścić punkt obserwacyjny, wtedy zalecił Marcinkowi, ażeby on usiadł na tem miejscu i nie spuszczał oka z równiny. Mały Borowicz sumiennie spełnił ten obowiązek. Twarz przysunął do samego szkła, tarł je co chwila, gdy zachodziło parą oddechu, i wytrzeszczał tak oczy, że mu się aż napełniały łzami. Około godziny dziewiątej ukazał się na widnokręgu punk-

cik ruchomy. Obserwator przez czas długi śledził go wzrokiem z gwałtownem biciem serca. Nareszcie, gdy mógł już dojrzeć chłopca w żółtym kożuchu, szerokimi krokami idącego po grzbietach zagonów, wstał z krzesła. Była to jego chwila. Czuł się panem położenia, trzymając w ręku wiadomość tak stanowczą. Wolnym krokiem zbliżył się do kuchni i w sposób lapidarny, podniesionym głosem, zawołał:

— Małgoska, „rypaj“ powiedzieć panu, że... posłaniec. On tam już będzie wiedział, co to znaczy.

Małgosia wiedziała również, co w takich wypadkach czynić należy. Rzuciła się do sieni, otworzyła drzwi do izby szkolnej i z okropnym wrzaskiem dała znać:

— Panie, posłaniec!

Wiechowski wszedł natychmiast do swego mieszkania i zaczął wdziewać na się odświętne ubranie: szerokie spodnie czarne, kamaszki na wysokich obcasikach i z wystrzępionemi gumami, bardzo głęboko wyciętą kamizelkę i za duży żakiet, wszystko nabyte przed laty, czasu bytności w grodzie gubernjalnym, u pewnego składnika „trochę przechodzowanej“ tandety.

Marcinek wsunął się do pokoju i lęklwym głosem rzekł do nauczyciela:

— O, proszę pana, tam idzie...

— Bardzo dobrze, idź teraz, mój kochany,

i schowaj się w kuchni razem z Józją. Niech ręka Boska broni, żeby was dyrektor zobaczył!

Wychodząc z pokoju, Marcinek obejrzał się na „belfra“, który w owej chwili stał przed jednym z obrazów religijnych. Twarz nauczyciela była biała, jak papier. Głowę miał schyloną, oczy przymknięte i szeptał półgłosem:

— Panie Jezu Chryste, dopomóż-że mi też... Panie Jezu miłosierny... Zbawicielu... Zbawicielu!

W owej chwili wbiegła do izby pani Marcjanna i, potrącając Borowicza, wołała:

— Idzie! idzie!

Pan Wiechowski wyszedł do szkoły, a tymczasem w „stancji“ czyniono przygotowania ostateczne: okryto stół serwetą, ustawiono samowar i wycierano talerze, szklanki, noże i powyłamywane widelce.

Marcinek wynalazł już był dla siebie i towarzyszy bezpieczne schronienie za drzwiami między ścianą i ogromną szafarnią, która zajmowała połowę kuchenki. Wtuleni w najciemniejszy kąt, oddawali się obydwójce z całą gorliwością, co najmniej przez jakie półtorej godziny, misji ukrycia swych osób. Nakazywali sobie wzajem nieustannie milczenie, przysłuchiwali się z biciem serc każdemu szelestowi i tylko kiedy niekiedy ważyli się półszepcem wypowiadać jakieś niewyraźne sylaby.

Dopiero po upływie dwu godzin wbiegła raptem ze dworu nauczycielka, a za nią Małgosia.

Ta ostatnia w okropnej trwodze powtarzała raz za razem:

— Jedzie naczelnik! Jedzie naczelnik! W skórzanej budzie jedzie! Oj, będzie tu teraz dopiero będzie, mój Jezus kochany, drogi, oj, będzie tu, będzie!

Ciekawość przemogła wszelkie obawy: Józia i Marcin wyszli ze swej kryjówki, zbliżyli się na palcach do drzwi, prowadzących do sieni, i zaczęli kolejno wyglądać przez szczeliny i dziurę od klucza. Ujrzeni tył budy karecianej na saniach, ogromne futro pana, wchodzącego do szkoły, i plecy Wiechowskiego, które się nieustannie schylały.

Po chwili drzwi do izby szkolnej zamknięto. Wtedy z uczuciem gorzkiego rozczarowania powrócili do swej kryjówki za szafarnią i drżeli tam ze strachu.

Tymczasem do stancji szkolnej wkroczył kierownik dykcji naukowej, obejmującej trzy gubernie, pan Piotr Nikołajewicz Jaczmieniew, i przede wszystkim zrzucił z ramion olbrzymie futro. Spostrzegłszy, że w tej izbie jest aż nadto ciepło, zdjął także palto i został w mundurze granatowym ze srebrnymi guzikami.

Był to wysoki i przygarbiony nieco człowiek, lat czterdziestu paru, o twarzy dużej, nieco rozlanej i obwisłej, którą otaczał rzadki zarost czarny. Z ust dyrektora Jaczmieniewa prawie nie schodził

uśmiech łagodny i dobrotliwy. Zamglone jego oczy spoglądały przyjacielsko i życzliwie.

— Witam pana, panie Wiechowski,—rzekł po rosyjsku, przyglądając ręką rzadkie włosy na skroniach.—Co słyszać? Jak się panu powodzi?

— Wszystko jak najlepiej, jaśnie wielmożny panie... — odpowiedział Wiechowski, uczuwając w sercu pewien promyczek otuchy na widok łaskowości dyrektora.

— Ależ zima u was tęga! Dużo się człowiek nakolał po świętej Rusi, a takiego zimna w marcu rzadko doświadczał. Ja w karecie, w futrze, w palcie, a i tak czuję ten, wiesz pan, dreszczyk...

— A możeby... — szepnął Wiechowski, mając dreszczyk, stokroć bardziej przejmujący, aż w piętach.

Dyrektor udał, że wcale nie słyszy tego, co powiedział Wiechowski. Odwrócił się do dzieci, które siedziały nieruchomo, ze zdumienia wytrzeszczając oczy i w przeważnej większości szeroko rozwarłszy usta:

— Jak się macie dziatki? — rzekł łaskawie — witam was.

Stojąc za plecami Jaczmieniewa, Wiechowski dawał znaki oczami, rękami i całym korpusem, ale na próżno. Nikt nie odpowiadał na powitanie zwierzchnika. Dopiero po chwili Michcik, nagłony rozpaczliwymi spojrzeniami i gestami swego mistrza, zerwał się i zawołał:

— *Zdrowia żelajem Waszemu Wysokorodiu!*

Dyrektor mlasnął ustami i wzniosł brwi tak zagadkowo, że Wiechowskiemu mróz przedefilował po grzbiecie.

— Panie nauczycielu, bądź pan łaskaw wywołać któregoś ze swych uczniów,—rzekł wizytator po chwili,—chciałbym usłyszeć, jak też czytają.

— Może jaśnie wielmożny pan sam raczy rozkazać któremu z nich,—rzekł uprzejmie Wiechowski, podając dziennik, a jednocześnie całą duszą błagając Boga, ażeby jaśnie wielmożnemu panu nie strzelił czasami do głowy pomysł zgodzenia się na tę propozycję. Jaczmieniew z grzecznym uśmiechem odsunął dziennik, mówiąc:

— Nie, nie... proszę bardzo.

Wiechowski udał przez chwilę niby wahanie się, kogoby wyrwać, aż wreszcie wskazał palcem Michcika, którego umyślnie posadził w czwartej ławie.

Dyrektor tymczasem wstąpił na katedrę, usiadł i, podparłszy pięścią brodę, patrzył uważnie z pod przymkniętych powiek na ten tłum dzieci.

Michcik wstał, z dystynkcją ujął Paulsona trzema „palicami“ i dał koncert czytania. Przestrach, jak płyta marmurowa, usunął się na chwilę z piersi Wiechowskiego. Michcik czytał świetnie, płynnie, głośno. Dyrektor przysposobił sobie dłonią ucho do łatwiejszego chwytania dźwięków, z zadowoleniem reparaował akcenty i kiwał głową potakująco.

— Czy możesz mi opowiedzieć „swoimi słowami“ to, co przeczytałeś?—zapytał po chwili.

Chłopiec złożył książkę, odsunął ją na znak, że będzie czerpał opowiadanie tylko z pamięci i zaczął wyłuszczać po rosyjsku treść bajki odczytanej.

Jaczmieniew ciągle się uśmiechał. W najciekawszym punkcie opowieści podniósł w górę rękę z gestem charakterystycznym, jakiego używa nauczyciel, pewny, że mu jego miły uczeń trafnie odpowie,—rzucił szybko zapytanie:

— Siedm razy dziewięć?

— *Szest'diesiat tri!*—z tryumfem zawołał Michcik.

— Wyśmienicie, wyśmienicie, — rzekł głośno dyrektor, a schylając się do Wiechowskiego, szepnął półgłosem: — Szanowny panie nauczycielu, temu chłopcu w końcu roku... pojmuje pan?... najpierwszą...

Pedagog schylił głowę i rozdał nieco nozdrza na znak nie tylko zgody, ale porozumienia się co do joty i przypominał w owej chwili kelnera z wykwiintnej restauracji, który zgaduje życzenia gościa szczodrobliwego. Był już prawie pewien sytuacji, i, jak czyni zazwyczaj człowiek szczęśliwy, zaczął kusić fortunę.

— Może jaśnie wielmożny pan zechce jeszcze Michcika... coś z arytmetyki, z gramatyki?

— Czy tak? Bardzo, bardzo jestem... Ale trzeba już temu dać spokój. Proszę, wyrwij pan kogoś jeszcze...

— Piątek! — zawołał nauczyciel nieco zbity z tropu.

— Jeść!—wrzasnął Piątek, pewny, że to chodzi o tak zwaną *perekliczkę*.

— Czytaj! — zgrzytnął na niego Wiechowski.

Czytanie Piątka mniej już zachwyciło dyrektora. Nie poprawiał go wcale, tylko uśmiechał się napół żartobliwie, napół ironicznie. Zanim chłopiec przemordował trzy wiersze, rzekł do nauczyciela:

— Proszę jeszcze kogoś wywołać...

W czaszce nauczyciela słowa powyższe sprawiły szum gwałtowny, który rozwiął wszystkie jego myśli, jak wicher plewy. Kilku jeszcze chłopców umiało sylabizować i to po parę liter zaledwie. Na chybił trafił jednak Wiechowski zawołał:

— Gulka *Matwiej!*

Gulka powstał, wziął wskazówkę w rękę i ci-chutko wyszeptał kilka liter moskiewskich. Gdy dyrektor przynaglać go zaczął do głośniejszego mówienia, chłopak zląkł się, usiadł na miejscu, a koniec końców wlaź pod ławę. Wówczas Jaczmieniew zstąpił z katedry i, wszedłszy między ławki, po kolei sam egzaminował dzieci. Trwało to bardzo długo. Nagle Wiechowski, miotający się w dreszczach przerażenia, usłyszał, że dyrektor mówi najczystsą polszczyzną.

— No, a kto z was, dzieci, umie czytać po polsku, no, kto umie?

Kilka głosów odezwało się w rozmaitych kątach izby szkolnej.

— Zobaczmy, zaraz zobaczymy... Czytaj! — rozkazał pierwszej osobie z brzegu.

Dziewczyna, owinięta w zapaski, wydobyla „Drugą książeczkę Promyka“ i zaczęła dosyć płynnie czytać.

— A kto ciebie nauczył czytać po polsku? — zagadnął ją dyrektor.

— „Stryjna“ mnie nauczyli... — szepnęła.

— „Stryjna“, co to jest „stryjna“, panie nauczycielu? — zwrócił się do Wiechowskiego.

— A ciebie kto nauczył czytać po polsku? — spytał małego chłopca, nie czekając na odpowiedź Wiechowskiego.

— Pani nauczycielowa pokazała noma z Kaśką „durkowane“...

— Pani nauczycielowa? *Wot kak!* — szepnęła, uśmiechając się jadownicie.

Wysłuchawszy jeszcze kilku chłopców i powziawszy wiadomość, że im litery nierosyjskie wskazywał sam nauczyciel, dyrektor cofnął się z pomiędzy ławek i rzekł do Wiechowskiego.

— Czy ksiądz jaki przychodzi do szkoły?

— Nie. U nas we wsi niema kościoła; dopiero w miasteczku Parchatkowicach, o dziesięć wiorst stąd, jest kościół i dwu księży.

— Tak, tak... No, panie Wiechowski, — rzekł zniechęca Jaczmieniem, — bardzo, bardzo jest źle. Na takie stado dzieci — dwu czyta, a pozostali nic nie umieją. Źle mówię zresztą, bo dosyć znaczna ilość czyta po polsku, a w stosunku do czytających ruskie, to ilość wprost kolosalna. I mnie to nawet nie dziwi. Pan, jako Polak i katolik, prowadzisz polską propagandę.

— Propagandę... polską? — jęknął Wiechowski, wcale nie będąc w stanie zrozumieć, co by mogły oznaczać te dwa wyrazy, ale dobrze pojmując to jedno, że kryje się w nich słowo: dymisja.

— Tak... polską propagandę! — zawołał Jaczmieniew krzykliwie. To może się panu i innym uśmiechać, ale nie takie jest, jak wielokroć pisałem w cyrkularzach, życzenie władzy. Pan jesteś tutaj urzędnikiem i źle pan spełniasz swój urząd. Mało dzieci czyta... Nie widzę rezultatów.

— Michcik, — szepnął Wiechowski.

— Co Michcik? Byłeś pan kiedy w teatrze, widziałeś pan głównego tenora i statystów? Otóż cała szkoła są to statysci, a ci dwaj — to główni śpiewacy, okazy... Stara to sztuczka, na której ja się znam nieźle. Powtarza się to przecie w każdej niemal szkole i jest śmiertelnie nudne... Ja nie jestem z pana zadowolony, panie Wiechowski...

W nauczycielu zatrzęsło się serce i wnętrności. Nie widział już wcale osoby dyrektora i, jak dziecko, zwracał się ku szczelinie we drzwiach,

prowadzących do jego mieszkania, przez którą podpatrywała i podsłuchiwała bieg wizyty pani Marcjanna. W mózgu jego biegały jeszcze niektóre myśli, jak strzykania bólu. Jedną z nich, ostatni środek ratunku, powiedział do Jaczmieniewa:

— Może jaśnie wielmożny pan dyrektor raczy wejść do mnie...

— Nie, ja nie mam czasu—i żegnam...—rzekł naczelnik szorstko, wdziewając palto z pośpiechem.

— Książki, wykazy prowadzę starannie...—rzekł jeszcze Wiechowski.

— Książki! — zawołał dyrektor szyderczo. — Sądziś pan tedy, że wzamian za pensję, mieszkanie i stanowisko nie trzeba nawet prowadzić ksiąg, a jeżeli się pisze w nich cokolwiek, to jest to już tytuł do nagrody? Cóż zresztą... książki? Ja mam przecie pańskie wykazy. Figurują tam cyfry czytających, których ja tu wcale nie znajduję.

Ostatnie słowa wypowiedział, zarzucając futro na ramiona.

— Żegnam was, dzieci, uczcie się pilnie, starajcie się!...—rzekł do zebranych uczniów. Potem, wychodząc, odezwał się do nauczyciela:

— Moje uszanowanie...

Wiechowski nie był w stanie ani wyprowadzić go, ani wyjść za nim. Stał, oparty o stolik katedry, i patrzył na drzwi wchodowe. Mróz śmiertelny obejmował jego ciało i wstrzymywał krew w żyłach.

— Wszystko się skończyło...—myślał pan Ferdynand,—masz teraz... Cóż tu robić, gdzieś się tu wynieść, z czegoż tu żyć? Utrzymam się to z pisanja prób do sądu? Przecież tam już to samo czterech robi...

Skinął na dzieci, że mogą już iść sobie, otworzył drzwi do swego mieszkania i obejrzał tę izbę jednym spojrzeniem. Nagle rozpacz i żal w potoku łez buchnęły z jego piersi. Przez długi czas szlochał głośno, jak dziecko, leżąc piersiami na stole. Gdy podniósł oczy, spostrzegł w kącie szereg butelek z piwem. Skoczył zaraz, chwycił pierwszą z brzegu, wyrwał korek i prawie jednym tchem wypił całą butelkę. Rzucił w kąt pierwszą i wysączył drugą, potem trzecią i czwartą. Pił, nie przestając głośno płakać, i już piątą butelkę odkorkowywał, gdy wtem ktoś mocno zastukał do drzwi. Wiechowski z gniewem otworzył je szeroko i ujrzał przed sobą... znowu Jaczmieniewa w futrze i czapce, który uśmiechał się do niego i wyciągał obie ręce.

— Ot pomyłka,—mówił—ot głupstwo! Jak łatwo skrzywdzić uczciwego człowieka, ach jak łatwo! Wiechowski! ja będę o panu pamiętał i podwyższę pensję. Trzeba tylko, żeby więcej czytało... usilności, rozumiesz pan, więcej... A co do śpiewów, to bardzo rad jestem, bardzo, bardzo... I nie zapomnę. Pensję już w następnym miesiącu dostaniesz pan lepszą... No, mnie się spieszy, więc do

widzenia. Proszę nie gniewać się za nieuważne słowa... Usilności tylko, usilności...

Ścisnął przyjaźnie rękę Wiechowskiego i wyszedł z izby. Nauczyciel postępował za nim krok w krok, najpewniejszy, że to, co widzi, słyszy i czego doświadcza, jest snem raptownym po wypiciu tyłu butelek Machlejda. Przede drzwiami stała gromada bab, więc je rozsunął i zrobił miejsce dla dyrektora. Usadowił go w karecie, otulił mu nogi pledem, kłaniał się kilkanaście razy, następnie gdy karetą znikła na skrócie drogi, powrócił do siebie i wciąż trwał w złudzeniu, że śpi coraz mocniej. Z tego obłądu wyrwała go dopiero pani Marcjanna. Wpadła do izby, jak kula armatnia i, podrygując, rzuciła się mężowi na szyję.

— A to szelmowskie chłopstwo! A to nam usługę wyświadczyło! — krzyczała, zanosząc się od śmiechu.

— Jaką usługę, co ty pleciesz?

— To ty nic nie wiesz? Ano, przecie baby skargę na ciebie zaniósł.

— Masz ci... jakie baby?

— Gulonka, Pulutowa, Piątkówka, stara Dulębina, Zalesiaczka, no, wszystkie baby...

— Gdzie, jak?

— Ano tak. Jak dyrektor przyjechał, zeszły się i czekały pode drzwiami całą wsią. Jak wyszedł z sieni, obstały go, skłoniły się i Zalesiaczka wyleciała pierwsza z głową...

— Czegóż ona chciała?

— No, stul głowę, to ci rozpowiem po kolei, jak i co było. Powiedziała tak... Ażem ścierpła, jak zaczęła mleć tym pyskiem! Powiedziała tak: Dopraszam się łaski, wielmożny naczelniku, nie chcemy tego nauczyciela, co tu siedzi u nas we wsi. On jej na to: — Nie chcecie tego nauczyciela, a to dlaczego? — Ona wtedy: Nie chcemy tego pana Wiechowskiego, bo źle uczy. — Jak to źle uczy? co wam się nie podoba? — Nam się, — ona powiada, — nic nie podoba, co ta on uczy. Ij, co ta długo gadać, — wtrąciła się zaraz stara Dulębina, — wielmożny naczelniku, nie chcemy tego nauczyciela, bo nam uczy dzieci jakichsi śpiewaniów *po rusku*, na książce tylko *tosamo po rusku*; cóż to za nauka taka? Dzieciska *bez* trzy zimy wałęsają się do tej ta szkoły i nie umie się żadne modlić na książce, a jak które umie, to się nie we szkole nauczyło, tylko jedno od drugiego, choć i na błoni za bydlęm. Nie wstyd to? Katolickiego śpiewania to ich nie ponaucza tylko jakiesi ta... a nawet głową nie można wymówić... I jak dzieci, — gadała, — zaczęły we szkole śpiewać nabożnie, to ten nic, tylko się drze sam, a znowu mądrała Michcik za nim i nie dać dzieciskom Pana Boga pochwalić. Do czegoż to to podobne? A tu płąć, dawaj na niego osypkę! — Dyrektor się spytał: Często też nauczyciel tak po rusku śpiewa z dziećmi? — Co dzień śpiewa! — wrzasnęły wszystkie razem. — To się przecie łatwo

przekonać. Choćby i jego samego się spytać, przecie się nie może w żywe oczy zaprzeć! Nieraz to nawet ani jednemu na książce nie pokaże, tylko od samego rana wyśpiewują...—trajkotała Piątka. — Tak wy niedowolne panem Wiechowskim,— spytał się ich dyrektor, — dlatego, że on uczy po rusku? — A i mamy być „dowolne“! Dopraszamy się, wielmożny naczelniku, żeby go zabrać, a innego dać, coby po polsku uczył, a nie, to... nam ta szkoła niepotrzebna. Dzieciska się ta same nauczą, jak które chętliwe, i przypowiaстки se przeróżne wyczytują z książek, a ten ogłupia do reszty i pokój. Albo mu zakazać tych śpiewów...—Dobrze, dobrze—rzekł dyrektor i poszedł tu do ciebie.

— Chi-cha! — zaśmiał się pan Wiechowski.— Tak, to mię oskarżyły! A niechże im też Pan Jezus da zdrowie!.. Samem nawet zapomniał dyrektrowi powiedzieć o tem śpiewaniu.

PACHCIARSKA KOBYŁA

Sala klasy wstępnej mieściła się na dole gmachu gimnazjalnego. Prowadziły do niej drzwi z korytarza, dobrze Marcinkowi znanego od czasu egzaminów. Oprócz wstępnej znajdowały się jeszcze przy tym samym korytarzu dwa równoległe oddziały klasy pierwszej, dwa drugiej, oraz pojedyncze sale trzeciej i czwartej. Klasy wyższe, — aż do ósmej, — mieściły się na piętrze. Rzecz prosta, że dół nieskończenie weselszy był od piętra. Całe to piętro mieszkańcy dołu mieli w głębokiej pogardzie, a przezywali je, nie wiedzieć dla czego, cukiernią. Na dolnym korytarzu pracowało usilnie kilku pomocników gospodarzy klasowych i zwyczajnych pedagogów, pilnujących porządku, kiedy na górze nudził się jeden tylko; na dole zazwyczaj pewna ilość frantów za zbyt wesoły nastrój ducha odsiadywała popołudniową kozę, kiedy coś podobnego na górze uchodziłoby za skandal. Nigdy też cukiernia nie witała tak piekielnym hałasem żadnej pauzy, jak to stale czynił korytarz. Skoro tylko zadrżał w powietrzu cienki a przenikliwy krzyk dzwonka, targanego wprawną ręką

„pana Pazura“, wybuchał tam w głębokiej ciszy istny huragan. Przez każde odemknięte drzwi wyskakiwał nowy hufiec i wnosił do kolosalnego chóru daninę swego wrzasku, płaczu i śmiechu. W mgnieniu oka korytarz napelniał się kurzem, a cały ten wielki dom drżał, zdawało się, od fundamentów do szczytu, jakby wewnątrz niego grasała trąba powietrzna.

Stary pedel, patrząc ze swego posterunku przy końcu dolnego korytarza, widział w nikłym pyle te setki głów ostrzyżonych, zawsze mnóstwo wzniesionych pięści, a nieraz tu i owdzie zadarte nad głowami—nogi. Lubił ten widok, te walne faccje, których żadna mowa nie wyliczy i żadne pióro nie opisze, te szczytne dowcipy i błazeństwa, pobudzające go nieraz do takiego śmiechu, że z miłą urzędowo posępną i zagryzionymi wargami starowina trząsł się na swym stolku, jak galareta z cielejących nówek.

W jesieni, w pogodne przedpołudnia, gdy jeszcze świetlne promienie słońca wpadały do korytarza, stary pedel miał chwilę weselości prawie dziecięcej.

— Nuże! — wołał na drapichróstów, znanych mu bliżej,—jazda, poka czas. Za *sześć* sekund *zwo-nok!* Stawajta, chłopcy, na łbach — nu! *Prawoje ple-czo wpierod — marsz!*

Gdy znowu rozległ się dzwonek, hałas wielkimi falami szybko i raptownie opadał, zamieniał

się w gwar, w szmer przyciszonych rozmów, w szmer przedziwny, którego brzmienie człowiek do starości pamięta... Olbrzymie interesy, kolosalne sprawy, marzenia niespokojne, jak woda górskiego potoku, natężone ambicje i gwałtowne, niby grom, boleści serc małych wyrażały się w szeptach urwanych a tworzących wzruszoną mowę szkoły. Przed każdą klasą czatowała niewielka postać, ukryta za odrzwiami w ten sposób, że na zewnątrz widzialny był tylko kontur jej twarzy i oko, zwrócone w kierunku kancelarji. Gdy drzwi pokoju nauczycielskiego uchyliły się, jedna z postaci zniknęła i nad jakąś salą rozciągało się nieme milczenie.

W czasie półgodzinnej, czyli tak zwanej dużej przemiany, prawie cały dolny korytarz wypadał na dziedziniec i w mgnieniu oka rozpoczynał wojnę.

Był to właśnie czas kasztanów. Podwórze było wielkie, nierówne, obfitujące w pewien rodzaj łańcuchów górskich, formacji dawno śmietnikowej, — w doły po wapnie i gruz zwałonego muru.

Całe to rozległe podwórze było otoczone wysokimi i grubymi murami, za którymi z jednej strony był park publiczny, z drugiej pusta uliczka, a z trzeciej ogrody księżę.

Z parku i ogrodu wznosiły się i zwisały nad gimnazjalnym dziedzińcem stare drzewa kasztanowe, rodzące niezliczoną ilość owoców, kapitałnie

nadających się do podbijania oczu i wywabiania na czaszkach guzów, wielkości indyczego jaja.

Przebiegła klasa trzecia prawie zawsze potrafiła zaraz po dzwonku ować „Himalajami” i przeciągnąć na swą stronę jeden z oddziałów klasy drugiej, wskutek czego cały ogół pierwszaków, i wstępniaków, aczkolwiek osłonięty mężnemi pierściami oddziału klasy drugiej, wiernego sprawie tłumy,—zajmował pozycję nad wszelki wyraz niedogodną w szczerem polu, pod murem.

Już gdy pierwsze kasztany zaczynały przerażliwie gwizdać, odbijać się od muru, dawać piekielne „kapry”,—wstępniactwo zazwyczaj podawało tył w sposób obrzydliwy, szeregi pierwszoklasistów przerzedzały się do takiego stopnia, że „Grecy” zaczynali wylazić z za „Himalajów” i z furją nacierać.

Wtedy wywiązywała się rzetelna batalja. Ogłuszające „hura!” rozlegało się ze stron obu, kasztany cięły, jak grad najsroższy, ranni zmiatali z głośnym bekiem, wodzowie darli się w niebogłosy, zagrzewając do boju szeregowców, zwykle plecami do nieprzyjaciela zwróconych... Biada pomocnikowi gospodarzy klas, wysłanemu przez inspektora dla zażegnania awantury, któryby wtedy zbliżył się do placu boju! Zarówno z obozu „Greków”, jak „Persów”, odzywały się niezwłocznie głosy, dziko pozmieniane, a zachęcające do czynów wprost zbrodniczych.

— Grajcarek. — wołano po polsku, — celujemy w twój cylinder. Chodźże bliżej, kłopotuch!...

I rzeczywiście, — cylinder, powalony licznemi naraz ciosami, spadał z głowy pana Gałuszeńskiego.

Jeżeli zjawiał się pan Sieczenski, wzywano go również po polsku:

— Chodź, chodź, Perispomenon, zbliż się, ananasie z pestką, wyjmij notesik i zapisuj! Panowie, celnie w notesik!

„Perispomenon” cofał się zaraz do sieni i, ukryty za drzwiami, obserwował przez szparę dalszy bieg wypadków.

Pan Majewski nie ukazywał się w takich razach na podwórzu z zasady, gdyż nie mógł znieść przezwisk, wykrzykiwanych tak głośno i tak bezkarnie.

Tym sposobem bitwa, której władza nie była w stanie przerwać, trwała zazwyczaj w ciągu całej „dużej” pauzy. Dopiero na odgłos dzwonka zwycięzcy i zwyciężeni wracali do klasy, okryci chlubnemi sińcami, na dwie ostatnie godziny lekcyj.

Marcinek był dzielny „Persem” i dostał pewnego razu taki postrzał w okolicy piątego żebra, że blisko przez dwa tygodnie nie mógł leżeć na prawym boku.

Po jednej z takich kampanij wrócił do klasy zmęczony i nie przypominał sobie nawet dokładnie, jaka lekcja ma nastąpić. Siedział w czwartej

ławie pod oknem, przy Gumowiczu, dużym chłopcu, z włosami tak czarnymi, że miały odcień fioletowy.

Ten Gumowicz był synem akuszerki, kobiety bardzo biednej, ogromnie energicznej i krzykliwej. Mama Gumowiczowa zjawiała się czasami na dolnym korytarzu, rozmawiała z księdzem Wargulskim i panem Majewskim, wypytywała się o stopnie i sprawowanie swego Romcia, który już drugi rok siedział w klasie wstępnej, a nieraz wobec wszystkiego tłumu groziła mu pięścią. Jak wieść głosiła, po każdej takiej bytności pani Gumowiczowej w gmachu szkolnym. Romcio brał w domu ciężkie „łanie“, czyli „wały“.

Pan Majewski wzywał go często do katedry, wytykał mu jego wady, próżniactwo, niedołęstwo, osłostwo, wspominał o biedzie i procederze starej matki, o niskim jego pochodzeniu i wystawiał go na urągowisko. Wszyscy w klasie, nie wyłączając nauczyciela, chichotali, gdy pucułowały Romcio stawał przy tablicy. Miał on zawsze kajety w porządku, wiedział najlepiej, jaki rozdział przeznaczony jest do opowiadania i umiał doskonale „zadane“, ale czytał tak gdaczącym głosem, tak paradnie syczał, dmuchał i jęczał, namysławiając się przy dodawaniu, że koniec końców dostawał zazwyczaj dwójkę.

Tego dnia pan Majewski „wyrwał“ Gumowicza do arytmetyki i podyktował mu dużą liczbę. „Czarny“ drżał na całym ciele. Kilkakrotnie upuścił kredę, widocznie trudno mu było zebrać myśli,

gdyż pisał zupełnie inne cyfry. Po klasie przelatywał śmiech tłumiony. Zdolni chłopcy z pierwszych ławek, umiejący zawsze z pochlebstwem patrzeć w oczy nauczyciela i zgadywać jego intencję, umyślnie zatykali sobie usta, żeby głośno nie parsknąć. Pan Majewski jeszcze dwa razy powtórzył długą liczbę, a gdy Gumowicz znowu napisał co innego, kazał mu iść na miejsce.

— Ty, Gumowicz, akurat tyle umiesz z arytmetyki, co pachciarska kobyła... — rzucił mu na pożegnanie.

Te dwa ostatnie wyrazy p. Majewski wygłosił w brzmieniu polskim. Sprawilo to szalony efekt. Malcy wszczęli okropny krzyk radości.

— Pachciarska kobyła. Oho-ho... — Gumowicz — pachciarska kobyła!...

Gumowicz usiadł na miejscu i po swojemu zwiesił głowę. Gdy się wesołość ogólna z rozkazu nauczyciela uciszyła nieco, — spojrzał na Marcinka, bawiącego się nim również doskonale, i zapytał go nieśmiało, cichym szeptem:

— Co mi postawił?

Borowicz wysunął głowę i śledził uważnym okiem ruch dłoni nauczyciela. Dostrzegłszy znamienne pochylenie pióra, szepnął z okrucieństwem:

— Pałę!

Mały Gumowicz skurczył się dziwnie i tak został bez ruchu, zapatrzony w kajet z arytmetyką. Marcinek przyglądał mu się i pokazywał go są-

siadom. Po chwili, na długiej czarnej rzęsie „Pachciarskiej kobyły“ ukazała się jedna wielka łza, sygnał bezdennej rozpacz. Borowicz przestał się śmiać i ze zmarszczonem czołem wciąż patrzył na tę łzę błyszczącą. Pochłonęła ona jego uwagę, pamięć i jakby całą duszę. Pierwsze w życiu współczucie drgnęło w jego piersi.

PRZYGODA Z PISTOLETEM

Na wiosnę, kiedy drzewa w starym parku za kanałem okryły się liśćmi, pensjonarze pani Przepiórkowskiej udawali się tam w sekrecie przed korepetytorem i, ukryci w gęstwinie, strzelali z pistoletu.

Ta stara broń, prawdopodobnie zabytek archeologiczny, była przywieziona z domu przez dardaneckiego Szwarca. Posiadała niezmierny kurek, lufę cokolwiek pękniętą i starą, rzeźbioną kolbę.

Prochu dostawali za grube pieniądze bracia Daleszowscy, podówczas już drugoletni czwartoklasiści od jakiegoś feldwebela z rezerwy, konsystującej w mieście; kapiszony i śrut kupowano z funduszów składkowych.

Każdy z Daleszowskich strzelał codziennie po raz, Szwarz i Borowicz na przemiany. Strzały te były głuche, tępo rozlegały się między murami i nikt na nie uwagi nie zwracał. Stowarzyszeni dali sobie zresztą najuroczystsze słowo honoru, że za nic na świecie sekretu przed nikim nie zdradzą.

Pistolet i materiały wybuchowe ukrywano w pniu spróchniałej wierzby.

Pewnej niedzieli wszyscy czterej myśliwi zebraли się w parku po nabożeństwie.

Starszy Daleszowski ostentacyjnie, z zachowaniem przyjętego rytuału, nabijał pistolet (Szwarc trzymał worek ze śrutem, Borowicz kapiszony, a młodszy Daleszowski pakuły do przybicia naboju), kiedy za parkanem, oddzielającym to miejsce od sąsiednich ogrodów, dał się słyszeć pewien szelest.

Szwarc spojrział w tę stronę i zobaczył w szparze między deskami parkanu dwie żrenice. Natychmiast dał znak towarzyszom...

Zanim jednak Daleszowski zrozumiał, o co chodzi, nad parkanem ukazała się czapka z daszkiem i gwiazdą, twarz z wąsami, granatowy mundur, — mignęły szlify, brzękły ostrogi, i ogromny żandarm jednym susem płot przesadził. Borowicz natychmiast rzucił w krzaki kapiszony, Szwarc śrut, a Daleszowski bez namysłu „dali nogę“.

Żandarm pochwycił zgłupiałych trzecioklasistów i odprowadził ich do gimnazjum.

Nazajutrz w pewnych sferach miasta krążyła pogłoska, że na przedmieściu złapano uzbrojony oddział konspiratorów, w innych twierdzono, że owi konspiratorowie są to socjaliści, czyli komuniści, — jeszcze w innych sferach utrzymywano na „pe“, że schwytani zostali czterej zbójcy, oblado-

wani rewolwerami, dynamitem oraz kindzałami — i wymieniano nazwiska: Łukasik, Banasik, Wątroba i Józef Zapieralski.

Tymczasem Marcinek Borowicz i jego towarzyszy niedoli, Szwarc, po nocy spędzonej w klasie, którą zamieniono na więzienie, gotowali się do rzeczy najstraszniejszych i jakby ostatecznych.

Marcinek przez całą noc ani oka nie zmrużył. Siedział w ostatniej ławie i gubił się w bezdennej rozpaczy. Myśli jego porywał i unosił jakiś wicher straszliwy, a trwoga przywalała go, jak młyński kamień drobne ziarenko. Raz za razem rzucał oczyma na zamknięte drzwi, wyczekując lada chwili czyjegoś wejścia. Kto ma wejść, co z nim dalej uczynia, — nie wiedział wcale.

Przychodziły mu na myśl maksymy „starej Przepiórzycy“, tajemnicze wzmianki o jakichś Sybirach, cytadelach, szubienicach — i dreszcz zimny krew mu w żyłach ścinał. Stawał mu w oczach wczorajszy żandarm, to znowu ojciec, załamujący ręce nad synem tak wyrodnym, dyrektor, wypędzający go z gimnazjum, i stary Leim z zimnym uśmiechem.

Żał głęboki i nieznany, jak wewnątrz nocy, ogarniał jego serce, przejmowała jego skrusza tak zupełna, że kamień byłby nią wzruszony. Czasami, wśród okropnych przewidywań, migła się prędko sekunda nadziei. Wtedy Borowicz zaprzysięgał w duszy śluby i, patrząc na kawałeczek błękitu,

widzialny za murem sąsiedniej kamienicy, szukał ratunku u Boga.

Szwarc wyspał się doskonale na gołej ławie, zjadł wszystek chleb, przyniesiony przez pana Pazura dla obudwu więźniów, a od samego rana siedział na wierzchu pierwszej ławki i walił obcasami w jej boczną deskę. Mniej więcej około godziny siódmej spojrzął na kolegę i powiedział:

— Ty, jak ci się zdaje, będą nas rznął na gólkę, czy przez spodnie?

— Daj mi święty spokój!... — rzekł Borowicz.

— No, jak ja strzelę w zęby Pazura, to jemu się zaraz odechce. Akurat mu się dam... Jeszcze czego... na gólkę...

— Cicho bądź, bo usłyszają i dopierol...

— Kto usłysz, kapcanie? A zresztą—to niech słyszą. Myślisz, żebym nie chciał się stąd wydstać? Daj Boże, żeby nas *wytrynili*! Już mam tej sztuby po dziury w nosie.

— Szwarc, stul gębę!

— Skaranie boskie... — rzekł Szwarc, plując nadzwyczaj daleko. — Jeśli mnie wytrynią bez łania, to znowu ojciec będzie na mnie używał, co się zmieści, póki paska starczy. Ja, to wiesz, zawsze mam pecha... Choćby i z tą Franią. Chodzę ci za kozą cztery miesiące, odprowadzam ci ją do samych drzwi tej ich pensji, — żeby raz na mnie spojrziała! Sanikowski się do niej dwa tygo-

dnie zapalał wszystkiego — i na galówce w kościele przez nabożeństwo patrzyła na niego...

Borowicz nie podtrzymywał rozmowy, więc się urwała. Około godziny ósmej za szklanymi drzwiami ukazał się pan Majewski, otworzył je, wywołał więźniów na korytarz majestatycznymi gestami i kazał udać się na piętro. Borowicz szedł jak błędny. Nogi plątały się pod nim, myśli, niby skry wśród wichru, błyskały i gasły. Martwemi oczyma ujrzał rozwierające się przed nim drzwi głównej kancelarji i wszystkich nauczycieli zgromadzonych przy długim stole, okrytym kapą z zielonego sukna. Wskroś mózgu jego przerznęła się myśl, rozdzierająca, jak ostrze noża.

— Sesja na nas...

Pan Majewski ustawił winowajców w pobliżu stołu i sam zasiadł. — Nastąpiła chwila ciszy, w której ciągu Marcinek słyszał wolne i głuche uderzenia swego serca.

— Borowicz, Szwarc... — rzekł dyrektor głosem zimnym i uroczystym, — wiecie dobrze, coście wczoraj zrobili. Nie będę długo z wami rozprawiał. Rada pedagogiczna wezwwała waszych rodziców. Będziecie obadwaj wydaleny z gimnazjum, zarówno jak dwaj inni wasi współnicy, ale rada musi nadto wiedzieć, czy rzeczywiście strzelaliście z pistoletu nabitego prochem, gdyż takie jest co do waszych zeznań wymaganie władzy policyjnej

Szwarc, czy strzelałeś z pistoletu, nabitego prochem strzelniczym.

— Jak Boga szczerze kocham — wcale nie strzelałem z żadnego pistoletu! — rzekł Szwarc krótko i węzłowato.

Marcinek zmiarkował, że system obrony, przyjęty przez Szwarca, jest warjacki i zgubny. Było rzeczą oczywistą, że wypieranie się w żywe oczy nie prowadzi do niczego, a z drugiej strony pod karą infamji nie mógł przecie przyznać się do wszystkiego. Czuł, że należy powiedzieć inaczej, ale że jednocześnie należy zaprzeczyć się, ile tylko można, przynajmniej w połowie.

— A ty, Borowicz — zwrócił się do niego dyrektor, — przyznajesz się do winy? Czy strzelałeś?

— Tak, panie dyrektorze... — rzekł cicho i głosem pełnym boleści, — strzelałem, ale bez prochu...

Marcinek, wypowiedziawszy te słowa, spojrział na zgromadzonych pedagogów i osłupiał. Wydało mu się, że ci sprawiedliwi sędziowie zdjęli z twarzy swych surowe maski. Zjadliwy nauczyciel Wielkiewicz, który miał opinię ateusza i, prawdopodobnie wskutek tego, zdegradowany był aż do poziomu profesora geografji, zadarł głowę, wsadził na nos binokle, przypatrzył się Borowiczowi i rzekł, gwałtownie machając ręką:

— Słyszane rzeczy... strzelał bez prochu. Co za bezczelny i niebezpieczny konspirator!

Nagle cała belferja wybuchła głośnym, niepowstrzymanym śmiechem.

Dyrektor usiłował zachować godność, ale i on trząść się zaczął.

Obudwu podsądnych wyrzucono za drzwi i wręczono Pazurowi, który ich znowu do kozy zamknął.

Gdy rozpoczęły się lekcje, polecono im iść do klasy. Tam usłyszeli wyrok, że skazani są w drodze wielkiej łaski jeszcze na długą kozę o chlebie i wodzie.

ANDRZEJ RADEK

I.

Życiorys Jędrzeja Radka krótki był i pospolity. Urodził się we wsi Pajęczyn Dolny, w czworakach dworskich, na werku biednego fornała. Wiek pacholęcy spędzał już to w izbie, gdzie mieściły się familje trzech ratajów, już pod odkrytem niebem i nad wiekuiście odkrytą gnojówką, której toń ciemno-fioletowa stała tuż przed drzwiami czworaków. Od wybrzeży gnojówki do podperek łoża, wkopanych w ziemię, pełzał na czworakach, nosząc w zębach niezawsze czystą koszulinę, przez wysoki, na pół zgniły próg chałupy, — następnie zwiedzał samopas nietylko tę skromną przestrzeń, ale znacznie szersze obszary gnojów, błot, kałuż i gnojówek już z twarzą zwróconą ku niemu, co, jak wiadomo, wyróżnia człowieka od bydła ziemi, — aż do chwili, kiedy powołany został do pilnowania przedewszystkiem gąsiąt, a w następstwie maciory z prosiętami na dworskim okólniku. Nie można powiedzieć, żeby te obowiązki spełniał wzorowo.

Zdarzyło się pewnego razu, że mu karbowy „wytatarował“ postronkiem skórę na plecach i w ich sąsiedztwie do tego stopnia, że winowajca z wielką niechęcią siadł na ziemi; kiedyindziej sam dworski lokaj za sekretne wylizywanie rynki kuchennej obdarł mu sporo uwłosienia, ze zbytnią, co prawda, rosnącego bujnością. Te (i wiele innych w tym guście) wskazówki moralnego prowadzenia się zarówno na okólniku, jak i na szerszym przestworze świata, ugruntowały pierwsze podwaliny pryncypów społecznych w duszy małego pastuszka i byłoby zapewne starczyły mu na długo, aż do następnych, równie kształcących, jak starczą wszystkim Jędrkom folwarcznym, gdyby nie interwencja Antoniego Paluszkiewicza, zwanego Kawką.

Ten Kawka był nauczycielem dwu młodych paniczów. Chodził niegdyś na uniwersytet i często chęłpił się z tego powodu, wygłaszał wolnomyślne mniemania wśród osób, które na żaden sposób wolnomyślnością przejąć się nie mogły, bo wśród księży i szlachty, osiadłej na intratnych folwarkach, nosił długie, niezgrabne palto, przydeptane buty i obrzydliwie kaszłał. Mieszkanie guwernera znajdowało się w śpiczastej baszcie, nowszemi czasy przystawionej do wiekowego dworu. O każdej dobie dnia i prawie każdej nocy słyhać było stamtąd jednostajne pokaszliwanie i stąd urosło drugie nazwisko Paluszkiewicza. Dwaj wychowawcy urządzali mu bardzo często pod oknami pewne-

go rodzaju koncerty. Spędziwszy dzieci folwarczne, kryli je w krzakach i rozkazywali im kaszlać na komendę w sposób odpowiedni, naśladujący głos guwernera. Dziedzic z familją, cała służba wyższego stopnia i wszyscy wogóle mieszkańcy Pajęczyna mieli z tego tytułu niemałą uciechę. Jeden tylko Kawka nie zwracał na to wszystko najmniejszej uwagi. Kiedy z krzaków dawały się słyszeć zabawne głosy, a zewsząd śmiech mniej lub więcej głośny, jak zwykle wychodził na balkonik z książką w rękę, siadał okrakiem na krześle i ani trochę nie zmieniał sposobu kaszłania. Z czasem, kiedy przechodził w poprzek dziedzińca, obok czworaków, albo ulicą wiejską, z każdego zaułka rozlegał się śmieszny głos któregoś z ukrytych psotników:

— Ku—wyk... eee... ku—wyk... eee...

Najwięcej talentu w dręczeniu Paluszkiewicza wykazywał właśnie Jędrzek Radek. Przed rozpoczęciem solennego koncertu wydawał zawsze, pod batutą panicza, nienaśladowane, znakomite w swoim rodzaju beknięcie, pewien gatunek introdukcji, po której dopiero następowały chóralne wrzaski. Radek wybornie przedrzeźniał „belfera“ nie tylko głosem, ale i ruchami. Ile razy Kawka szedł w stronę plebanji kłócić się w niebogłosy z wikarym o pozytywizmy i determinizmy, miał zawsze poza sobą Jędrka, niby cień, który go w małpi sposób naśladował. W tym celu pastuszek brał na się długą

plachtę, w rękę patyk, na nos zakładał jakiś drucik, zwinięty w kształt binokli, kudłał sobie włosy jeszcze bardziej, garbił się, wlaził, w błoto na sposób „profesora“. Sama dziedziczka dawała mu nieraz za te sztuki kromkę chleba z miodem, kawałek cukru, albo napół zgniłe jabłko. Czując za plecami potężnych protektorów, Jędrek coraz bardziej kształcił się w swej umiejętności.

Doszło do tego, że, skoro tylko Kawka ukazywał się na dziedzińcu, pauper wołał go po imieniu i nazwisku, lżył i wydrwiwał. Przyszła jednak i na niego kreska. Pewnego razu, w dzień pochmurny i deszczowy, mały Radek siedział u płotu, nakryty workiem od dżdżu i wiatru, gdy wtem ujęły go za kark dwie ręce i podniosły w górę. Chłopak wydał krzyk przeraźliwy i zaczął szarpać się gwałtownie. Nic jednak nie pomogło. Paluszkiewicz chwycił go wpół, włókł przez cały ogród i zziąjany, ledwo żywy, wciągnął po schodach do swego mieszkania. Jędrek rozpierał się we drzwiach nogami, nie mogąc inaczej, walił Kawkę w brzuch głową, szarpał na nim odzienie, ale koniec końców ulec musiał. Wepchnąwszy malca do pokoju, Paluszkiewicz zamknął drzwi na klucz i upadł na łóżko ze zmęczenia.

— Ty mi zerzniesz dudy — dobrze... — rzekł mu chłopak zuchwale, ale poczekaj, zapamiętasz se ty! Co masz za rację do mnie — chy?

Kawka wysapał się, uspokoił, zapalił papiero-

sa i jął chodzić po izdebce. Minęło tak kilkanaście minut. Chłopakowi wydało się, że „belfer“ o jego obecności zapomniał, — więc rzekł:

— No — bić to bić — mali, a nie, to mię, panie, wypuszczaj!

Młody człowiek spojrział na niego z za swych okularów i mruknął:

— Poczekaj, poczekaj, nic pilnego!...

Następnie zaczął przewracać stosy swych książek i papierów. Czynił to bez ładu i porządku, ciskając tomy na prawo i lewo. Jędrek miał się na baczności i pilnie zważał na każdy ruch pedagoga, przekonany, że ten lada moment wyrwie z dziury jakieś niewidzialne i niesłychane narzędzie męki. Wzrok jego spoczywał w przelocie na klamce, szybach okna i oszklonego wejścia, za którem mieścił się balkonik. Tymczasem Kawka wyciągnął z głębi swych zbiorów duży atlas zoologiczny, pełen kolorowanych figur zwierząt, i położył go przed chłopakiem na stole, mówiąc:

— Weź i obejrzyj sobie te obrazki.

Jędrek ani myślał patrzeć, gdyż wydało mu się, że posiadał sekret belfra.

— Jabym się, — rozumował, — zabawiał obrazikami, a onby mię, para, z tyłu w łeb tak ćwieknął, żebym ani tchnął!...

Belfer tymczasem defilował już po izbie, trzymając papierosa w ustach, książkę w ręku i pół-

głosem mrucząc na pamięć słowa i frazesy angielskie, które mu tego dnia do nauki wypadły.

Znowu minął kwadrans czasu.

— Jak tam prosięta w ziemniaki dworskie wleżą, żeby na mnie zaś nie było, bo ja tu nic nie krzyw! — nagle wrzasnął mały więzień.

— Prosięta... a tak... No to niech będzie na mnie.

— A tak, to tak... — rzekł urwis obojętnie i z rezygnacją począł patrzeć na okno, później na piec, na stół, na książki, na samego belfra, wreszcie na malowane żyrafy i nosorożce. Ostatnie zaciekawili go wkrótce tak bardzo, że patrzył na nie bez ruchu, jak ciele na malowane wrota.

— A i cóż toto za koń taki, mój Jezus ko-chany, — myślał, ogarnięty przez wszechmocny podziw. Chyłośna to szyja u takiego gada...

Rozpalona ciekawość podniecała go do przewrócenia stronicy i objęcia sekretne^m wejrzeniem tego, co mieszczą karty następujące. Wypatrzył wreszcie chwilę, kiedy Kawka, spacerując, plecami był do niego zwrócony, naślinił mocno palec i odwrócił cicho grubą kartę. Stał na niej duży tygrys z ognistemi ślepiami.

— Chy, to ci kot! — krzyknął chłopak, zapominając o wszystkim.

— To nie kot. Takie zwierzę nazywa się tygrys, — rzekł Paluszkiewicz, nie przerywając swego mamrotania.

Teraz Jędrak, zaabsorbowany całkowicie, odkładał kartę za kartą aż do zmroku. Wtedy dopiero Paluszkiewicz wypuścił go z mieszkania, obdarzwszy bardzo smacznem ciastkiem. Prosięta istotnie wlaży w kartofle. Za powrotem do domu mały badacz fauny obcokrajowej, wskutek nieścisłego strzeżenia okazów swojskiej, dostał do matki siarczyście po karku. Ani ta kara, ani daleko sroższe, a spadające z fornalskiej ręki ojca, nie wpłynęły jednak na poprawę obyczajów młodzieńcza. Zbiesił się całkiem. Skoro tylko nadarzyła się chwila, rwał cichaczem do byłego studenta na ciastka, na wykradanie mu z przed nosa tytoniu i na oglądanie malowideł. Ostatnie rozwinęło się w nim niebawem w nałóg iście chłopski, dający się wyrwać z ciała chyba pospółu z duszą.

Kawka sam nie wiedział, kiedy urwisa nauczył doskonale czytać, tak się to stało prędko. Już w jesieni tegoż roku Jędrak zabazgrywał koślawemi figlasami grube kajety, w długie wieczory zimowe ciągnął już *ruskie*, a latem następnego roku Paluszkiewicz jął przemyśliwać o umieszczeniu wychowanka w progimnazjum pyrzogłowskiem. Kilkoletni pobyt „na kondzie“ w rozmaitych Pajęczynach dał mu sposobność, przy prowadzeniu życia mało co wykwinniejszego od wzorów, zostawionych przez mistrza Djogenesa, zgromadzenia kilkuset rubli. Sam zapadał coraz głębiej i coraz szybciej na suchotki. Porzucił tedy kondycję, odwiozł

ulubieńca do Pyrzogłów, siłą prawie wydarłszy go rodzicom, którzy płakali za tem dzieckiem, jak po zmarłym, oddał do klasy pierwszej, z góry wypłacił za niego koszt utrzymania na niezbyt drogiej stancji, a sam został w temże miasteczku i żył „z kapitału”. Chłopak najadł się cierpień i wstydu niemało, zanim jako tako przystał do poziomu pyrzogłowskiej kultury. Dzięki korepetycjom opiekuna uczył się wybornie i z pochwałą przeszedł do klasy drugiej.

II.

W klasie żaden z kolegów nie zbliżył się do niego, lecz owszem wszyscy go szykanowali. Zauważono natychmiast jego podkówki u juchtowych butów, drelichowe majtki, zgrzebną koszulę, tasiemkę i chłopskie prowincjonalizmy w mowie. Był nawet dowcipniś w klasie, niejaki Tymkiewicz, który go stale przedrzeźniał. W czasie dużej pauzy umyślnie zachowywano ciszę i z ostatnich ławek dawał się słyszeć głos, naśladujący gwarę chłopską:

— Wojciechu, lubują woma zimioki z maślanką?

Z drugiego końca odpowiadano żałośnie.

— Oj, mój kumosicku, lubują, lubują...

— A miso woma lubuje?

— Kez by to miso nie lubowało człowiekowi!

Ino co nie umiem onego misa jeść po ślachcicku...

— Po ślachcicku?

— Ajści. Jak mię tatuś oddali do szkoły na stancya, tom ci dopięro zobocęł, jak se to ślachta

jedzą. Bierze takie świecące widelki, żgnie ono miso, dopieroś je do gęby niesie, nikiej chłop snopek w zapole...

Emocja, jakiej doświadczał Radek, słuchając tych dialogów, była z pewnością palącym wstydem, ale obok niego czaiła się zemsta, ukryta w masce obojętności i wzdargy tak głęboko, jak iskra w krzemieniu. Nauczyciele bezwiednie zaostrozali stosunek nowicjusza do kolegów, wyrывая go często na środek dla zbadania i oceny zasobów jego umysłu. Przybyszowi z Pyrzogłów zdawało się, że go przedrwiwają wszyscy. W gimnazjum najważniejsze wykłady snuły niedołęgi wszelkiego rodzaju, dziwaki i mastodonty okręgu naukowego, to też Radek w łacinie, greczyźnie matematyce i t. d. recytował istne *curiosa*, jako perły wiedzy, podane mu przez mędrców pyrzogłowskich. Wszystkie te okoliczności sprawiły, że Jędrrek, chociaż uczeń bardzo dobry i pilny, był, jeżeli nie pośmiewiskiem, to tarczą szyderstw swego otoczenia.

Pewnej lekcji, blisko we dwa miesiące po rozpoczęciu kursu szkolnego, wezwał go do tablicy pan Nogacki i zlecił wyprowadzić formułę geometryczną, zadaną na ów dzień do nauki. Radek stanął przy katedrze, chwycił kredę i począł rysować figurę uciętego graniastosłupa. Silne wzruszenie przyćmiło na pewną chwilę czasu jego pamięć i bystrość umysłu. W rysunku popełnił błąd,

przeprowadziwszy jedną z linii bryły za nadto na prawo. Nogacki orjentował go kilkakrotnie, mówiąc swym zimnym głosem:

— Radek, linię $F G$ trzeba prowadzić na lewo...

Uczeń stał daną linię, ale nową przeprowadził jeszcze gorzej.

Linię FG —na lewo...—znowu wydekłamał nauczyciel.

Koledzy śmiali się już zcicha, a Jędrrek tracił coraz bardziej pewność siebie. Znowu stał niešťęsną linię i wyrysował całkiem niedorzeczną, gdzieś poza figurą.

— Ależ, Radek, linię $F G$ trzeba poprowadzić na lewo...

Wzburzony i drżący uczeń stał ją i bezwładnie opuścił ręce. Czarne płatki latały mu przed oczyma, gruczoły, wydzielające ślinę, nie funkcjonowały prawidłowo, a usta schły, kurczyły się i drgały. Wtedy z przedostatniej ławy wysunął głowę Tymkiewicz i donośnie po polsku szepnął:

— Wojtek, ady k'sobie!

Radek właśnie w owej chwili zebrał się w kupę, machnął linię prawidłowo i zaczął wybornie dowodzić. Śmiech ogólny zabrzmiał w klasie. Nawet zimny Nogacki, karcąc Tymkiewicza za odezwanie się podczas lekcji „w innym języku“, miał na wargach uśmieszek wesoły. Radek prędko skoń-

czył teoremat, rozwiązał zadanie geometryczne i obdarzony stopniem bardzo dobrym wrócił na miejsce.

Po skończonej lekcji wstał zaraz z ławy, nim jeszcze profesor wyszedł z klasy, szybko, z zagryzioną wargą przybiegł do Tymkiewicza i od lewicy, ściśniętą pięścią uderzył go w zęby raz, drugi... Napadnięty, porwał się do bójki, ale Radek chwycił go za szyję mocną swoją garścią, trząsnął nim kilkakroć, przywłókł go do muru i zaczął bić po chamsku, raz koło razu, w zęby, w gardło, w nos, w szczękę. Nim zdołano rozerwać walczących, już z nosa i z ust Tymkiewicza krew się puściła strumieniem. Całej awanturze nauczyciel przyglądał się z katedry. Gdy skrwawionego i bladego, jak trup, Tymkiewicza złożono na ławce, Nogacki wyszedł, zamykając drzwi i rozkazując wszystkim zostać na swych miejscach. Po upływie kilkunastu minut wszedł do sali Kriestoobriadnikow, inspektor, gospodarz klasy, jego pomocnik i kilku nauczycieli. Radek stał w ławce z głową zwieszoną. Łzy kapwały z rzadka z jego rzęs i rozpryskiwały się, zlatując na wierzch ławy. Dyżurny w krótkich słowach przedstawił całe zajście. Nogacki to potwierdził. Tymkiewicz miał twarz zmasakrowaną, jedno oko podbite i wciąż jeszcze krwi pełne usta. Dyrektor wysłuchał całej sprawy z uwagą i rzekł do nauczycieli obecnych:

— Zdaje mi się, panowie, że nie będę w niezgodzie z radą pedagogiczną, jeżeli Radka wydalę

z gimnazjum. Jest to rozbójnik, nie uczeń. Jest to cham, istotny cham...

Po chwili zwrócił się do winowajcy:

— Radek, ja pana wydałam z gimnazjum raz na zawsze.

To rzekłszy, zalecił gospodarzowi klasy, ażeby Tymkiewicza nazajutrz po wyzdrowieniu wpakować na cztery godziny do kozy, a Radka z listy wykreślić — i odszedł ze swiątą. Gospodarz wejrzał ze współczuciem na Jędrka i z żalem w głosie wymówił:

— Cóż robić... musisz pan zaraz opuścić gimnazjum.

Radek zgarnął swe książki i kajety do tornistra, zarzucił go na plecy i wyszedł, złożwszy ukłon gospodarzowi klasy, jakby się oddalał na pauzę. Było już po dzwonku. Korytarz górny i schody opustoszały. Z którejś klasy dawał się słyszeć równy głos nauczyciela fizyki:

— W tym celu bierzemy dwa pręty metalowe...

Radek szedł po schodach noga za nogą, bezwładnie myśląc: w tym celu bierzemy... Był spokojny, choć serce jego z bolesną siłą tłukło się o żebra, a zimne dreszcze przeszywały ciało i kości. Minął przedsionek, wyszedł na dziedziniec i tam zakręcił się na miejscu. W owej chwili przypomniał sobie ułamany badyl głogu, a raczej zrośnięte z nim westchnienie szczęśliwe.

— Już po wszystkim...—wymówiły jego om-
dlałe wargi.

Jak błędny zbliżył się do muru zamykającego
podwórze i siadł na kamieniu, który tam leżał.
Był to długi, ociosany głaz piaskowca. Spoczywał
na tem miejscu pewno od wieków, a przynajmniej
od czasu założenia konwiktów przez ojców Jezuitów.
W bliskości znać było wybornie udeptane mety
do gry w *extrę*. Dziedziniec był w owej chwili
pusty. Wiatr jesienny huczał w nagich konarach
kasztanów, zwisających nad murem, garnał na kupę
zeschłe, skurczone, ceglaste i żółte liście, strzępki
zagryzmołonych papierów i miótł je wirami pośpołu
ze śmieciami w róg dziedzińca. Jędrak oparł się
plecami o ścianę, wyciągnął nogi, a długie ręce
zwiesił między kolanami tak bezwładnie, że pra-
wie dotykały ziemi. Głowa jego opadła na piersi.
Za nadto niespodziewanie roztrącił go ten przypa-
dek, zbyt szybko zdechły promienne nadzieje. Trza-
się wynosić z izby, rzec panu Płoniewiczowi, że
już nie będę, zabrać manatki, książeczka i iść...
W imaginacji rysował się przed nim obraz szosy
nakrytej lotnym kurzem, nieskończenie długi pas
biały. Przez chwilę widział karczmę i słyszał, jak
w rzeczywistości, krzyk szynkarki:

— A czy aby kawaler stąd nie ucieka?... Po
sołtysa, po sołtysa! Trzymaj, łapaj!

Wtedy zdusiła go taka wściekłość i taka roz-
pacz, że nie był w stanie tchu złapać. Wśród istnych

kurczów cierpienia, paraliżujących rozum, błąkała
się przecież decyzja:—nie pójdę tamtędy, nie pójdę!

To ujemne męstwo, wzmagając się, trzeźwilo
go i ciągnęło na szafot rozumowań.

— Cóż będę robił na świecie, jeśli tamtędy
nie pójdę?—myślał, patrząc pod nogi szklanemi
oczyma. — Gdzież ja się podzieję, co będę jadł? Na
księdza?...

Wszystkie konające iluzje, niby wypuszczony
z więzienia huragan, rzuciły się na niego i przy-
tłukły go tysiącem kamieni. Zgarbił się jeszcze
bardziej i, zabity na duszy, wlepił oczy w liść
uschnięty. Wtem uczuł, że przed nim ktoś stoi.
Wrażenie to było tak dalece przykre, jakby mu
ów garściami włosy wydierał. Dźwignął wtedy
dopiero głowę, gdy usłyszał, że do niego mówi.
Obok starego kamienia zobaczył nieznanego kolegę,
który spoglądał nań przyjaźnie. Był to Marcin Bo-
rowicz, uczeń podówczas klasy szóstej.

— Panie — mówił tamten — byłem na kory-
tarzu i słyszałem, jak pana wylewali.

— Co powiadacie, panie? — zapytał Radek,
pod wpływem nieszczęścia wymawiając sylaby
z chłopska.

Oczy miał bez żadnego wyrazu, przymknięte,
szkliste, dolną wargę obwisłą.

— Uważasz pan, — mówił żywo Borowicz, —
trzeba znaleźć do starego drogę przez protekę.

To jedyny środek. Nie masz pan w mieście jakich wpływowych znajomych?

— Nie, nie mam — odpowiedział Radek, pęd-ko i zwiesił głowę.

— Czekaj pan, ja pójde do Zabielskiego i będę go nabięrał...

Radek uniósł jeszcze głowy, ale tylko w tym celu, żeby się przekonać, czy nieznajomy już sobie poszedł. Wciągnęła go do swej mrocznej toni gnuśność bezwładu, niby gorączka. Siedział, jak przedtem, skulony, aż do końca godziny. Nierychło usłyszał, że go znowu wołają. Zerwał się na równe nogi i spostrzegł we drzwiach przedsionka inspektora i o dwa schody niżej stojącego Borowicza. Ostatni z werwą coś prawił i gestykulował. Inspektor jeszcze raz zawołał na Jędrka, a gdy ten stanął przed nim, przyjrzał mu się uważnie i kazał iść za sobą. Wszyscy trzej stanęli wkrótce u drzwi kancelaryjnych na górnym korytarzu. Borowicz odsunął się na bok, a inspektor sam wszedł do pokoju. Radek stał przede drzwiami w swym tornistrze, jak żołnierz na warcie, aż do dzwonka. W czasie kilkominutowej pauzy obstąpili go koledzy z klasy piątej i z klas niższych, a większość starszych i młodszych wyszydziała jego los obecny. Niektórzy spoglądali nań życzliwie, inni w milczeniu, a jeszcze inni w milczeniu, ale z uśmiechem szyderczym na ustach. W pewnej chwili tłum, otaczający wypędzonego zwartem kołem, rozstał się

i zamilkł, gdyż we drzwiach kancelarii ukazał się dyrektor. Władca gimnazjalny orlim wzrokiem spojrział na Radka, który wyprostował się instynktownym ruchem.

— Ostatni raz, — rzekł, — daruję ci winę. Przepraszam się z Tymkiewiczem i zachowywać porządek. Jesteś na liście najbardziej podejrzanych osobistości w gimnazjum. Tu bić pięściami nie wolno! To też oświadczam wobec wszystkich kolegów: ostatni raz! Najmniejsze przekroczenie i bez pardonu pójdziesz precz. Teraz marsz na lekcję!

Jędrak rozstawił nogi, uklonił się ogieńcie i ruszył do klasy. Twarz jego była po dawnemu blada, oczy tak samo zgasłe, tylko teraz brwi, nozdrza i wargi spazmatycznie drgały. Gdy, otoczony przez chmarę wrzeszczącą, miał z powrotem przestąpić próg klasy, nagle się wstrzymał i zaczął oczyma szukać w tłumie pewnej twarzy. Nie było jej nigdzie w bliskości. Tymczasem odezwał się dzwonek, uczniowie rozpierzchli się w przeróżne strony i Radek usiadł na swoim miejscu. Podczas trwania lekcji języka greckiego, która właśnie miała miejsce, siedział wyprostowany z oczyma utkwionymi w nauczyciela, pilnie chwytając każdy dźwięk, padający z katedry, ale dusza jego była za murami tej klasy. Z wielkim pośpiechem i trudem szukał wciąż myślami owego ucznia, który go wybawił. Rysów Borowicza wśród omdlenia swego nie zapamiętał. Tkwiło tylko w jego sercu nikle wspo-

mnienie twarzy nachylonej... Im dłużej myślał, im goręcej usiłował wabić z przeszłości dopiero co minionej całą postać, tem cudowniejszy, jak gdyby księżycowy blask otaczał ją dokoła. Niepostrzeżone, wewnętrzne łzy Radka, łzy prędej duszy, niż ciała, płynęły i płynęły na to widmo przeczyste...

BERNARD ZYGIER

Na początku trzeciego kwartału, po przyjeździe ze świąt Bożego Narodzenia, uczniowie klasy siódmej zastali nowego kolegę. Był nim Bernard Sieger, wydany z tejże klasy któregoś gimnazjum w Warszawie. Nikt z kleryków nie miał wiadomości autentycznych, za co właściwie Sieger był ze stolicy raz na zawsze wypędzony, a do Klerykowa przyjęty. Chodziły tylko niezdecydowane pogłoski, że to „ptaszek“. Z czasem dopiero jeden z ósmoklasistów, któremu zdarzyło się być podczas świąt w Warszawie, oświecił nieco sprawę, rozgłaszając, że tajemniczy przybysz wyrzucony został za „niebłagonadźność“. Do Klerykowa, według tejże relacji, udało mu się wstąpić za specjalnem zezwoleniem kuratora okręgu naukowego, który znowu miał dać takie zezwolenie dzięki wstawiennictwu jednej ze znakomitych figur wielkiego świata.

W nowej szkole Sieger natychmiast otoczony został szczególniejszą opieką. Mieszkał sam jeden u pana Kostriulewa i poza murami szkoły nie miał prawa stykać się z kolegami. W gimnazjum pilno-

wano go również w sposób, nie zostawiający nic do życzenia. Codziennie ktoś upoważniony, a więc pan Majewski, inspektor, dyrektor, Mieszoczkin, — rewidował jego tornister, wszyscy udzielali mu admonicji surowszych, niż innym, a do wydawania lekcji powoływano go bezustanku. Bernard Sieger miał lat ośmnaście, dziewiętnaście, był wzrostu średniego, krępy, nieco ospowaty. Rysy twarzy miał wyraziste, nos duży, oczy barwy nieokreślonej, jak woda. Oczy te patrzyły spokojnie, ale ze szczególną uwagą. Sieger nigdy nie zdradzał strachu lub złości, gdy go niepokojono, gdy mu rozkazującym tonem czegoś „surowo zabraniano“. Na twarzy jego malował się stale pewien wyraz, który możnaby chyba ochrzcić imieniem — uprzejmej drwiny.

Głowacze klasy siódmej już po kilku lekcjach spostrzegli, że Sieger wszystko „kapuje“. Robił przykłady matematyczne niezbyt lotnie, ale bystro, tłómaczył *Disputationes tusculanae* Cycerona powoli, ale samoistnie, pisał ćwiczenia literackie i „logiczne“ na cztery, — słowem był to dobry uczeń.

Buckle'isci z krótkiego dyskursu przed nabożeństwem w pewien dzień galowy, kiedy pilnowacze zajęci byli malcami i nie przeszkadzali rozmawiać, dowiedzieli się, że nowy nie tylko czytał Buckle'a i Drapera, ale posłyszeli z ust jego pytania o dzieła, jakich ani oko klerykowskie nie widziało, ani ucho nie słyszało. Sieger żył całkiem

samotnie. Wprost z klasy szedł do mieszkania. Na spacer, na łyżwy, po sprawunki — tylko z cerbebem Kostrielewem. Autochtonowie klasy siódmej obserwowali go z uwagą, ciekawością, a nie bez odrobiny niechęci i zawiści. Już to samo, że Sieger przybył z Warszawy, gniewało wszystkich, którzy za obrębem Klerykowa nic nie znali. Uprzejmą grzeczność jego poczytywano za wyniosłość i arystokratyzm, ironiczne milczenie, gdy uczeni sławiści roztaczali w czasie pauz swe wiadomości, — za nieuctwo w tym kierunku wiedzy człowieka.

Pewne trudności miał Sieger z uczęszczaniem na lekcje języka polskiego. Zrazu władza wzbraniała mu wstępu na wykłady prof. Sztettera i dopiero po upływie miesiąca dała swe zezwolenie.

Tego dnia lekcja języka „miejscowego“ była ostatnią z rzędu, a więc przypadła między godziną drugą a trzecią. Sztetter wszedł do klasy, jak zwykle, z wyrazem niechęci na twarzy, zasiadł i wnet wymienił czyjeś nazwisko, prosząc o tłómaczenie z języka polskiego na rosyjskie wiersza Czajkowskiego p. t. „Pająk“.

Ten, kogo spotkał los tak nudny, pragnąc wykręcić się, zaczął gadać (rozumie się po rosyjsku):

— Panie profesorze, mamy nowego ucznia.

— Nowy kolega, z Warszawy uczeń... — błaznowali inni.

— Nowy uczeń?— spytał Sztetter ze zdziwieniem.— Gdzie, jaki uczeń?

Sieger wstał ze swego miejsca i skłonił się nauczycielowi.

— A... — mruknął Sztetter. — *Wasza familja?*

— Zygier,— rzekł nowy uczeń.

Nauczyciel zaczął szukać tej *familji* w spisie abecadłowym pod literą *Z*—i nie znalazł.

— Mówisz pan...

— Tak. W papierach i w metryce stało — Sieger, jak pisał się mój dziad i ojciec, dlatego prawdopodobnie zanotowano pod *S*. Ja nazywam się Bernard Zygiel, *Zet, y, gier...*

Nauczyciel spojrzał na nowego ucznia i smutne oczy jego zajaśniały przez chwilę nikłym promyczkiem wesela.

— Niech będzie Zygiel... — powiedział. — Chcesz pan uczęszczać na lekcje języka polskiego?

— Rozumie się! Przecież to nasz język ojczysty... (*Wied' eto nasz rodnoj jazyk*).

Sztetter obejrzał szybkim lotem drzwi oszkłone, tego ucznia, dziennik i poruszył wargami, jak gdyby mówił jakieś słowo, czego przecie nikt nie dosłyszał. Po chwili rzekł:

— No... czytaj pan!

Zygiel wziął książkę, ułożoną przez prof. Wierzbowskiego, i zaczął czytać wskazany urywek. Koledzy jego, widząc, że prezentacja skończona i że rozpoczynają się zwykle „nudy naro-

dowe”, wzięli się do odrabiania lekcji, do jawnego czytania rzeczy postronnych, albo wprost układali się jako tako do drzemki. Niektórzy, lepiej wychowani, z nałogu przyzwoitości trzymali oczy wlepione w „Pajaka”. Inni oglądali ściany powleczone sinym kolorem, szerokie brunatne lamperje, żółty stoliczek katedry, czarną tablicę, szyby zasłonięte parą... Tymczasem Zygiel odczytał i przetłumaczył na język urzędowy kilka strof wiersza, a potem rozbierał kolejno zdania pod względem gramatycznym i logicznym. Zastanowiło wszystkich, że czynił to nadzwyczaj starannie i rozbierał po polsku. Sztetter, oparty ramieniem na krześle, dźwignął zwieszoną głowę i, bębniąc w stół palcami, z pod oka przyglądał się Zygielowi. Podmiot, orzeczenie, słowa określające, rzeczownik, zaimek, mianownik, dopełniacz, celownik, imiesłowy odmienne, nieodmienne i t. d. brzmiały w tej klasie tak dziwnie, tak jakoś zabawnie, że wszyscy uczniowie, słysząc to raz pierwszy, spoglądali ze śmiechem to na profesora, to na ucznia, ciągnącego rzecz swoją ze skupieniem i uwagą. Ukończywszy rozbiór całego wiersza, Zygiel złożył książkę na ławie. Nauczyciel otworzył swój notes prywatny, dziennik klasowy, ujął za pióro, wykręcał je w palcach i myślał o czemś głęboko.

Dosyć... — rzekł wreszcie. — Mam panu stawić stopień. Ale jaki? Cóż ja panu postawię? Ja nie mam... na to... stopnia, panie Zygiel...

Mówiąc tak, znowu przyglądał się nowemu uczniowi i wracał do niego oczyma kilkakrotnie, jakby ich nie był w stanie zdjąć z tej twarzy. Zygier stał w ławce, mierząc Sztettera swem uważnem i spokojnem wejrzeniem.

— Proszę mi powiedzieć — rzekł jeszcze nauczyciel — co pan czytałeś, w jakim kierunku?

— Czytałem... tak dosyć rozmaitych rzeczy. A z literatury polskiej?

— Uczyliśmy się kolejno, systematycznie okresami.

— Tak, tak... — mówił Sztetter, zabawnie strzepując ręką piasek z dziennika, — no i jakież to tam okresy?

— Czytaliśmy utwory wieku złotego dosyć pobieżnie, zato romantyków szczegółowo.

— Któż to... my? — zapytał nauczyciel daleko ciszej i patrząc we drzwi.

— To tam w Warszawie... my... sami...

— Cóż pan czytałeś np. z Mickiewicza?

— No, zdaje się... Niektórych rzeczy żadną miarą nie mogliśmy dostać.

— Ja się o to nie pytam, nie chcę wiedzieć! Jakież utwór podobał się panu najbardziej?

— Czy ja wiem? Trzecia część... Improwizacja, Pan Tadeusz, Księgi Pielgrzymstwa...

Sztetter umilkł. Po chwili zapytał jeszcze.

— No, a coż pan wiesz o Mickiewiczu?

Uczeń wyraźnie, jasno i bardzo szczegółowo

opisał w języku rosyjskim młodość poety, związek Promienistych, Filomatów i Filaretów, aresztowania, uwięzienia i deportację. Wprost od tych szczegółów najniespodzianie zjechał z Wilna do Warszawy i, już nie ku profesorowi, lecz w stronę klasy zwrócony, jał wyborną i bardzo piękną ruszyczyną, z chwalebnem uniknięciem „polonizmów“, plastycznie malować napad podchorążych na Belweder w nocy 29 listopada.

Oszołomiony belfer, pragnąc co tchu przerwać ten wykład, rzucił pytanie:

— Umiesz pan może co na pamięć?

— Tak, umiem to i owo.

— Proszę powiedzieć.

Zygier złożył książkę, przez chwilę się namyslał i wnet zaczął mówić głosem nie donośnym, ale dźwięcznym, jak szlachetny metal:

„Nam strzelać nie kazano. Wstąpiłem na działo...”

Usłyszawszy te wyrazy, Sztetter zerwał się na równe nogi i zaczął machać rękami, ale Zygier nie umilkł. Jakby odepchnięty jego wzrokiem nauczyciel siadł na swem krześle, podparł głowę rękoma i nie spuszczał oka z szybek we drzwiach. W klasie stała się cisza. Wszystkie oczy skierowały się na wypowiadającego „wiersze polskie“. Ten mówił równo, ze spokojem i umiarkowaniem, ale jednocześnie z jakąś ukrytą w słowach, wew-

nętrzną gwałtownością, która kiedy niekiedy, w pewnych cezurach, wymykała się między sylabami. Dziwne, niesłychane słowa przykuwały uwagę, potężny obraz boju rozwierał się przed oczyma słuchaczów—i nagle mówca dźwignął swój głos o stopień wyżej:

„Gdy Turków za Bałkanem twoje straszą spiże,
Gdy poselstwo francuskie twoje stopy liże,
Warszawa jedna mocy twojej uraga!
Podnosi na cię rękę...”

Nauczyciel syknął i zaczął wstrząsać głową. Wtedy „Figa“-Walecki wylazł ze swej ławki, zbliżył się do drzwi, wspiał na palce i, spoglądając uważnie w korytarz, machnął ręką na Zygiera, żeby gadał dalej. Nie była to już recytacja utworu wielkiego poety, lecz oskarżenie uczniaka polskiego, zamknięte w zdarzeniach bitwy. Był to własny utwór, własna mowa. Każdy obraz walki dawno przegranej wydzierał się z ust mówcy, jako pragnienie uczestnictwa w tem dziele zgubionem. Uczucia dziecięce i młodzieńcze, po milion kroć znieważane, leciały teraz między słuchaczów w kształtach słów poety, pękały wśród nich, jak granaty, świszczwały, niby kule, ogarniały dusze na podobieństwo kurzawy bojowej. Jedni z nich słuchali wyprostowani, inni wstali z ławek i zbliżyli się do mówcy. Borowicz siedział zgarbiony, podparłszy

pięścią brodę, i rozpalone oczy wlepił w Zygiera. Dręczyło go przemierzone złudzenie, że on to wszystko już niegdyś słyszał, że on to nawet gdzieś jakby własnem okiem widział, ale nie mógł pojąć, co będzie dalej — i słuchał ze wstrętem i złością, ale z dreszczem dziwnego bólu w piersiach. Wtem Zygier zaczął mówić:

„... nieraz widziałem
Garstkę naszych, walczącą z Moskali nawałem,
Gdy godzinę wolano dwa słowa: — pall nabij!
Gdy oddechy dym tłumi, trud ramiona słabi,
A wciąż grzmi rozkaz wodzów, wre żołnierza czynność,
Nakoniec bez rozkazu pełnią swą powinność,
Nakoniec bez rozwagi, bez czucia pamięci
Żołnierz, jako młyn palny, nabija, grzmi, kręci
Broń od oka do nogi, od nogi — na oko...
Aż ręka w ładownicy długo i głęboko —
Szukała... Nie znalazła... I żołnierz pobladnął,
Nie znalazłszy ładunku, już bronią nie władał
I poczuł, że go pali strzelba rozogniona
I puścił ją i upadł... Nim dobija, skona...”

Borowicz zamknął oczy. Znalazł już wszystko. To ten sam żołnierz, o którym mówił mu przed laty strzelec Noga na pagórku pod lasem. Ten sam, zabity nahałami, leżący w skrwawionej mogile pod świerkiem. Serce Marcina szarpnęło się nagle, jakby chciało wydrzeć się z piersi, ciałem jego potrząsało wewnętrzne łkanie. Ścisnął mocno zęby, żeby z krzykiem nie szlochać. Zdawało mu się, że nie

wytrzyma, że skona z żalu. Sztetter siedział na swem miejscu wyprostowany. Powieki jego były, jak zwykle, przymknięte, tylko teraz kiedy niekiedy wymykała się z pod nich łza i płynęła po bladej twarzy.



NA WOJENCE DALEKIEJ.

Dzień dogasał nad spłowiełymi rolami. Tu i owdzie płonęła już ozimina, ale na ogół ziewało w polach pustkowiem odlogów jesiennych. Na pastwiskach, po nadrzeczu lśniła się jeszcze jaskrawa zieloność trawników, a na równych łąkach jednostajnie połyskiwał ostatni, szorstki pokos otawy. Wśród drzew, otaczających stary dom w Stokłosach, rozpostarła się przejrzysta, śniada mgielka. Nieprzeliczone gromady wróbli obsiadły nagie konary lip i zanosiły się od jednostajnego szczebiotu. Stado wron z łopotem skrzydeł i krakaniem, spychając po sąsiedzku jedna drugą, drapało się na wyschłe szczyty włoskiej topoli. Stosy podmiecionych liści obejmowała w niepodzielne władanie wilgoć cmentarna. A z oddali, z południa, powiewał wiatr cichy i ciepły.

Trzej przyjaciele — Trepka, Cedro i Olbromski — siedzieli na ganku dworu, w milczeniu ciesząc się tym ostatnim dniem ciepła w późnym listopadzie. Każdy z nich przeżywał własne myśli, natrętą ciżbą oblegające głowę. Otwarte pola ciągnęły oczy człowieka w daleki, daleki widnokrąg. Piasz-

czysta droga w alei lip, prowadząca do dworu, przyklepana od niedawnych deszczów, a teraz wyschła i stężała, zwolna tonęła w cieniu grubym i tęsknym pniów osierociałych.

Wtem psy, drzemiące na piasku przed ganikiem, dzwignęły lby i nadstawiły uszu. Szczeknął jeden, podniósł się żywo drugi, i wnet, jak na komendę, zerwały się wszystkie zajadle pędzić w aleję. Głowy przyjaciół ocieężale dzwignęły się w tamtą stronę w oczekiwaniu. Psy z nagłą ucichły i z podwiniętymi ogonami, trwożnie pojękując, cofały się w podwórze. Z półmroku alei wolno wysuwał się na jaśnie żebrak na kuli drewnianej, w łachmanach. Ciężko utykając, zbliżał się do rozwartej bramy. Tam się zatrzymał. Słońce już gasło i ostatnia jego fala poziomo przepływała nad ziemią. Trepka nakrył oczy dłonią od blasku czerwonego, który mu prosto w źrenice padał, i rzekł:

— Żebrak.

Młody Cedro wydobył z kieszonki cwancygiera i dał go kuchennemu chłopcu, wskazując dziada ręką.

— Dać mu tam w kuchni rynkę warzy...—dorzucił Trepka. — Niech dziadowina podje i przed nocą wędruje dalej, bo tu psy złe i dziadom przeciwnie.

Kuchcik skoczył ku wrotom i długo o coś z dziadkiem się spierał. Zadziwiło to wszystkich,

że wrócił, niosąc pieniążek na dłoni. Już z dala mówił ze śmiechem:

— Nie chce, jasnie panie, ten dziadek brać pieniędzy. Pytał mi się, czy jasnie panowie nie są z Niemców przypadkiem... Nie śmie, pada, wejść na dziedzinę.

— Jakież to hardy dziad!

— Grosza nie bierze i w kwalifikacje dziedziców się zapuszcza...

— Prawi, że chciałby prosić o nocleg.

— Jeszcze czego!

Młody Cedro zwyczajem swym popędliwie skoczył do ubogiego. Za nim dla rozerwania monotoni ruszył się Trepka, wreszcie od niechcenia Rafał. Gdy do wrót dziedzińca podeszli, ujrzeli człowieka w łachmanach, z sakwami na krzyż przewieszonemi przez piersi, prostego i w średnim wieku. Twarz jego była ogolona i ogorzała tak bardzo, jak żniwiarza, co przez lato cienia nie znał. Włos płowy, od słońca i pożaru słońca wypęzły, widać było z pod czapczyny dziwnego kształtu; opończa i but zdrowej nogi pyłem były zasypiane do cna. Patrzyły na nich oczy siwe, śmiałe aż do zuchwałości i czyste, jak powietrze. Nie kłaniał się dziadowskim obyczajem, nie skamlał, ani stękał. Cekał wyprostowany. Jasne jego oczy przechodziły z jednej twarzy na drugą, badając je do głębi. Wreszcie dłużej spoczęły na obliczu najstarszego.

— Cóż to, dziadku, tak nas bierzesz na spytaki? — mruknął Trepka.

— Chciałem zapytać się... — rzekł ubogi śpiewną, podlaską czy litewską mową, — czy z waćpaństwa który wojskowo nie służywał?

— A to ci na co wiedzieć?

— Wojskowy człowiek przyjąłby w gościnę kamrata, a postronny człowiek nie przyjmie. Noclegu szukam. Strudziłem się, drogą idący kikutstukut, och, bardzo...

— A skądże idziesz, człowieku, żeś się tak utrudził?

— Zdaleca ja, kulhawiec, idę, bracia rodacy z bardzo dalekiej strony.

Wszyscy trzej zamilkli i szczególnie, prawie bolesnem uczuciem przejęci, patrzali w te prawdomówne, szorstkie i czyste oczy.

— Ta... — rzekł nierychło Trepka cicho i życzliwie, — jeśli o nocleg chodzi, to możesz przenocować w tym domu, bracie rodaku.

— Bóg zapłać, mili, że nie odpędzacie od swego proga żebraka wędrownego. Ale, jeśli wola wasza, odprawcie dalej służbę, aby nie rozpowiadziała, że od was łaski takiej doświadczam. Nie do brzeby to dla was być mogło. A i dla mnie...

— Bądź spokojny! Włos ci z głowy nie spadnie pod dachem tego domu... — rzekł Cedro zniżonym głosem.

Weszli w dziedziniec. Słońce się kryło za pa-

górkami i od wielkich drzew, od ciemnych sosen i wysokich lip cień już padał tak gruby, że w głuchą noc przepływał. Kazano żebrakowi podać wieczkę. Panowie swoją z pośpiechem spożyli. Trepka wydał rozkaz, żeby służba szła spać. Przyjaciele sami pozamykali okiennice. Wędrowny dziad usiadł w kącie Nekandowego pokoju i zdjął swe sakwy. Z pod grubej opończy wyjrzały resztki uniformu.

— Skądże teraz idziecie? skąd wracacie? — pytali wszyscy trzej, otaczając go kołem.

— Do dom, do swego kukrzyśka idę z miejsca Austerlitz zwanego, gdzie my niesłychaną batalią wygrali, a ja nogę oto postradał.

— Toż w grudniu zeszłego jeszcze roku ta batalia była!

— Prawdę mówisz, panie bracie, ale ja po szpitalach polowych przeleżał tę ciężką zimę. A od wiosny wlekę się z miejsca na miejsce, z miejsca na miejsce...

— Mów-że, bracie, jak to było. Powiadaj!

— Dużoby mówić... Cesarz zrobił swoje. Żle mówię — swoje. Dziewięć ja lat na jego sprawy patrzący, takiego dzieła...

— Dziewięć lat, mówisz?

— Dwanaście już lat upłynie w tym listopadzie miesiącu, jak z towarzyszami odszedł z jakimowieckiego placu. Tak, zda się, jakoby wczoraj było. Z rozpaczą my broń cisnęli, złamali my broń na kolanie, o świętą ziemię strzaskali. A oto z mło-

dego draba ja dziad starzeńki powracam z dalecyny... sam jeden. Wszyscy moi kamraci... gdzie nie wiedz... Za górami, za lasami, za morzami...

— Za morzami nawet?

— Za morzami, tak ja mówię. Prawdę mówię, panowie bracia. Bo i ja, powiedzmy otwarcie, szlachcic herbowy, choć i na jednej habendzie, na jednym zagonie, ta szlachcic dobry. Ojrzyński Saryusz Jelitczyk moje zawołanie, a przydomek nasz starodawny — Mieczyk. Za morzami, panowie bracia! Na bardzo dalekich morskich wyspach Antylów... Jedni w San-Domingo, drudzy w Auzońskim kraju, inni w gorach niemieckich, inni we francuskiej stronie. Na ziemi płaskiej i na dnie morza niezgrunтовanem śpią braciszkwowie serdeczni, dobra szlachta podlaska, tęgie męże, wspańiałe żołnierze, zabici czasem przez obce, a nieraz przez braterską rękę, z obcego szeregu rzucone groty. Jam najszcześliwszy ze wszystkich został na świecie.

Wracam oto w swoje płaszczyzny. Idę obaczyć ojcowski dom, barniaki swoje na piachach, a tak sobie idący myślę, że już pewno ani ojcowskiego budowa, ani brata, ani siostry. Zapomniał ja już, co to dom, co brat, co siostra. Idę, ta ciężkie myśli przed sobą toczę, panowie bracia.

— Braciszku! — rzekł do niego z pośpiechem Krzysztof drżącymi ustami: — gdzie stapisz, na czyj próg, tam dla ciebie wszędzie otwarty dom rodzinny.

— Bóg zapłać za dobre słowo...

— Powiedz-że nam o swoim życiu, o tem, coś przeżył i widział, — nastawał Trepka, — bo my tutaj na zagonie wiemy ledwie coś niecoś, ledwie ze słychu, z wieści.

— Dobrze. Powiem wam wszystko, od początku do końca. Niech jeno myśli pozbieram. Ha, no słuchajcie... O scenach ja radoszyckich wspominałem... Bardzo ja się już otrząsał z wojną a na myśl tamten dzień jak przyjdzie serce od nowa gore! To tak dziś, a cóż wtedy! Młoda krew była w żyłach i wrzący honor w sercu. Było nas takich w szeregu dość, co my powiedzieli sobie: do dom wracać, półtorak broźnić, spokojnie grykę siać, zwady z sąsiadem o snopek prowadzić?... Taki koniec i skutek? A niedoczekanie! Jak ja dziś wspomnę a zaliczę, panowie bracia, jak ja dziś pomyślę... Rada my w radę po zaściankach, gwaru dzień i noc pełno, krzyku między nami pocziwego. — Ta choćby brukanem z pola! — woła ten, woła drugi...

Dziwne to, dziwne zdarzenie... — śmiał się żołnierz, kiwając głową. — Zważcie ino, panowie bracia: między sobą, widziało się, paplamy, we swoich ścianach. Aż oto jednej i tej samej nocy we wszystkich okolicach szlacheckich wojsko na egzekucję zwało. Kto ino głośniej meł językiem, tego w rekruty... Już nas w Siedlcach, w Łukowie rozdzielili na partye, potem ubrali w kamasze i marsz, marsz w austriackie dziedziny. Jać nie byłem w gę-

bie ostatni, więc, jak się patrzy, oparłem się ażę w regimencie grafa von Koenigsegg-Rothenfels. W trzecim bataljonie ażę w mieście Pilsen, w Czechach, wytchnąłem po marszu. Wdziali na mnie biały mundur półfraczasty, białe pantalony, białe kamasze. Żeby nie płytkie, czarne ciżmy i płytki czarny kapelusz, żeby nie mankiety, kołnierz i podszewka malinowego koloru — nic ino anioł.

Karabin, ładownica, biały pas przez piersi — i na mustwę. He, szelmy! Ile to kary, nim człowiek pojął, co taki kapral mamroce, co se pod nosem mruży lęda oficerek! Nie upłynął rok czasu, poszlimy w górną Austryę, w góry Tyrolu bić Francuza i Papieża bronić. Ale nie samego Ojca Świętego. We łbie się przewracało, kiedy przed frontem wzięli z polska po węgiersku wyczytywać, kto to na one nasze męstwo wyczekuje. Uczylimy się tego, jak pacierza. A to pamiętam, Karol Emanuel IV, sardyński król, któremu szubienicznik Bonaparte wydarł jakisi Piemont, a to ksiązę Parmy, to samo Karol i to samo czwarty, ale już nie Emanuel, a to ksiązę Herkules z Modeny i sama królowa Karolina z Neapolu. Niemalo ja z kamratami ziemi zdeptał, onych person broniący. Jak ja dziś wspomnę a zliczę, panowie bracia, to my wonczas ze trzysta mil nieustającym przemierzyl krokiem. Szli my piechtami przez kraje niemieckie, zielone, leśne a rolne, przez bardzo piękne sioła, przez one szumne rzeki-strumienie... Boże mój Boże! Dołami

onych pagórków, precz w wyżyny, pomiędzy skały i ażę ku białym śniegom... Zrazu nawet wierzył człowiek z drugim, że świętą osobę Najwyższego Pasterza jegomości piersią swoją osłaniać idzie. Z kim się było zrozumieć, komu zaufać, zwierzyć się a ugwarzyć? Naród zegnany ze wszech stron, z czterech końców świata. Wilkiem patrzył jeden na drugiego i, jako ten zbój, czyhał na oficera, a oficer znowu, jak wilk, szczyrzył zębce na podkomendnych. Nie zostawił ta zresztą komendant pobratymca jednego z drugim w glicie, ba! w kompanii! Niechże to kapral wypatrzy, że się dwaj między sobą w głuchą noc zszeptują, że jeden do drugiego niby to przypadkiem, z głupia frant szlusuje w bitwie, że do się zdala gadają oczyma, albo przez znaki: pierwszy raz będą oba biegali bez żywą ulicę, a drugi raz — kula w łeb. Toś ta i język umiał dobrze trzymać za zębami, a ślepie pod powieką...

A taki swój swego gdzie nie wiedz, w dziesiątym regimencie po oczach, po kościach lica, po smętku a milczeniu rozezna. Ileż to razy, braciszku moi, na pobojuwischu gonisz zajadły, święty ugór zranionych przemierzasz twardym krokiem i skrzywdzisz obcasem braterską pierś czy głowę! Dopiero krzyk rodziły, dopiero jęk przebiję cię z dołu, jako ten bagniet. A ile takich pół przemierzyl ja w pierwszej wojnie! ile w drugiej! W drugiej wojnie zeszlimy byli z gór w pola

lombardzkie. Tam to one drzewa oliwne, jakobyś wierzbinę swoją obaczył, tam to brzoskwińowe sady... Sama była wiosna. Jedni z naszych kamratów pod arcyksięciem Karolem poszli w dół Renu na Jourdana, inni darli w Szwajcary na Masenę, a my pod felcigmajstrem baronem von Kray zeszli nad Adygę rzekę. Wnet baron rozparł się lewem skrzydłem w Legnano, a prawe oddał pod komendę generała Kaim, i tamto stanęło za Weroną. Sam środek opierał się o to stare mieścisko. Generałowie Elsnitz i Gottesheim z siedmioma batalionami piechoty i trzema szwadronami huzarów zajęli stanowisko Bossolengo i Polo na prawym brzegu Adygi. Łańcuch graniczny od modrego jeziora Garda, aż do miejsca zwanego Mamalagna trzymały dwa bataliony wojska granicznego, cztery kompanie strzelców i szwadron huzarów. W tej wsi Polo postawili na Adydze dwa mosty, a przed nimi usypali szanice ziemne. Dnia 26 marca od samego rana zwaliły się na nas dywizye francuskie. Młode bestye, żołnierz z pieluch, to też to szło w biady, sięgało ci do gardła, jak we szkole. Dywizya Grenier! Ale i cesarscy nie dawali się zjeść w kaszy. Żołnierz stary, wyćwiczony, w stu bataliach się tera! Tam to zawrzało! Skłębiły się i zagmatwały te dwa wojska, wżarło się jedno w drugie. Dawaj bić! Bagnet szczeka w bagnet, oczy lypią w oczy. A staremu wiarusowi z pod Melasa, czy z pod Kraya, nie tak znowu łatwo broń z garści wytrąci

bele smyk, choćby bestya i młodymi zębami kłapał. Ale był ta między nimi kto inny ku pomocy. W przedniej straży szedł batalion od innych odmienny. Walił środkiem zaprawdę, jak żywy mur. Chłop w chłop, ramię w ramię, puklerz przed nimi z bagnetów...

Panowie bracia! spojrzę ja na tych ludzi krwawem ślepiem, w boju spracowany... Błąd się głowy czepia, gwer z rąców leci, włosy na głowie stają! Jezusie Marya! Ta że to nasze barwy i znak! Słyszę, przez Bóg żywy, swoją komenda! Pierwszy ja raz tak ich oko w oko zobaczył. Nim słowo rzec — już ci słocham w głębi szeregu. Nim słowo rzec, już ci z trupa bratniego mundur zwłóczę i na ramiona wciągam. A dokoła mnie swoi ludzie. Słyszę rozkaz. Wtedy! Myślę sobie: „A skoroś mi, Panie Jezu, takowego dnia dał dożyć i takowem miłosierdziem nad dolą moją zaświecił, toć i ja Ci pokażę, żem przecie sroce z pod ogona nie wypadł!“ Z tym samym austriackim gwerem w łapach jak pójde! Jak stanę w szeregu, jak wezmę pospołu z bracią rznąć w batalion Koenigsegg-Rothénfels! Śmierć to śmierć! Tam w oczach moich poległ szef batalionu Lipczyński. Siedemdziesięcioletni starzec, pułkownik za naszych czasów, Darewski, walcząc na ochotnika, jako prosty żołnierz w tym samym, co i ja, szeregu grenadyerów, śmiercią mężną skonał. To samo dwaj Zaderowie na szanicach, to samo podporycznicy Borys i Majewicz

u Mostów na Adydze, a żołnierzy i podoficerów 150 chłopą. Ale dywizye Delmas i Grenier po czterogodzinnym boju wzięły pazurami szańce z kompletem armat, wyparły moich Austryaków, przeгнаły ich na lewy brzeg, wzięły szturmem oba mosty i nie pozwoliły ich zniszczyć. W dywizyi Victor był drugi batalion polski pod Rymkiewiczem generałem, co w wigilią tego dnia przybył z dalecyny, bo aż, mówili, z Konstantynopola.

Męstwem swoim ten batalion samych zadziwił Francuzów. Gnalimy białasów aż pod mury Werony. Ale bitwa tego dnia kosztowała legion polski 750 zabitych. Taką to ja drogą poszedł w one legiony... Wliczyli mię do trzeciego, co był ostatkiem, szcząteczkiem. Generał Scherer zaczął się cofać. Bataliony pierwszy i drugi w swoich dywizjach, trzeci z półbrygadą francuską i dwiema armatami pod rozkazem Kosińskiego składał wystawioną straż w Rolta-Vecchia dla zasłonięcia obozu dywizyów Victor i Grenier od Marengo do Casteletto. A gdy armia francuska nie mogła dłużej ustać w tem położeniu bez obawy, że ją otoczą, wtedy Bartki francuskie uradziły, żeby się cofać. Generał Scherer — bodaj z piekła nie wyjrzał! — kazał nam dwustu nowym rekrutom, gdy główna siła naszych poszła do Mantui, zamknąć się w twierdzy medyolańskiej, co ledwie kilka dni bronić się mogła. Wiedzieliśmy, że leda dzień obsadzą nas Austryaki, jak to morze, a skoro się poddamy, łby

nam ukręca. Na nasze szczęście, splamiony Scherer opuścił dowództwo. Zaraz generał Moreau cofnął barbarzyński rozkaz. Wziął nas ze sobą, gdy za Ticino uchodził. Legion Wielhorskiego zamknięty był w Mantui i nasza z nim komunikacja zerwana. Poszliśmy z armią włoską. Bylimy w boju pod Valence... Dawne męstwo odżyło, dawne się wspomniały czasy. Wnet generał Macdonald, uchodząc z Neapolu przez wielkie włoskie góry, przyszedł na nieszczęście swoje pod Trebio i stoczył ową bitwę straszliwą. Złączył się potem z armią włoską i poszedł pod komendę generała Joubert, prawdziwy żołnierz, gdy rankiem o godzinie trzeciej w pierwszym brnął szeregu...

Bilimy się tego dnia od świtu do późnej nocy we trzydzieści tysięcy przeciwko ośmdziesięciu zjednoczonych. Generał Colli z jednym batalionem francuskich mazurków i dwiema secinami naszych, co my się zwali legią trzecią, zasłaniał rejteradę. Po Joubercie — Championnet generał, gdy ten umarł — Massena. Legia pierwsza pod Dąbrowskim do połowy wybita przyszła w genueńskie góry. Tam my się spotkali. Ożyły nadzieje. Buchnęła w szeregi wieść o powrocie z egipskiej wyprawy „najstarszego Bartka“, jak zwali wtedy wielkiego wodza nasi żołnierze wiara.

Oręż wrastał w dłonie od samego płomyka nadziei, że leda dzień, leda chwila przybędzie przed nasz front i powiedzie poprzez struchlały Wiedeń.

Już my widzieli zjawę karpackich gór, krakowski rynek... Już my w pieśni przemierzali dalekie ziemie... Wśród onych chrobrych dni wkroczyliśmy do Genui miasta, a bramy jego zatrasły się za nami. Z lądu, ze wszystkich dolin i gór, obległ nas generał Ott, a okręty angielskie lorda Keitha z morza. Ustał dowóz żywności. Ziarno zboża nie doszło już od tej chwili do miasta. Zrazu dawali nam połowicę porcyów, potem ćwiartkę, a koniec końców po dwa łuty śmierzącego mięsiwa na czleka, po gloneczku chleba. Przyszła nędza bardzo wielka. I nie tylko na wojsko, ale na całe miasto Genuę. Ludzie poczęli mrzeć, jak muchy, i nieśli ich ta tłumem na owo piękne *Campo santo*.

W parę tygodni wymarło ze zgniłej strawy i z zaraźliwych chorób dwadzieścia tysięcy ludzi. Z nas znowu, z żołnierzy, wdrożonych do biedy i twardziny żywota, zostało w kupie ośm tysięcy prawczywych kościotrupów. Siedzieliśmy na tych górach grzebieniastych ponad grodem, czyhając, jak te sępy. Nasz tam, wiecie Polak krótko, się martwi. Wzdychać se wzdycha w najgorszej chwili, jako i zaklnie aż w kościach trzeszczy, ale wnet się przecie skrzepi bele czem. I już ci, słyszysz, śpiewa swoje... Aby ino razem, aby w kupie, to i dobrze. Samego zostaw na dwa dni, — juźci się tak rozstęka, że najtęższy chłop na nic. Widzieliśmy austriackie zastępy rozwleczone w dolinach i het—

precz! — po suchych gołogórach, jak se ta na nasze trupy ostrzyli bagnety. Wołaliśmy na nich: „Chodź że, chodź, nienasytku, a po drodze przemień się w kruka, żebyś nas przecie całych pozżerał!“ W dali przed nami było wielkie morze. Jak je sobie wspomnieć!... Dalekie, modre lądy idą stamtąd we dwie strony świata, na wschód i na zachód słońca, a gina i rozplývają się we mgłach niebiosów i we mgłach wód. Jest takie miejsce, gdzie ich już oko nie chwyci, — wypną się najbystrzejszemu — a długo patrzysz, żeby je gwałtem, jak idą między niebo a wodę, wysledzić, to ci ino łza z oka pociecze. Najbliższy ząb gór, Portofino, wrzynał się w morze z lewej strony, a z prawej za miastem Savoną już ledwie znać było ziemię. Morze dalekie było stamtąd widać, jak chodziło szumne, gromkie, zmienobarwiste. Och, morze moje, morzel... Tam ja się poznał z tobą... Zatoko moja, zatoko... Jak to tam nad nią stały złomy nagie, w których spalone szczeliny wszczepia jastrzębie knykie szary, drapieżny kaktus. Jak to tam leżą w rozpadlinach uschłe łoża potoków, drogi, które dy ino chodzi złość a fura burzy wylęgłej w morzach. Żyli my w pośrodku rumowisk, gdzie cienia nie znaleźć przed mściwym słońcem. Czasem się tam zabłąka pokręcony krzew bukszpanu i tuli pod sobą cień tyli, że w nim głowy nie schowasz. Przyszedł na nas w ostatnich dniach obrony głód nieladajaki. Spadziście ulice Genui! One ciemne a wąskie jamy,

gdzie słońce nigdy nie dociera!... Puste były, gdyś tam szedł ku portowi, żeby choć z morza co nie co wyłowić na haczyk ze śpilki, — jakby już wszyscy do nogi wysnęli.

Gdy my się tam szwendali, jak psy bezpańskie, szukając byle ochłapa, żeby choć ducha odświeżyć, nieraz śmierć w oczy zajaśniała. Skoroś ino ostrożnie wsunął nos i oczy z ulicy w czarną i zimną sień, wnet na cię warknął Włoszyn zielony z głodu, albo ci lufę krucicy wprost między ślepie wstawił, albo ta na paluszkach szedł z nożem w rękawie, jak pies-milczek. To nieraz taka desperacka fantazyja pchała człowieka, że właśnie szedł od nory do nory... Skutek zawždy był jeden: pustka w jelitach.

Kapitulowały wreszcie nasze „Bartki” — Masena i Soult. Resztki legiów wyszły z miasta w stronę Marsylji. Bez tynfa w wacku, bez butów i odzienia, w rędach starganych i zetlanych szmat, półnędzy i o głodzie, ciągnęliśmy w świat francuskiemi górami. Zima była, deszcz, bieda! Gdyś się na bosaka podbił, stłukł a poranił nożyska, że popuchły, jak bochenki chleba, brało się deszczułkę za podeszwę, szpagatem ją przytwardzało do stopy — i dalej. Gałgany zlatywały z gnatów... Idziemy, bywało, przez włoskie w Morskich Alpach siedliska, śmieją się z nas piękne dziewczki, stojąc przed progami murowanek, i pokazują palcami nasze stroje. Tornistry na nas ino całe a czapki. Reszta dziury.

Wstyd! Dopiero panowie dowódcy dawajże nas w ambit wbijać! Idzie oto nasz Słoński, chłop osobisty, walny, z jednej sztuki, krokiem twardym, aburczucznie, a hardo! Mundur na nim białą nicią w stu miejscach ześcibany, buty jeść wrzeszczą, że to w szeregu całym słyhać. Kiszki w nim takiego marsza grają, że żadnej nam orkiestry nie trza... Wszystko — bajki! Wąs drze do góry, nadał się jak po trzech obiadach, mina, jak sto tysięcy dyabłów.

— Trzymaj się, jeden z drugim! — wrzaśnie, gdy mu w glitach stękają. Równaj się! Wiedz jeden z drugim, że najjaśniejszą Rzeczpospolitą w tornistrze dźwigasz!

Zaraz się ta męźniej nogi ruszały i głód nie ważył się doskwierać.

Trepka chodził po izbie cichymi krokami. Czasem stanął i, plecami oparty o ścianę, kołysał się tam i sam. Przez zaciśnięte jego zęby wydobywało się bezwiednie świstanie ulubionej medody:

„Kiedy twoje spotkam oczy,
Nim dostrzeżę, żem widziany...”

Wędrowiec westchnął i zamilkł.

— Cóż się z wami stało później? — szepnął Cedro.

— W Marsylii równa nas czekała bieda. Rząd dyrektorów nic o nas wiedzieć nie chciał. Za swój własny ostatni grosz oficerowie sprawiali żołnierzo-

wi chusty, odziewali przybyszów w uniform i stawali pod dawne chorągwie.

Przybyli oficerowie, w niewolę roku siódmego wzięci w Mantui, co w pustym klasztorze pod Loeben jedenaście miesięcy przetrwali. Uzyskawszy wolność, odrazu ruszyli do nas! Za nimi ściągnęli żołnierze, co w czasie kapitulacyi uszli byli, i przebywszy górę Cenis, tułali się po Francyi. Potem nie było już dnia, żeby po jednemu, po dwóch nie przybywali towarzysze wzięci w niewolę, co to w kajdankach rozesłani byli po regimentach austriackich, a teraz znowu, powtórę uszli z cesarskich szeregów i o setki mil szukali swojej komendy w legione. Objął nad nami komendę generał Krawlewski, a po nim Karwowski. Nierychło, nierychło przeczytali nam wodzowie dekret pierwszego konsula, że idziemy na żołd Rzeczypospolitej Francuskiej. Na dwa my się rozpadli legiony. Pierwszy z siedmiu batalionów piechoty i jednego artyleryi dostał się pod komendę naszego generała-porucznika i przyłączon do armiów włoskich, a drugi ze czterech batalionów pieszych, regimentu kawaleryi i dwu kompanii artyleryi konnej pod komendą Kniaziewiczza poszedł do armji nadreńskiej. Wkrótce nasz pierwszy legion liczył sześć tysięcy ludzi. Ruszyliśmy się z Marsylii w Mantuańskie pod staro Massenę.

Rok dziewiąty! Odparci cesarscy za Mincio. Część naszej legii poszła do obwodu Peschieri,

a ja w drugiej pod Mantuę. Dziwne losu zrządzenie! Zważcie jeno, panowie bracia: przyszliśmy w te same wądoły, nad one zgniłe rowy i murowane fosy, co je krew naszych braci zboczyła. Mielimy możność hojnie odpłacić za podłą zdradę roku siódmego, za sekretny paragraf Kraya. Krzyk się w szeregach rozszerzył: „Nie-darować!”

Gdy my wyciągnęli linię na ćwierć mili, a białe wojska miały z murów wychodzić, legia, jak jeden człowiek, ścięła zęby i w bramę wlepiła krwawe oczy. Ci tu stali, co na tem miejscu hańbę ponieśli. Chwila i rzuca się, jak jastrzębie na schorowaną i bezsilną załogę. Broń u nogi, ale śmierć ziele z oczu... Wtem, jakoby na komendę, staną przed szeregami panowie oficerowie i przemówią krótkiem słowem do duszy wojsk... Hańba-by to, prawy, była i zmaza na honorze niepokalanym rycerzy plugawą i nędzną zemstą się parać. Nie fałszywemi przysięgi, nie zdeptaniem słabego, nie pobratymstwem z zakonem zbójców walczy Polak. Honor żołnierza rozkazuje równą wrogowi, a kamienną pokazać stałość w niedoli i w chwili tryumfu.

Nie sprzeciwił się żołnierz legionowy swemu dowódcy. Stanęliśmy w porządnym szyku, gdy nieprzyjaciel wychodzić zaczął z twierdzy przez cytadelę. Zaządał tylko nasz pan generał, żeby wojsko austriackie nie krokiem paradnym szło, lecz żeby go odmieniło na prędko. Tak się też stało.

A gdy tak szli bez sztandarów, a żywo, żywo — raz w raz z ich glitów występował żołnierz — Polak, roztrzaskiwał broń w oczach komendantów i stawał w naszej kolumnie.

Ostatnia to była nasza piękna chwila. Pokój w Lunewilu! Zachmułyły się dusze... Widzieliśmy, że przekrzszał i opada ostatni kwiatek nadziei. Tak, jakoby z pod onych bram Wiednia... Legion drugi otrzymał rozkaz iść z nad Renu w dziedzinę Toskanii, która Królestwa Etruryi wzięła tytuł. Rzucił mundur generał Kniaziewicz i co ognistsi jego oficerowie. Sokolnicki wiodł legię przez Szwajcary trzema szlakami na miejsce przeznaczenia. My w sile półsiódma tysiąca głów zajmowali Modenę i Reggio.

Nikt już teraz nie wiedział, co będzie dalej. Mówiono, że mamy iść w służbę króla Etruryi, to znowu, że na żold cyzalspiński. Złekli się ludzie. Wdała się dezercya, nastał bezład. Szeptali co świadomsi, że robią z nami to samo, co jakiś Wielki Fryc z najemnem wojskiem po Siedmiolecia wojnie, a że nikt dobrze nie wiedział, co zaś za Fryc i co on zrobił z onemi wojskami, więc strach szedł coraz większy. Wtedy to powstał plan obrony...

Jeden mocny nasz batalion stał załogą w Mantui i był najsilniejszą częścią garnizonu. Myśl obronna była taka, żeby opanować bramę Pradelli, gdzie tyle krwi naszych wyciekło w fosy — i przez to

miejsce wpuścić drugą dywizję wojska pod Sokolnickim. W tym samym czasie miał regiment kawalerji pochwycić Peschierę i całą linię nad Mincio, wszystkie mocne i niezdobyte miejsca. Wtedy garnizon puścić na parol i iść w biady, czy w układy z Rzeczpospolitą Francuską. To była myśl Fiszera. Wezwano do rady oficerów po kilku z każdego batalionu. Wszyscy w jeden głos okrzyknęli, że się zgadzają i z zapalem najgorętszym oświadczyli gotowość do dzieła. Ale się oparł sam pan generał. Inną myśl podał. Wyjdźmy, prawi, cichaczem z Modeny do Otranto, pochwycimy statki. usiądźmy na nie i pływmy zbrojnie na Korfu, Cefalonii i inne wyspy, co składały Rzeczpospolitą siedmiu wysp Jońskiego morza. Tam radził opanować silne punkty, ogłosić wysp niepodległość, jako ich armia osiąść i czekać aż do czasu. Z tym planem udał się pan generał Dąbrowski do pierwszego konsula.

Kiedy takie zamysły nurtowały w naszych korpusach, przybył z kwatery głównej do Modeny generał Vignolie dla wykonania nowej organizacji. Przywiózł nam słowo pierwszego konsula, że skoro legiami być już nie możemy, a wzdrygamy się iść w służby króla Etruryi, żeby nas za najemnych szwajcarów nie poczytał świat, tedy on proponuje nam, abyśmy przyjęli poddaństwo Francji. Kto z was, mówił generał, nogą stanie na ziemi francuskiej, otrzyma wszystkie prawa francuskiego obywatela.

Zawierzono. Zaraz tedy odjęto nam tytuł legiów polskich i zamieniono na półbrygady wojsk cudzoziemskich. Jedenaście batalionów piechoty zredukowali do dziewięciu, to jest zmienili na trzy półbrygady. Stu blisko oficerów straciło miejsce w nagrodę zasług. Dwa pułki przeznaczone zostały do służby cyzaplińskiej, a trzeci miał zostać w Etrurii. Sztab legionowy odsunięty od komendy. Pierwszej półbrygadzie natychmiast kazano maszerować do Medyolanu... Tak to korpusy nasze zostały zerwane. Usiłowania pana generała żadnego nie odniosły skutku. Projekt ambarkowania się na siedm wysp i opanowania Morei nie znalazł aprobaty chytrego ministra. W smutku powrócił wódz, oznajmując upadek legionów. Kiedy już się to dokonało, wówczas przez kilka miesięcy żołąd trzeciej półbrygady został wstrzymany, a kiedy oficerowie dla wielkiego niedostatku nie byli w stanie z miejsca się oddalić, wyszła piąta i sześćdziesiąta ósma półbrygada, stanęły obie pod bronią z rozkazem użycia gwałtu w razie naszego oporu. Otoczono nas siłą przewyższającą i poniemusem pod paszczami armat przymuszono wsiadać na fregaty w Livornie...

— Dokąd? — wyszeptał Cedro.

— Dokąd? Zrazu mówili, że do Tulonu, a wreszcie wyznali wprost.

— Na Antyle?... — mruknął Trepka.

— Tak jest, panowie bracia.

— I to wy, co się honorem chlubicie, żołnierz z bronią w rękul

— Z bronią w rękul...

— Trza było skonać, a nie iść poniemusem.

— Słowo łatwiej powiedzieć, niż rzecz samą wypełnić. Onych i wtedy nie opuściła nadzieja. Mówili sobie: „Zginał nas jeden tysiąc, drugi, zginie trzeci — a taki zatrwamy!“ Dziesiąty tysiąc a nie to dwudziesty z kolei przyjdzie na miejsce swoje. Wielki wódz słowo dał. A żołnierz słowo wodzowe na czulej szali waży. Tylko widać tego ostatniego tysiąca, mówili wtedy, jeszcze nie wybiła godzina. A panowie oficerowie! Posłuchaj, panie bracie, chętnem sercem, a uważ...

Panowie oficerowie naszej półbrygady, choć wiedzieli, co ich czeka, nie chcieli się chyłkiem uwalniać ze służby, nie chcieli w tej bardzo złej godzinie opuścić żołnierza, któremu przewodzili w boju, a z którym przeszli góry, niziny. Ani jeden nie uszedł z Livorna, żeby głowę ocalić, choć były potem sposoby.

Słowem honorowem polskiem sprzysięgli się dzielić los z bracią. Prawda, był później, słyszałem, jeden, co towarzyszący naszym w drodze do Genui, gdy szli naszymi tropy ambarkować się za morze, przystawił z boków i z tyłu szwadrony kawalerii francuskiej, żeby snadź żaden ucieczką się nie salwował. Z jego także naprawy wyszło posądzenie oficerów o spisek i bunt, co przyspieszyło

rozkaz wsiadania. Sam ów został na lądzie, gdy fregaty wojenne od genueskiego odbiły. Pierwsze to było i ostateczne złamanie wiary w legionach.

— Mów-że waćpan, co z tobą—nastawał Cedro.

— Jam ci należał do 113 półbrygady, co w dniu 13 czerwca 1802 roku wstąpiła na pokład w Livornie. Ostrożność generała Rivaud, który z piechotą, konnicą i artylerią otoczył nas pierścieniem i pchał do portu, była całkiem zbyteczna. W porządku stanęliśmy na kamieniach portu. Rzędem czekały szalupy. Rozpacz tłukła nam piersi, jak ona burza... Bo burza sroga wstawiała tego dnia w morzu! Pomnę... One mury zimne, samotne płoty kamienne w morzu z południa, za cichą zatoką, jak na nie z czarnych dolów chlaszczą piany białe. Niebo wpośród dnia czarne, jako o północy, a w niem niedaleka, zda się, tuż tuż, grozi ponura skała Kaprai. Latarnia morska połyskuje na niej raz za razem, raz za razem, nikiej bolesny znak na trwogę. Ptactwo na żelaznym niebie z piskiem się chyba. Padnie piorunem w siwe, chodzące góry, w złe doły, w one dymy sieczne i palące — i znów lotem w górę, na skrzydłach, aż ta zginie. U nóg twoich, człowieku, morze między złomami chlepa a słocha. Jakie to ta w niem głosy! Jakie ta krzyki!

Stoi domek strażniczy na samym końcu *molo*. Przysiadł, zda się, i czeka. Tyłem się wykręcił, mchy kamiennego daszku na się — i cierpi. Strzeli

w niego bałwan rozbiegany z prawej, leci nań z daleka od Elby, czy Korsyki góra wodna, jakoby dziki, zjuszony koń... W porcie wiatr przyciszony. Poszarpuje ino nasze korwety. Wydmie dolne żagle, naciągnie, aż zawarczą, zaświszczą liny. Górne zwinięte do cna. Wielki żagiel, co go nazywają marynarze *grand wual de mizen*, czasami ino rozciągnie się, jakoby siły swojej mocarskiej próbował.

Dali rozkaz: „W szalupy!”

Każą nam wyciągać kotwicę kontradmirałskiej fregaty. Werznięła się była w dno i zahaczyła o głazy. Stu kilkunastu nas dołożyło ramienia. Wreszcie poszła. Okręt manewruje, żaglami nastawia się... Wnet idzie z pomiędzy kamiennych grobli na pełne morze. Nasza korweta dybie za nim trop w trop. Hej-że, hej! Ledwie my się pokazali na głębokich toniach, na wiatrowisku, porwie nas i poniesie. W szyję między Elbą a Korsyką! Zda nam się krótko widzieć kamienny, pusty, ciemnorudy brzeg. Słyszemy, jak to tam dzwonią w skały rozwścieczone welny, jak tam świszczą lasy po górach, jak grają skały czerwone. Wnet jeden maszt złamany, jakby ten pręt leszczyny, i pospołu z żaglem ciśnięty w fale. Z trzaskiem lecą na pokład latarnie urywane z górnych masztów! Burza! Pójdzie nasz okręt w górę i na dół. Pocznie go zagon morskich wałów z boku na boku kłaść, bić w pierś, jakoby belką! Straszne, siwe morze! Och, wściekle!

Dużo ja w życiu twardych dzieł widział, a nigdy, jako wtedy. Strach me obszedł wokoło. Blizka a niespodziewana śmierć zajrzała w oczy, tchnęła w twarz... Rozmiotła burza naszą flotylę, z trzynastu okrętów złożoną, w cztery strony świata. Dwa tylko zdołały napowrót do portu zawinąć. Trzy wpędzone zostały do kanału Piombino między wyspą Elbą a lądem suchym, okręt grecki rozbił się całkiem o skały i ze stu sześćdziesięciu ludzi tylko jeden kapitan Kastus ze swą żoną na brzeg się wydobył z toni. Reszta okrętów, a między innymi nasz, latała w morzach, miotana wściekłością żywiołów. Ani przez ten czas strawy, ani napitku. Kto leżał bez duszy i taczał się z końca w koniec sali pod pokładem, tego kapitan nie mógł brać do roboty, ale który mógł ustać na nogach, tego na pokład i do lin. Nie jednego bałwan huknął w piersi i połknął pianami na wieczne czasy. Bosy, przemokły do ostatniej nitki, spracowany a zeszarpiany od womitów, bez siły w sobie ciągnął człek one liny. Jednego razu w ciemną noc grzmotnęło okrętem w jakieś skały. Zatrzeszczał, zadygotał i legł na boku. Stał.

Usłyszeliśmy krzyk kapitana: „Siekierzy! Tnij liny! Tnij drugi maszt! Armaty z zatopionego krańca w morzel” Dali go wtedy, co mocy w ramieniu! Plusnęły nasze działa, wszystkie sześć, jak jedno—i okręt wolno wstał, sprostował się. Po czterech dniach i czterech nocach zaczął wreszcie żywioł

nacichać. Dopiero ja z towarzyszami—spać. Zimnica trzęsie, sny straszne... Pić... Nie wiedziałeś, człeku, owo zgola, gdzieś jest, co się dzieje. Tymczasem rozbite nawy znalazły się między wyspami Balearskimi a brzegiem Hiszpanii. Latał się tam nasz statek, stroił w żagle. Po kilkunastu dniach zebrał się wreszcie i popłynął ku Maladze. Tam już i inne członki flotyli zdążyły. Dopędził nas okręt, na którym był szef batalionu Bolesta starszy, który to okręt pod Syrty afrykańskie był zapędzon. W lipcu okręt nasz podniósł kotwice, a sterując po podładziu, między brzegami Gibraltaru i Alge-siras a Ceutą w Afryce, szedł wolno w stronę naczyną. Widzieliśmy gołem okiem z pokładu starą ziemię... Cicho było i pięknie. Ledwie się marszczy, ledwie gzi morze. Jeszcze mi w oczach do dziś dnia stoją one dwa brzegi dalekie. Brzeg hiszpański, z którego strzelają w niebo góry skaliste, nagie, gdzieniegdzie porosłe pinią i cyprysem... Pierzaste liście wierzchołków palmowych wznoszą się z kują piachu, płasko rozciągniętych na brzegu Afryki. Jakoby wikłowe chlusty widzą się zdala, jak u nas po nadrzeczu. Jeden za drugim szły okręty. Ludzie nasi odkryli głowy. Milczą i żegnają się oczyma z lądem, co ich wydał. Straszny żal...

Nazajutrz zawinęliśmy do Kadyksu. Półbrygada mająca się przesiasć na inne okręty wysiadła w Kadyksie i dwanaście dni straciła na przygotowania do odjazdu. W sierpniu dopiero z pomyśl-

nym, północno-wschodnim wiatrem opuściliśmy port, ominęli cypel Tangeru... Idziemy między wyspą Maderą a Kanaryjskimi, potem jeszcze dalej. Wiatry się odmiennie, weszliśmy na wody krążącego oceanu. Odtąd stateczny, wschodni wiatr przy niebie pogodnym dozwolił nam sterować prosto po kędzierowatych falach ku Antylom. Upały nastąpiły najstraszliwsze. Noce tylko przynosiły chwilę odetchnienia. Pod sam koniec sierpnia taka cisza nastąpiła w morzach, że nawy stały jak na murowanym fundamencie, na litem zwierciadle. Czekaliśmy z upragnieniem zachodu słońca. Ledwie się utopiło w onych stojących równinach, wznosił się w tem miejscu, gdzie zginęło, blady, sinawy pas światła zodiaku. Dygotał wtedy każdy, bo było tak, jakby z trójkąta, nachylonego nad wodami, patrzyło w nas Oko wieczne. Podobne my widywali dzieckami w kościołach rodzinnych wsiów. Ale wtedy! Deska onego trójkąta, była u podstawy rozległa, jak samo morze, a szczyt jej gubił się w schodzącej nocy... Nocami świecił nam księżyc. Nieraz my go opasali oczyma i tak oto całą noc leżym na pokładzie, czuwający, dokieli blady i zimny nie odszedł w odmęty zachodniej strony. Świeciła nam gwiazda wieczorna tak wielka, że się od niej strzała pozłocista kładła napoprzek morza.

Nieraz bywało, wyjdzie z topielów błędna sucha chmura i wszystkie oczy powiedzie na wschód, w niezmierność oceanu, rzuci na nas widzenie sen-

ne ładu ojcowskiego... Zmniejszono nam racje jadal i wody. Woda stała się brudna, cuchnąca, pełna robactwa, a i tej tylko kwartę na człowieka dziennie dawali. Par stał się taki, że mdlał najtęższy. Smaga w ustach dniem i nocą, że się wargi raz kole raz trzaskały. Język wysechł na suchą drzazgę. Żołnierz, jako to żołnierz. Skakał z pokładu w morze dla ochłody. Żle się to najczęściej kończyło: jedni dostawali kurczów, a inni od rekinów i morskich wilków pożarci.

Okolo pierwszego września ocknął się wiatry wschodni i z największą szybkością pognął nas ku wyspom! Ale dopiero w połowie października ujrzelimy przylądek Samana. Wkrótce wpłynęliśmy do zatoki Mancenilla i pod miastem Cap-Français rzucili kotwicę. Odtąd zaczęły się nasze dzieje. Już wtedy wódz zbuntowanych Murzynów, Tussen-Luwertur, zdradą pochwycony został, odesłany do Francji i tam w jakimś ponurym zamku żywota tego dokonał. W sierpniu 1802 roku rozeszła się po uciszonej wyspie szeptana wieść o zaprowadzeniu pomiędzy Murzynami niewoli. Takie postanowienie francuskiego rządu wzbudziło powszechną zgrozę i stało się hasłem rokoszu. W górach San-Domingo stanie na czele kreolów Murzyn Lamur de Rans, w Wilier wzbudzi bunt San Susi, w Dondon — Noël, w Plesans — Sylla, w okolicach Port diu Pe — Makaja. Istotnym przecież wszystkich wodzem był Karol Beler, a tego siedliskiem były

góry Kaho. Prawie cała ludność murzyńska na wyspie złączyła się z mulatami i chwyciła za broń. Kapitan jeneralny Leklerk, podszczuwany przez naczelników murzyńskich, co jeszcze w służbie pozostali, takich, jak Dessalin, ten sam, co się potem za cesarza wyspy Haity pono ogłosił, — postanowił szerzyć wśród nieprzyjaciela postrach morderstwami. Pastwiono się na jeńcach wojennych. Wyszła taka zasada że każdy jeńiec wojenny ma skonać wśród tortur. Murzyn, złapany z bronią w rękę, a nawet i bez broni, ale w polu, wszystko jedno, winny, czy nie winny, śmiercią konał. Przeciwna strona czyniła to samo. Nowy to dla nas był sposób prowadzenia wojny. Okropne choroby zaścielały pole, a nade wszystko straszliwa „ciotucha” — żółta febra. Dziwna to była słabość. Jednych zabijała na miejscu, jak piorun, bez żadnych poprzednich oznak, a dla drugich była długiem bezlitosnem konaniem. Tak to nagle, pamiętam, umarł nasz podporucznik Bergonzoni na pokładzie fregaty. Pewnego poranku, o samem świtaniu wszedł był do kajuty kapitańskiej, w której przebywał szef Małachowski. Gdy ten go spytał, czegoby żądał, Bergonzoni, jako że był służbista, wyprostował się i oświadczył, jako przybywa oznajmić, że umiera. Wziął go szef pocieszać i uspokajać. Nic nie rzekł i wyszedł na pokład. Tam postąpił kilka kroków naprzód, padł i skonał. Włożyli go w wór, kulę wielkiego kalibru uwiązali przy nogach — i w morze. Inaczej było z przewleklą cho-

robą. Żołnierz czuł w marszu, jakoby cios od kuli. Nieraz przysięgały się stare wiarusy, że ich kula przebiła, gdy naokół było cicho, a nieprzyjaciela nigdzie. Zaraz następowało wielkie osłabienie, dochodzące aż do omdleń. Ręce i nogi przeszywał ból, jakby były połamane. Trzęsące zimno. Wszczytnał się wielki trzask w czole, potem we wszystkich stawach i w krzyżu. Nieszczęśliwi słyszeli uderzenia pulsu w skroniach, oczy im wysadzało na wierzch i przemieniało w ślup. Straszliwa bojaźń i wielka niezgruntowana tęsknota nie daje pono spocząć biednej myśli. Nigdzie ulgi. Dech pędzi, jakoby ci Murzyn piersi zgniótł kolanami. Już po upływie dnia twarz nabrzmiewa i zaczyna czerwienić się, jak u człowieka mocno spitego winem. Wnet skóra żółknie, a białka oczu staną się, jak szafran. Na trzeci dzień widzi się choremu, że już przeszło, że już lepiej. Duch mężniejszy, oddech wolniejszy. Ale oto zaczniesz ustami, nosem, uszami, a nieraz wprost ze skóry na szyi, na policzkach ciec wolno krew rzadka, czerwono-ruda. Nogami zimne, jak marmur, oczy ze szkła. Pot zimny, czarne womity, gangrena nóg i rąk — i wreszcie już upragniona śmierć. Ilu to ja tam kamratów wypatrzył w onych pochodach! Ile ja cierpień ich, zwierzeń, spowiedzi wziął na barki! Och, a tamten okręt. Jednego razu zawinął z oceanu do przystani Cap-Français okręt pasażerski. Siedziałem ja wtedy na brzegu morskim, zabity na ciele i na duchu, już

to było po roku naszego wojowania na wyspie. Byłem zranion w nogę i kurowałem ją ta, zasypując ranę mialko tartym prochem strzelniczym, zalewając winem co najtęższym, a dla odmiany wodą morską. Kula murzyńska nadarła mi mięsa niemało, stłukła i roztrzepała kość. Spuchł kulas, jak baran, więc pozwolili mi naczelnicy siedzieć i wylegiwać się u brzegu. A no siedzimy coś w dziesięciu, czy we dwunastu towarzysza, wszystko kalek, i gwarzymy o naszej wyspie. A już my się na niej wyżej czuba nażyli. Co który powie zdarzenie, to jedno od drugiego lepsze, jakby je sam dyabeł wymyślał. Duszy swojej, to już żaden nie czuł, czy nie miał... Każdemu wszystko jedno: śmierć — to śmierć, a żywot — to żywot. Darować komu życie, czy mu je skrócić — jedna jedyna chwila. Ani ta przedtem zastanowienia, ani potem krzyny żalu. Przygnały tedy fale pod brzeg okręt z daleka. Żagle na jego rejach rozpięte wisiały trzema rzędami, jeden nad drugim. Czarne były, mokre, dziurawe, jak łachmany na zbóju. Wietrzyk je czasem rozdał, i wtedy szedł statek kadysi w morze, to znowu środkowa połać żagłów zaczynała się flątać i zwisać, a nawa do nas wracała, beradna, jak ten korek na fali. Podpłynął ta ku niej Murzynek portowy na swej pirodze z dębu korkowego, wdrapał się, jak małpa, po linach na pokład. Patrzymy: zrobił na nim krok, zrobił dwa — i jakże nie pójdzie w dół! Buch w łódkę i we wiosła! Tylko się mi-

gał. Wyskoczył na brzeg... Patrzymy: cały na popiół zbiegał ze strachu. Ślepie mu kołują, kołują, gęba się trzęsie, kolana tłuką jedno o drugie. Dopiero, gdy my mu zagrozili, że kulą w łeb weźmie, jeśli nie będzie gadał a żywo, wybelkotał, co widział. Cała załoga, kapitan, sternik, wszyscy podrozni do ostatniego majtka, wszystko co technie powietrzem, wymarłe na żółtą febrę, leży pokotem. Widzielimy go zdala, ów cmentarz chodzący po morzu, i śmielimy się z niego między sobą:

— Na taki to ci głupi koniec przyszło, — mówilimy, — piękny okręciel...

Fale były ciche i dobre, jak bywają nieraz rankiem w dzień jasny na jesieni. Przyptyw je dopiero zaczął poganiać różaną gałązką, żeby tańczyły dokoła kamieni, sterczących pod brzegiem, żeby z pluskiem leciały w kamienne ostoje. Każda nowa fala rzucała nam pod stopy swój niezapomniany dźwięk, w którym slychać głos znajomy jakoby prędkiego wiatru w podlaskim lesie. Zaraz po niej grzmiała druga, za tamtą pędziła trzecia. Jeden głos wlewał się w drugi; przenikały się wzajem, obejmowały wpół i dzwoniły nad naszymi głowami, jak daleko huczące dzwony w podlaskim kościele. Na tych błękitnych welnach, na błękitnych, albo powleczonej barwą żywego srebra, przyptynął potępiony okręt tak blisko, że my wien oczyma zajrzeli. Szalupa zaczepiona biła go w bok, tłukła się i kłapała. Zwisającą banderę wiatr kiedy

niekiedy wydał... Kadłub okrętu szedł ku nam to prawym, to lewym bokiem, to kręcił się wkoło, przechylał, jak gdyby pragnął koniecznie pokazać nam swój pokład i taczające się po nim żółte rozdęte trupy. Śmielimy się z niego i z nich... Minęło południe. Wzmógł się wiat. Aż się ów statek weźmie i wściecze ze złości! Wydał tego żagle, przechylił się na bok, zatoczył koło świszczące i poszedł w morski ocean. Widzielimy go, jak się stawał mały, coraz mniejszy czerniał, znikał, jak się zawlókł siną mgłą i przepadł.

— Idź straszyć innych, głupcu, — wołaliśmy za nim. — Idź innym śmierzcie swoimi trupami. Nam ta trupa nie dziwne...

Język ludzki tego opowiedzieć nie potrafi, co za bezrząd opanował wojsko francuskie. Trzecia ledwie część żołnierzy trzymała się na nogach. Każdy zniechęcony, draś, w zniszczonym ubiorze, smętny, wypatrywał miejsca, w którym go śmierć dopadnie. Jeden tedy oddawał się najwścieklejszej rozpuszczonemu, swawoli i bezprawiom, jakich rozum nie obejmie, hulał, pił, rozbijał bagnetem, wydierał majątek i cnotę, nocę spędzał wśród kreolek murzynek, mulatek, a drugi gotował się na śmierć w postach i trawił nocę, krzyżem leżąc obok postania. Szpitale pełne były chorych, zalegających pokotem na ziemi bez dozoru, pomocy i opatrzenia. Wszelka subordynacja ustała, porządki wojskowe zgoła znikły. Szeregowiec równy był wodzowi.

Nikt ta już nie zajmował się myślą o wygrywaniu bitew, o sławie. Serca zlodowaciały, duszy się objawiły zbójeckie. Bagnet stał się ostatniem prawem. Każdy się tylko podle, haniebnie lękał, albo jeszcze nikczemniej łajdaczył. Była przecie jedna dusza, dusza bez trwogi... To Paulina Buonaparte, siostra pierwszego konsula, a żona kapitana generalnego Leklerka. Nie straciła w owych czasach ani odrobiny fantazyi. Przeniósłszy się z Cap-Français do miejskiego ustronia, wpośród nieustających uczt, zabaw, tańców, muzyki starała się zapomnieć o tem, co się rozgrywało dokoła. Był czas, kiedy my trzymali straż przy tej siedzibie. W lekkim i przewiewnym pałacu między palmami huczna muzyka, śpiew. Wino lało się brodem. Często wprost z balu, z bezcennych kobierców podjęliśmy trupa tancerza, wynieśli za ogrody pałacu i zakopali w ziemię. Ale takie sprawy nie przerywały tańca. Mówiło się pięknym paniom i wesołemu gronu oficerów, że ten a ten poszedł spocząć na chwilę pod cieniem palm i magnolii.

Och, wyspo, wyspo!

Ziemią zdawał nam się rajem, gdy my zdala ujrzeni twą piękną górę Cibao, okrytą piniami i woniejącą jodłą. Śliczne twe rzeki wypływały stamtąd — Neira, Artibonit, Juna — o wodach przezroczystych, jak drażony kryształ. Wilgotne ciepło biło na nas z niskich sawonów, z gęstwin lasów palmowych... Ona dzika, niewidziana obfitość ziół, co pokrywała

wilgotne brzegi, poszarpane od fal morza. Oczywiście mogły się nacieszyć widokiem różowo-barwnych ptaków, flamingów, jakby kwiatów latających, co uganiając się za rybami, rozweselały płaszczyzny zatok. Ledwie my stanęli nogą na tym lądzie, oczu my oderwać nie mogli od palm wachlarzowatych i trzciniastych, co tworzą szemrające gaje i puszcze, od paproci wysokich, jako nasze sosny i świerki. Szlimy do pierwszego miasta szerokimi ulicami, które były wysadzone drzewami pomarańcz, cytryn i brezylia. Gdzieś okiem rzucił, widziałeś z radością figi, pola trzciny cukrowej, drzewa kakaordne, tytuń, ryż, proso, kukurydzę...

Ale wprędce przyjdzie straszne ocknienie. Owe nadmorskie sawany są tak nisko położone, że się nie dźwigają ponad mielizny zatok. Porasta je drzewo manyles, podobne do blekociny. Te to smugowia mokną w porze deszczów, które się leją głównie w porze naszych godów zimowych. Kraby znowu, jaszczurki a gady zdychają i gniją zalane w swych karpach i dziurach od wylewu rzek. Takim tedy porządkiem wstaje zimową porą ponad morzem jedno bezgraniczne bajoro, pełne oknisk niezgruntowanych, duchowina, skąd wywala się ziew zgniły z zapachem smoły nie-smoły... Komar, zwany moskitem, tnie tak, że na miejscu ukąszonem zostaje krosta i bąbel, jak od sparzenia ukropem. A dopieroż, gdy z wiosną pocznie ogniste słońce przepalać powietrze na wskroś! Nastaje taki par,

że koniec świata. Rzuca się na człowieka kleszcz zaskórny, zwany *szik*, składa pod paznogciami torebkę z zarodkiem, a te we dwadzieścia cztery godziny urastają w gruczoł tyli, jak laskowy orzech. Dopiero to sklamantes! Ból okropny, a po nim gęsto gangrena i śmierć. Mrówki skrzydlate łążą po ścianach, po stołach i tną człowieka. Żebyś umierał ze strudzenia po całodziennym marszu, skoro ci się do łóżka dostaną, wstawaj, bratulu, i umykaj w pole! Potem nauczyliśmy się radzić sobie z nimi, ale w pierwszych początkach, cudeńki, co my cierpieli! Potem nie kładlimy się spać inaczej, tylko w szałasach, gdzie mahoniowa deska zastępowała stół, łóżko było z surowej skóry bawołu, zawieszone na słupach, a przez całą noc dla odpeędzenia komarów tliły się pniaki spróchniałe.

Och! noce, noce!

Nieraz już dawno wiatr począł wiać od lądu, noc późna, a ty człowieku usnąć nie możesz. Drze-miesz niby, a przez sen słyszysz, że żaby rechoczą, jakoby u nas w parną a krótką lipcową noc... Konik polny poskrzypuje...

Przelatywały straszne burze, których słowo ludzkie nie wypowie. Wtedy w lasach, powiązanych lianami, wyrывało dukty na parę włorst, las walił się pokotem, jak żyto po ulewie. Zwierz uciekał, jak oszalały, a całe litwy ptactwa wichier straszliwy gnał w ocean i ciskał w wodę. Człowiek, nawykły do jagłów a do żelaznej kaszy, miał ci

teraz ile chciał, pomarańczów, ananasów, moreli, cynamonowych jabłek, granatów. Mogłeś rabować w bród po plantacyach banany, pistacje żółto-różowe... Ale nasz żołnierz i tego nie czynił. Jak my pierwszego dnia po wylądowaniu dostali placki z manioku, zwane *kasaw*, tak my też żyli ciągle, aż do ostatka, bo nam chleb swojski, sitny przypominało.

Ile to walk, ile pochodów, utarczek, śmiertelnych bojów! Od pierwszej do ostatniej chwili... Pierwszy batalion pod dowództwem Murzyna, generała Klerwo, przyłączony do półbrygad murzyńskich, już w ośm godzin po wylądowaniu ruszył do boju. Wnet przecie ów murzyński generał zdradził naszych i ze wszystkim czarnem wojskiem swoim przeszedł na stronę powstańców. Polacy pod kapitanem Wodzyńskim zatarasowali się w kościele i mężny dawali odpór, a później ze stratą stu kilkudziesięciu żołnierzy wymknęli się z pułapki i uszli do fortecy pod Cap-Français. Dzięki tylko ramieniu polskiemu to miasto ocalone zostało od napaści i zagłady. Ale ten pierwszy batalion, walcząc tam właśnie pod Cap-Français, uległ zarazie. Z tysiąca ludzi, którzy weszli do miasta, w przeciągu jednego miesiąca zostało ośmdziesięciu kilku. Drugi batalion pod wodzą starszego Bolesty, gdzieś i ja służył, wyruszył pod rozkazy Desssalina, generała murzyńskiego, w kierunku rzeki Exter. Przeprawiliśmy się przez rzekę Artibonit w czoł-

nach pirogowych z jednego kłoca mahoni i przeszliśmy do miejsca St. Marc. W kilka dni później Dessalin z całą dywizją Murzynów przeszedł w nocy na stronę powstańców, którzy stali naprzeciwko nas pod komendą Krzysztofa i Pawła Luwertur. Ech, bieda, bieda!... Jeden batalion tych Murzynów, czterystu chłopów, jak heban, nie zdążył udać się w pochód za Dessalinem. Ledwie na doświtku dnia spostrzeżona została zdrada tamtego. Jeden jedyny nasz polski batalion Bolesty nie był w stanie utrzymać w karchach i zmusić do boju z rodakami kilkuset tęgich a uzbrojonych Murzynów. Co z nimi robić? Puścić na wolność, to powiększą armię wroga, wlec ze sobą, to zdradzą w najgorszej chwili. Generał Fressinet, nasz nowy dowódca, Francuz rodowity, rozkazał czarnym wystąpić do apelu, jak co dnia. Zwyczaj wojskowy każe stawać do apelu bez broni. Skoro na plac wyszli, nasz batalion z rozkazu Bolesty otoczył ich ze czterech stron. Generał Fressinet wyszedł. Dał znak. Murzyni nie spodzielili się nawet. Chwyciliśmy za broń i wykłólimy bagnetami bezbronnych, wszystkich czterystu, co do nogi. Nie upłynęło pół godziny, już ani jeden nie zipał.

— Milcz!—wrzasnął Trepka, zataczając się na ścianę. — Milcz, nie mów do mnie!...

Żołnierz patrzył na niego chłodnym, obojętnym okiem. Na chwilę zamilkł.

— Potoście tam popłynęli... — jęczał, waląc w stół pięściami.

— Wojna jest wojna, — rzekł Ojrzyński. — Bóg nasz sędzia, nie waszmość. W parę tygodni czasu z naszego batalionu, który tysiąc miał ludzi, zostało nas stu kilkunastu. Żółta febra... Och, złe to czasy! Tam my w gorącej ziemi złożyli starszego Bolestę, kapitanów Osękowskiego i Rębowskiego... Złe to czasy!

Trzeci batalion 113-ej półbrygady wylądował był w Port-au-Prince. W ciągłych marszach, utarczkach, walkach, znojach, gdy dzień i noc trza było z wrogiem brać się za orzydle, z chorób samych utracił sześciuset ludzi. Tak to, panowie bracia: z 3.700 chłopą, jak dzwona bukowe, którzy wysiedli na ląd w San-Domingo, zostało nas żywych trzystu, a oficerów naszych kilkunastu.

Po śmierci Leklerka przyszedł nad nami przewodzić Roszambó. Ten powziął myśl psy rozjuszone, ćwiczone głodem i chłostą, puszczać na Murzynów. Wtedy już druga nasza legia, czyli 114 półbrygada, wsiadłszy na statki w Genui, przyплыnęła do Antylów. Pamiętam, jak zawijały z oceanu do zatoki wolno idące okręty: *le Fougueux*, *Héros*, *la Vertu*, *la Serpente*, *l'Argonaute* i inne. Stała nas garsteczka na brzegu, żeby przybywającym oddać honory i przywitać ich w progu wyspy. Ujrzawszy nas, zadrżeli. Cóż dopiero, gdy posłyszeli z ust kapitana Przebendowskiego, który był osobistym

adjutantem generała Roszambó, że przed nimi stoi połowa pierwszej legii... Wkrótce nowi przybysze wyruszyli przeciwko Murzynom. Rozdzieliły się nasze drogi. Wnet usłyszeliśmy o śmierci porucznika Weigla i dzielnego adjutanta-majora Królikiewicza w bitwie u redut Carvahanac... W tym to czasie ja sam przebyłem żółtą febrę, ale się z niej wyliżał. Leżałem w barłogu długi czas między życiem a śmiercią. Nie wiem, co się działo z braćmi na przeklętym lądzie. Dusza moja zczerstwiała wtedy uczynił się z niej jakoby płytki brzeszczot, co krwią ocieka. Udało mi się wreszcie dostać z kilku towarzyszami zwolnienie i wrócić do Europy. Wsiadłszy na fregatę, idącą do Brestu, i dopiero w morzach człowiek westchnął. Szczęśliwie przybyłem do Francji. Wyznaczono nam na mieszkanie Chalons-sur-Marne, dano pół żołdu. Ale skoro człowiek przyszedł do siebie, natura pociągnęła w szeregi. Obwieścili nową kampanię. Wciągnęliśmy się w kilku do szeregów francuskich — i znowu marsz — marsz! Zabiło serce, boć my szli wprost na Wiedeń. I weszliśmy w otwarte jego bramy. Austerlitz! Oto ja ujrzałem te czeskie i morawskie wzgórza, com je, jako piechur austriacki, przemierzył. W dali, w dali siniały nasze wysokie góry. Ale nie sądzono mi było wstąpić na swoją ziemię. U samych jej drzwi musiałem przykleknąć i czekać: strzaskano mi nogę! Urznęli...

— Sprawiedliwie mówisz... — rzekł twardo

Trepka: — niegodne były wasze nogi, żeby na ziemię tę wstąpiły. Bóg pewnie karze za takie czyny, jak wasze na wyspie.

— Zemsta jest moja, mówi Pan... — głucho odparł żołnierz.

— Na skinienie uzurpatora, wskutek intrygi jego współszalbierzów deptać wolne ludy, dusić plemiona...

— Zemsta jest moja, mówi Pan. Nic waszmość nie wyrokuj! Spójrzysz-no, co się stało... Dwa-naście lat my przylewali krew w zawrociach świata. Bracia moi co do jednego prawie wwalili się w mogiły z głuchą rozpaczą. A teraz... Rakuskie mocarstwo roztrącone, jak kupa zgonin. Dodał ramienia pod Jeną, pod Auerstädt — i pruskie państwo roztrącone! Uzurpator! Ten sam uzurpator jest panem Berlina i panem Wiednia. Nie wiesz waszmość owo zgoła, co mówisz... Niech żyje cesarz! Po stokroć! Chwała mu wieczna! A teraz, słyszysz waszmość, dopadła mnie tu wieść w jednym miasteczku: idzie w Poznańskie, w Mazowsze... Do Warszawy! Przez żywy Bóg tak będzie! Armie przemierzają równiny moje, gdzie rządził Prusak. Obok nich wstają ze snu powiaty, miasta, wsie. I teraz dopiero pójdą w bary! Niemca tam już jednego człowieka niemasz! Ja tylko jeden jedyny, com obszedł świat, czekając na tę chwilę, nie pójdę z nimi. Ale nim piach mi oczy zasypie — do-wiem się reszty. Niech żyje cesarz!

Rzekłszy te słowa, żołnierz wsunął głowę w ramiona i cały się zgarbił, jak gdyby w sobie samym ukryć chciał resztę myśli. Już ranny świt przeciekać zaczął przez szpary okiennic. Woskowe świece dawno pogasły. Trepka pchnął okno jedno i drugie. Mokry, rezedą pachnący chłód ciemnego rana jesieni buchnął do dusznego pokoju.



SPIS RZECZY.

Swawolny Dyzio	5
Szymek i Mosiek	19
Szkoła w Owczarach.	27
Pachciarska kobyła	57
Przygoda z pistoletem	67
Andrzej Radek	77
Bernard Zygier	
Na wojence dalekiej.	99



TOWARZYSTWO WYDAWNICZE W WARSZAWIE

WYDAWNICTWA DLA DZIECI I MŁODZIEŻY.

- Aanrud. Historia o Cesi sierotce
Andersen. Baśnie. Z ilustracyami E. Dulaca
Areydziela literatur obcych. W wyborze i układzie dla
użytku szkolnego pod redakcyą A. Boleskiego i K. Drze-
wieckiego zeszyt I-y Homer. Iljada—Odyseja
Askenazy S. Pr. Napoleon a Polska T. I Upadek Polski a Francja.
— — — II Bonaparte a Legjony
— — — III
— — — I—III w oprawie
Barrie Przygody Piotrusia Pana. Z ilustracyami A. Rackhama
Bobińska H. O szczęśliwym chłopcu. Powieść dla dzieci
Candèze E. Przygody świerszcza. Opow. przyr. dla młodzieży
Choromański L. Dziwne przygody. Opow. dla małych dzieci
Dante Alighieri. Vita Nuova (Nowe Życie) przełożył
Artur Górski
Dąbrowska M. Dzieci Ojczyzny. Opow. hist. dla młodzieży
— Dzieje Naszej Ojczyzny
— O Zjednoczonej Polsce
Demolder E. Serce ubogich. Opow. dla młodzieży
Drzewiecki K. Spacer z panem Karolem. Opow. dla dzieci
Eeden Van. Mały Janek. Książeczka dla dzieci
Ernst O. Historia młodego życia. Powieść dla młodzieży
Ewald K. Ciche jezioro. Dwunożne. Dwa opowiad. przyr. dla
młodzieży
Filipkiewicz F. Sztuka dla dzieci. Teki zaw. sześć barwn.
obrazków
France Anatol. Na kwiaty. Książeczka dla dzieci
France Anatol. Zazulka. Opow. dla młodzieży
Gąsiorowska N. Książę Józef
Geijerstam G. Moi chłopcy
Grabiec J. Powstanie Styczniowe 1863—1864
— Dzieje Polski Niepodległej
— Dzieje porozbiorowe Narodu Polskiego
Hertz B. Henryś. Powieść dla dzieci
— Przygody Magdusi. Powieść dla dzieci
Hrynczewicz-Talko I. Prof. Człowiek na ziemiach naszych
Jablczyński F. U stóp Partenonu. Opow. z dz. Grecji dla
młodzieży.

Jak to na wsi bywa. Książka obrazkowa dla dzieci
 Konopnicka M. Jak się dzieci w Bronowie bawiły
 Korczak J. Józki, Jaśki i Franki
 — Mośki, Joski i Srule
 — Sława
 Krasinśki M. Modlitwy
 Lagerlöf Selma. Cudowna podróż cz. I II i III
 Lazarusówna F. Moja gromadka. Opow. dla dzieci
 Leonardo de Vinci. O malarstwie przeł. L. Staff
 Leśmian B. Klechdy sezamowe
 — Przygody Sindbada żeglarza
 Marya Markowska. Przejdziem Wisłę, przejdziem Wartę.
 Powieść historyczna.
 — Gęśliki grają. Baśnie i podania.
 — Za górami, za lasami. "
 Mickiewicz Ad. Księgi narodu i pielgrzymstwa polskiego
 Molnar Gr. Chłopcy z placu broni. Pow. dla młodzieży
 Nortkowiczowa J. Przygody w lesie. Bajki dla dzieci
 — Radosny dzień. Książka dla dzieci
 — Stacho
 — Zaczarowana wyspa. Bajki dla dzieci
 — Z naszej szkoły. Opow. o tem, jak dzieci
 — pracowały
 — Z naszej szkoły. Serja druga
 Nortkowiczowa J. i Sempołowska S. W pamiętnym roku
 wojny. Książka zbiorowa dla młodzieży. Ilustracje
 S. Norblina
 O Janku Marynarzu. Z obrazkami dla małych dzieci
 Orsza H. Na ziemi polskiej przed wielu laty
 Ostrowska Br. Książeczka Halusi.
 — O Janku Planetniku
 Panteon. A. Mickiewicz. Księginarodu i pielgrzymstwa polskiego
 — J. Słowacki. Genезis z Ducha
 — Z. Krasinśki. Modlitwy
 — Kwiatki św. Franciszka z Asyżu przekł. L. Staffa
 — Leonardo da Vinci. O malarstwie; przełożył L. Staff
 Pasterka złożona z 7 kolend Rys. Z. Lubańskiej.
 Plutarch Polski. Hugo Kollataj przez B. Limanowskiego
 — Tadeusz Kościuszko "
 — Walerjan Łukasiński "
 — Stanisław Staszic "
 — Romuald Traugutt "
 Przyjaciele Zucha. Książka obrazkowa dla małych dzieci

Rederowa M. Siojd dla młodszych dzieci. Roboty z rurek
 i kartonu
 Rogosżówna Z. Dziecinny dwór
 — Kolorowe bajeczki z ilustracjami Józewskiej
 — Pisklęta. Nowele
 Rogosżówna Z. i Rogosż-Pienkowska J. Wsłoneczku. Poezje
 dla dzieci i młodzieży
 Rogosż Pienkowska J. Mały gospodarz. Książka ilustrowana
 dla małych dzieci.
 Rolland R. Beethoven przeł. M. Zabojecka
 Selmer Gjems Agot. Dzieciństwo mateczki
 — Nad dalekim, cichym fiordem, ilustr.
 C. Larsona
 — Siostrzyczka. Ilustr. C. Larsona
 Sempołowska S. i Unsztlicht-Bernsteinowa J. Dla przyszłości.
 Czytania dla młodzieży i dla dorosłych
 cz. I. My—ludzie i przyroda
 — II. Religja w życiu ludzkości
 — III. Człowiek i ludzie. (Za wolność)
 Siedlecki M. Prof. Jawa. Przyroda i sztuka. Uwagi z podróży
 Sieroszewski W. Bajki
 — Zamorski Djabeł. Powieść dla młodzieży
 Słonśki Ed. Jak to na wojence...
 Słowacki J. Genезis z Ducha
 Smoleński J. dr. Krajobraz Polski
 Szarzyński J. E. W Karpatach. Powieść dla młodzieży
 Szcześny Al. Kolorowe okienko. Bajki dla dzieci
 — Pieśń białego domu. Książka dla młodzieży
 Thackeray W. Pierścień i róża
 Trojanowski W. Malarstwo Włoskie z 40 planszami
 Trzebiński M. Stara Warszawa. Album
 Żeromski S. Dla młodzieży. Wybór z pism. Książka I
 — II
 — Duma o hetmanie
 — Echa leśne
 — Popioły; wyd. nowe 3 tomy
 — Syzyfowe prace
 — Wisła
 — Wszystko i nie. „Popiołów — sprawa druga“

UTWORY STEFANA ŻEROMSKIEGO.

- Walka z Szatanem I. Nawracanie Judasza. Powieść. 1916.
Walka z Szatanem II. Zamieć. Powieść. 1916.
Walka z Szatanem III. Charitas. Powieść. 1919.
Aryman mści się. — Godzina. Wydanie drugie. 1911.
Biała rękawiczka. Sztuka w 3 aktach, z prologiem i epilogiem. 1921.
Dla młodzieży. Książka I. 1921.
Dla młodzieży. Książka II. 1921.
Duma o hetmanie. Wydanie czwarte. 1920.
Dzieje grzechu. Powieść. 2 tomy. Wydanie piąte. 1920.
Echa leśne. 1920.
Inter Arma. Warszawa. 1920.
Ludzie bezdomni. Powieść. 2 tomy. Wydanie piąte. 1911.
Opowiadania. (Doktór Piotr. — Cokolwiek się zdarzy. — Ananke. — Zmierzech. — Złe przeczucie. — Po Sedanie. — Zapomnienie. — Pokusa. — Siłaczka. — Oko za oko. — Niedziela. — Z dziennika). Wydanie czwarte. 1910.
O przyszłość Rapperswilu. Kraków. 1912.
Organizacya inteligencji zawodowej. Warszawa. 1919.
Początek świata pracy. Kraków. 1919.
Ponad śnieg bielszym się stanie. Warszawa. 1920.
Popioły. Powieść z końca XVIII i początku XIX wieku. 3 tomy. Wydanie czwarte, drukowane w piątym roku wojny wszechświatowej.
Powieść o Udałym Walgierzu. Wydanie nowe. 1918.
Projekt Akademii Literatury Polskiej. Warszawa. 1918.
Promień. Powieść. Wydanie czwarte. 1910.
Rozdziobią nas kruki, wrony. Wydanie trzecie z rysunkami Jancowskiego. 1905.
Róża. Dramat niesceniczny. Wydanie drugie. 1910.
Sen o szpadzie. Kraków. 1911.
Sen o szpadzie i sen o chlebie. Zakopane. 1916.
Siłaczka. — Na pokładzie. (B. U. L. Nr. 5). 1907.
Słowo o Bandosie. Wydanie nowe. 1920.
Sulkowski. Tragedya. Wydanie drugie. 1910.
Szyfowe prace. Powieść. Wydanie nowe. 1919.
Uroda Życia. Powieść. 2 tomy. Wydanie nowe 1920.
Utwory powieściowe. (Na pokładzie. — O żołnierzu tułaczku. — Tabu. — Cienie. — Kara. — Legenda o bracie leśnym). Wydanie czwarte. 1910.
Wierna rzeka. Klechda. 1913.
Wisła. Warszawa 1920. Wydanie drugie.
Wszystko i nic. Warszawa. 1919.
Zmierzech. — Cokolwiek się zdarzy. (B. U. L. Nr. 41). 1907

1137